

PRAWDZIWY WIELBICIEL CHCE STAĆ SIĘ TYM, KOGO WIELBI.  
WIE WSZYSTKO I **NIE MOŻNA** PRZED NIM **UCIEC**.

**M A X C Z O R N Y J**

# **WIELBICIEL**



FILIA

**M A X C Z O R N Y J**

# **WIELBICIEL**

**FILIA**

*To człowiek zawsze stwarzał swoich bogów, nie zaś oni jego.*

Anton Szandor LaVey, *Biblia Szatana*

*Walka o wolność, gdy się raz zaczyna,  
Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna.*

George Byron, *Giaur* (tłum. A. Mickiewicz)

*Piotrowi Chabrosowi,  
przyjacielowi od piaskownicy i pierwszego ogniska.  
Życząc tylko udanych profili – w życiu zawodowym  
oraz prywatnym.*

*PS Nie analizuj tego, że najpierw wspomniałem o pracy!*

## PROLOG

– Wyobrażasz sobie życie bez dziecka? – zapytał, patrząc na zdarte czubki butów. – Jaki to ma sens? Można się oszukiwać, że chodzi o dom, o pracę, ale to nic niewarte pieprzenie. Sens ma tylko to, co pozostawisz po sobie żywego. Inaczej już od dawna jesteś martwa.

Wzruszył ramionami. Lina oplatająca jego kark się poruszyła. Czuł jej szorstki dotyk.

Gdyby była za krótka, skazałby się na męki duszenia. Możliwe, że zdołaliby go nawet odratować. Idealna długość gwarantowała rozerwanie rdzenia kręgowego i natychmiastową śmierć. Znaczenie miało też umocowanie węzła. Powinien być podłożony niemalże pod sam podbródek. Wtedy w chwili zawiśnięcia głowa odginała się maksymalnie do tyłu. Wbrew temu, co pokazuje się na filmach, wisielcy patrzą w gwiazdy, nie w ziemię.

Przesunął stopy po wytartym obiciu. Czubki jego butów przekroczyły krawędź krzesła.

– Nie rób tego! – Jego żona wybuchła szlochem. – Proszę, nie rób!

Była bliska hysterii. Stała ciągle w tym samym miejscu, wiedząc, że nie może przekroczyć niewidzialnej granicy. Jej ruch oznaczał jego ruch. Zaciskała zęby, aby powstrzymać drżenie ust.

– Żadne z nas nie może cofnąć czasu – szepnął. – Choćbyśmy modlili się o to przez całą wieczność.

Jak na ostatnie słowa brzmiało to całkiem ładnie. Może gdzieś to już słyszał?

Zrobił krok do przodu.

# **CZEŚĆ PIERWSZA**

**BERNARD SZAJER I BERNI**

# DZIEŃ PIERWSZY

## 1.

Bernard Szajer zapadł się w skórzanej kanapie. Ze szklanką mleka w jednej ręce i miską płatków śniadaniowych w drugiej. Tak lubił najbardziej. Chrupać pojedyncze płatki i zapijać je, a nie jeść rozmokłą papkę.

Zapowiadał się ciężki dzień. Za trzy godziny miał zaplanowane spotkanie z członkami sztabu wyborczego, potem lunch z przedsiębiorcami, a o czternastej wygłaszał przemówienie w auli uniwersyteckiej. Zgodnie z sondażami, studenci stanowili istotną część jego elektoratu. Na tyle istotną, że nie mógł sobie pozwolić na najdrobniejszą wpadkę. Przez pół nocy powtarzał w myślach ostateczną wersję tekstu. Przez drugie pół nadawał jej nowy kształt. Przespał co najwyżej dwie godziny, ale adrenalina skutecznie przegoniła zmęczenie. Poranny prysznic w lodowatej wodzie dopełnił dzieła. Na jego przystojnej, gładko ogolonej twarzy nie było ani jednej zmarszczki.

Odstawił miskę na szklany stolik i sięgnął po tablet. Kiedy tylko go uruchomił, rozładowała się bateria.

– Szlag! – rzucił pod nosem.

Rozejrzał się za ładowarką, ale musiała zostać w sypialni. Nie chciał wracać i budzić żony przetrząsaniem wszystkich zakamarków. Miał okropny nawyk rozrzucania rzeczy, gdzie popadnie. Tyle że zgubione rzeczy potrafiły naprawdę zirytować.

Kątem oka zauważył, że do salonu skrada się jego córka, czterolatka o wielkich niebieskich oczach i burzy jasnych włosów. Najpiękniejsze

dziecko, jakie tylko mógł sobie wyobrazić. Udał, że jej nie zauważył, zajęty lustrowaniem zacieków na szklance mleka. Kiedy dziewczynka podkraśniała się bliżej, szybko odstawił szklankę i odwrócił się, szeroko rozkładając ręce.

– Buu! Mam cię!

Dziewczynka podskoczyła z piskiem, a on cicho się zaśmiał.

– Chodź, Różyczko, nie obudź mamy! – Przesunął się na kanapie, wskazując, żeby usiadła. – Chcesz już śniadanie?

– Jeszcze nie. Za chwilę.

„Za chwilę” znaczyło, że zanim do niego przysła, ukradkiem pochłonięła kilka łyżek kremu czekoladowego. Tak samo ukradkiem, jak przed chwilą się do niego skradała.

Dziewczynka wgramoliła się na kanapę i usiadła obok niego. Zwiesiła bezwładnie nóżki, zwracając na siebie uwagę. Szajer objął ją ramieniem i delikatnie przewrócił na plecy. Połaskotał ją pod żebrami. Znowu zapiszczała, tym razem jednak dużo ciszej. Śmiejąc się, obróciła się na bok i położyła głowę na jego kolanie. Spokojnym ruchem pogładził jej włosy.

– Kiedy będziesz głodna, to mów.

– Mhm. I nakarmimy Fiodona.

Róża nie miała problemów z wymawianiem litery „r”, ale uparcie przekreślała imię ich kota. Szajera zawsze to bawiło. Wziął całą garść płatków i głośno je żując, włączył telewizor.

Na paśmie lokalnym emitowano wydanie specjalne. Czerwony pasek informacyjny alarmował, że odnaleziono zwłoki jednej z kandydatek na urząd prezydenta miasta. Reporterka, która najwyraźniej nie radziła sobie z wejściem na żywo, miała przerażenie w oczach.

*To zdarzenie może obrócić trendy wszystkich ostatnich sondaży – mówiła drżącym głosem. – Niewielkie różnice punktowe wskazują, że decyzja jej wyborców rozstrzygnie o wyniku całego wyścigu. Tymczasem eksperci w studio apelują do kandydatów o zawieszenie kampanii. Nie udało nam się dotychczas uzyskać od nich żadnego stanowiska. Zapewne więcej dowiemy się w ciągu najbliższych godzin, a może minut....*

Jego córka w ogóle nie zwróciła uwagi na tę informację. Mimo tego przyciszył telewizor. Pomyślał, że jego wyłączony na noc telefon został



zapchany setką wiadomości. Przygryzł wargę. Jedyne, co czuł, to niepewność. Cokolwiek proponowaliby jego doradcy, musiał wypełnić wszystkie zobowiązania na ten dzień.

Lunch i spotkanie ze studentami były priorytetowe. Później będzie można zawiesić kampanię. Na dwa, trzy dni, podczas których wszyscy przywdzieją sztuczną żalobę. Tylko co z jej wyborcami? Na kogo się przerzuca? A może zrezygnują z udziału w wyborach? Tego nie wiedział. I to frustrowało go najbardziej.

Na korytarzu na dole rozległy się kroki.

– Mamusia wstała! – Róża podniosła głowę z jego kolan. – Zrobimy śniadanie?

Szajer jeszcze raz przegładził włosy córki i wyłączył telewizor. Odstawił na stolik pustą szklankę. Kiedy Maria Szajer weszła do salonu, powitał ją wymuszonym, szerokim uśmiechem.

## 2.

Lunch z przedsiębiorcami okazał się totalną klapą. Wszyscy mówili tylko o jednym. Szajer w żaden sposób nie mógł przejść do meritum i zachęcić ich do głosowania właśnie na siebie. Impertynenckie przywołanie celu spotkania byłoby strzałem w stopę. A zatem przez ponad godzinę, w akompaniamencie doskonałych przystawek, a potem dań głównych, udawał totalnie załamane. Pluł sobie w brodę za odgrywanie tej szopki, ale robił to dalej. Pilnował się, aby nie przywołać na twarz choćby chwilowego uśmiechu. Cały czas zachowywał pozory żaloby, pamiętając o potajemnie wycelowanych w niego obiektywach.

Ubrał się w ciemnogrnatowy, prawie czarny garnitur i dobrał do niego równie ponury krawat. Kolorystyka, której wystrzegał się od czasów studenckich. W kampanii niemal codziennie propagował luźny, dość ekstrawagancki styl. Lniane marynarki, pstrokate poszetki, mokasyny na bosych stopach. To się sprzedawało. Tak samo jak sprzedawały się jego wysportowana, elegancka sylwetka i swobodny sposób bycia. Ludzie po prostu to lubili.

W krawacie czuł się nieswojo. Co chwilę odciągał palcem kołnierzyk od szyi. Koszula była doskonale skrojona, lecz zapięty ostatni guzik zawsze przyprawiał go o nieprzyjemne uczucie, jakby go podduszano. Musiał się do tego przyzwyczaić. Przynajmniej na kilka dni.

O umówionej porze Jan Rapacki, szef jego kampanii, dał znak, że lunch dobiega końca. Godzina życia została bezpowrotnie stracona, a wesołe spotkanie okazało się niespodziewanie stypą. Nie mógł zrozumieć, że przedsiębiorcy okazali się tak małostkowi. Iskierkę nadziei dał mu gruby biznesmen, który zaczepił go dopiero w hotelowym lobby. Był to jeden z deweloperów zajmujących się wykupem podmiejskich parceli i zamienianiem ich w luksusowe dzielnice.

– Ma pan mój głos – szepnął, zmierzając za nim do szatni. – Mogę dotować kogoś, kto przez tyle czasu potrafił zachować dyskrecję. I to za swoje pieniądze! Zrobimy razem interes.

Biznesmen uśmiechnął się i przemknął koło recepcji. Szajer nie wiedział, co o tym sądzić. Równie dobrze pokraczny tłuścioch w stroju od Armaniego mógł żartować, co proponować współpracę. Natychmiast polecił Rapackiemu zdobyć jego numer telefonu i przemyśleć możliwość spotkania.

Na bezrybiu i rak ryba. Co najwyżej, kontaktując się z przedsiębiorcą, wyjdzie na totalnego idiotę. Ale tylko w jednej parze małych, cwaniackich oczek.

Pożegnał się ze wszystkimi i wsiadł do podstawionego pod samo wejście samochodu. Do spotkania w auli pozostało czterdzieści minut. Wyjął z aktówki przeredagowany tekst przemówienia, a potem zerknął na kartkę z programem. Tym razem musiało pójść lepiej. Nawet nie słuchał komentarzy Rapackiego. Obmyślał, jak najtaktowniej przejść od śmierci kandydatki do tego, co ludzie rzeczywiście chcą usłyszeć.

Nie zdziwiło go, że na uczelni został przywitany jedynie przez sympatyzujących z nim profesorów i doktorów. Rektor od lat pozował na apolityczną ostoję moralności, nieangażującą się w błahe przepychanki pomiędzy partiami. Aulę udostępniał tak kandydatom prawicy, jak zielonym komunistom. Wolność słowa miała dla niego bardzo duże znaczenie. Zaskakująco duże, jak na dawnego członka PZPR.

W budynku zebrało się sporo osób. Biorąc pod uwagę, że trwała właśnie przerwa międzysemestralna, można to było uznać za spory sukces. Tak jak przypuszczał, większość z nich stanowili studenci i licealiści. Pasowało mu to, o ile mogli już głosować. Inaczej jedynie niepotrzebnie zajmowali miejsce i zabierali powietrze.

Wymienił kilka uścisków rąk i kilka smutnych spojrzeń, podobnych do tych, które wymieniają żałobnicy na cmentarzu, a wreszcie skierował się w stronę katedry. Ustawiono na niej niewielki podest, a na nim pulpit pomalowany w kolory jego komitetu. Miły gest albo skuteczny zabieg sztabu wyborczego.

Spotkanie zaczął chwilę przed czasem. Poczłł się dziwnie, nie rozpoczynając go od wymiany dowcipów i nie wchodząc z zebranymi w radosną interakcję. Jeszcze raz publicznie złożył kondolencje bliskim kontrkandydatki, powiedział o niej kilka ciepłych słów, a nawet poprosił o minutę ciszy. Kiedy pochylał w zadumie głowę, błysnęły flesze aparatów. Z trudem powstrzymał uśmiech zadowolenia.

Wreszcie postanowił przejść do swojego programu. W samochodzie wszystko obmyślił. Wyprostował się, smutno rozłożył ręce i zwrócił się wprost do zgromadzonych.

– Z przykrością muszę powrócić do punktów programu, które mam przed sobą spisane na kartce – zastukał w dyktowy blat. – Wydrukowałem je wczoraj, kiedy nie mieliśmy pojęcia, jaka tragedia rozgrywa się w życiu Patrycji Skawińskiej. Świętej już pamięci Patrycji Skawińskiej.

Zrobił chwilę przerwy i spojrzał przed siebie. Oślepił go źle zainstalowany reflektor, ale wyraźnie widział twarze osób stojących najbliżej. Pełne napięcia, zadumane, niezbyt chętne do wyciągnięcia kartoników z jego nazwiskiem i logo kampanii.

– Wszyscy państwo – podjął po chwili – przyjechaliście tu po to, aby mnie poznać. Jednakże nie jako człowieka pogrążonego w smutku po stracie przeciwniczki politycznej, a prywatnie – wyjątkowej koleżanki. Przyjechaliście poznać mnie jako kandydata na prezydenta. I choć trudno mi dziś mówić o swoim programie, czuję się zobowiązany wobec was.

Chyba wyszło całkiem zgrabnie. Szmer głosów, które przeszły po auli, wydawał się wyrazem uznania.

Ponurym tonem zaprezentował najważniejsze punkty swojego programu. Celowo wybrał te, które najbardziej powinny przypaść do gustu studentom. Statystycznie stanowili oni najbardziej radykalnych wyborców. Kierowali się albo na lewo, albo na prawo, albo liberalnie, albo socjalistycznie. Dał im więc to, czego oczekiwali. Dawkę krwistych planów, wyłożoną na najpiękniejszym talerzu.

Przerwał, aby napić się wody. Ponownie rozejrzał się po zgromadzonych. Jego wzrok od pewnego czasu przyciągał postawny mężczyzna z szeroką szczęką i przymrużonymi oczami. Siedział kilka rzędów od podestu, ale jako jedyny był niemal nieruchomy. Szajer już wcześniej zwrócił uwagę, że jego twarz nie zdradzała żadnej emocji. Ani kiedy mówił o śmierci kontrkandydatki, ani kiedy przeszedł do swojego programu. Lubił kontakt z tłumem, jednak na widok tego człowieka poczuł się skrępowany. Mimowolnie odciągnął kołnierzyk koszuli od grdyki. Niewybaczalny błąd wizerunkowy.

Kontynuując swoje przemówienie, zostawił kartkę i przeszedł wzdłuż sceny. Najpierw w przeciwną stronę niż gapiący się nań mężczyzna, a potem – kierując się naprzeciw niego. Mierząc się z nim spojrzeniem, na chwilę zamilkł. Miał wrażenie, że facet uśmiechnął się ironicznie, jakby z niego kpił. Szajer zrobił kilka kroków, aby ominąć rażące światło reflektora. Przez nie widział tylko ogólny zarys jego twarzy. Może skądś go znał?

Mikrofon zaczął tracić zasięg. Piarowcy wyraźnie odradzali mu spacer po scenie à la Donald Trump. W Stanach to się podobało, w Polsce ponoć pozbawiało kandydata wiarygodności.

Obszedł załom katedry, przez chwilę przygotowując się do spojrzenia dziwakowi prosto w twarz. Z najbliższej możliwej odległości. Dyskretnie pochylił się na samym skraju podwyższenia i odwrócił się w jego stronę.

Zamrugął.

Na pustym krześle leżała jedynie jego zmięta ulotka wyborcza.

Spotkanie zakończyło się chwilę po czasie. Szajer odpowiedział na kilka zadanych przez zgromadzonych pytań, zapozował do zdjęć i pożegnał się. Na sali rozległy się oklaski, potem parę osób zaskandowało jego hasła wyborcze. Kolejny miły gest albo sprytne działanie komitetu.

Schodząc z katedry, poluzował krawat. Wreszcie mógł też rozpiąć ostatni guzik koszuli.

– Gdzie idziesz? – Rapacki pociągnął go w stronę grona profesorów. – Wszyscy czekają.

– Zaraz wracam.

– Bernard, cholera, mamy niewiele czasu.

– Powiedziałem, że zaraz wracam.

Przepchnął się wzdłuż rzędu krzeseł, kierując się w stronę schodów. Automatycznie wymieniał uściski dłoni i pozdrowienia. Pamiętał twarz kobiety, która siedziała obok opuszczonego miejsca. Pulchna blondynka z okularami w czerwonych oprawkach, zapewne jedynie przez przypadek pasującymi do koszuli w tym samym kolorze. Łatwo wypatrył ją w rozchodzącym się tłumie. Szła kilkanaście metrów od niego, ale w gęstej cizbie trudno się było zbliżyć. Do tego wciąż musiał odpowiadać na powitania i poklepywania.

Zacisnął zęby, co chwilę rzucając „przepraszam”. Wkrótce dziewczyna, zaskoczona zbierającym się za plecami tłumem, odwróciła się. Od razu do niej pomachał, wskazując, aby się zatrzymała. Spojrzała na niego zdziwiona, nie wierząc, że to do niej się zwraca. Skinął tylko głową.

Po kilku minutach stanęli w rogu auli, obok wielkiego głośnika. Szajer był przez niego dość zasłonięty, aby nie zwracać uwagi wychodzących osób. Dziewczyna uśmiechnęła się zakłopotana.

– Chyba mnie pan z kimś pomylił.

– Nie, na pewno nie. – Może zbyt nerwowo podniósł dłonie. – Przepraszam, że zabieram pani czas, ale chciałem o coś zapytać...

– Tak?

Wytrzeszczyła wielkie oczy.

– Siedziała pani na auli... Na dole, niedaleko katedry.

– To jakiś problem?

– Oczywiście, że nie. Proszę mi powiedzieć, czy знаła pani mężczyznę, który siedział obok pani?

– Proszę?

Szajer powtórzył pytanie, a dziewczyna obdarzyła go jeszcze bardziej wymownym spojrzeniem.

– Nie – odparła krótko.

– Nie kojarzy go pani z uczelni, zajęć, skądkolwiek?

– Widziałam go pierwszy raz w życiu. Zwróciłam na niego uwagę dopiero wtedy, gdy przepychał się do wyjścia. Podeptał mi buty.

– No nic, mówi się trudno. – Szajer był wyraźnie zawiedziony. Mimo to zmusił się do uśmiechu. – Dziękuję.

– Nie pomogłam panu.

– I tak dziękuję. Postaw na przyszłość!

Rzucił na odchodne jedno ze swoich haseł wyborczych i, zostawiając zaskoczoną dziewczynę, wrócił do Rapackiego. Tym razem pokonanie kilkudziesięciu metrów zabrało mu znacznie mniej czasu. Ponownie przywitał się z profesorami i pozwolił się namówić na kawę w uniwersyteckiej stołówce. Domyślił się, że otwarto ją specjalnie z okazji jego przybycia.

Mimo serdecznej atmosfery nie potrafił się skoncentrować. Cały czas miał przed oczami zarys twarzy nieznanego mężczyzny. Gdyby był gwiazdą rocka, w ten sposób mogłyby się w niego wpatrywać najzagorzalsze fanki. Jak zahipnotyzowane. Z drugiej strony, w tym ostrym, świdrującym spojrzeniu wyczuwał nienawiść.

Sądził, że znał się na ludziach, ale tym razem nie umiał rozwiązać zagadki. Wielbiciel czy oponent? Swój czy wróg? Uspokajał się, że nie jest Kennedym i nikt nie ma zamiaru go zastrzelić. Bo niby po co?

Nawet nie zarejestrował, kiedy spotkanie z kadrą się skończyło i znów znalazł się w samochodzie.

– *Finito!*

Rapacki wreszcie się uśmiechnął. Otarł pot z czoła i poprawił krawat. W przeciwieństwie do Szajera, nie poluzował go nawet na chwilę. Garnitur traktował jak zbroję, której publicznie nie wolno zdejmować. Zawsze formalny, bez żadnych ekstrawagancji, mógł się wydawać nudny. Był jednak oddanym przyjacielem Bernarda i doskonale umiał

poprowadzić jego kampanię. Wiedział, w jakiej scenerii ten się odnajdzie, a gdzie będzie zakłopotany. Co w jego ustach zabrzmiało wiarygodnie, a co wymamrocze tonem Wałęsy mówiącego, że nie jest agentem Bolkiem.

Szajer kazał kierowcy podkreślić klimatyzację. Było mu duszno.

– Robił ktoś zdjęcia? – zapytał, rozpinając kolejne dwa guziki koszuli.

– Na sali było kilku dziennikarzy. Poza tym co chwilę ktoś wyciągał komórkę.

– Chodzi mi o nas. Czy mamy jakieś zdjęcia z perspektywy katedry?

– Nina coś robiła.

Nina była wolontariuszką zajmującą się kontaktami z mediami społecznościowymi. Facebook, Twitter, Instagram, większości nazw nawet nie pamiętał. Rzucił tekst, a ona go podłapywała i robiła z niego chwytliwe slogany. Solidna i zdolna dziewczyna.

– Gdzie ona jest?

– Wyszła chwilę przed nami i pojechała do sztabu.

– Powiedz, żeby przesłała wszystko na mojego maila.

– Po co ci to?

Szajer oparł się o zagłówek i zmienił temat.

– Jak poszło?

– Całkiem nieźle. – Rapacki sprawdził spinki koszuli. – Zobaczymy, jakie komentarze pojawią się w sieci. Za jakąś godzinę wrzucą pewnie pełną relację.

– A co z zawieszeniem kampanii? Ktoś się na to pisze?

– To tylko frazesy. W najbliższych dniach, przynajmniej do pogrzebu Skawińskiej, ograniczymy nieco liczbę spotkań. Potem ruszamy pełną parą.

– Nie wiadomo, kiedy będzie ten pogrzeb.

– Kwestia dni.

– Masz jakieś informacje z policji?

Rapacki uniósł ręce w geście poddania.

– Oficjalnie żadnych. – Wydał blade wargi. – Ale chodzą słuchy, że to nie było samobójstwo. W każdym razie media jeszcze nic nie wiedzą.

– Nie samobójstwo? – Bernard głośno wypuścił powietrze. – Lepiej, żeby obecna wersja utrzymała się jak najdłużej.

Zamilkli i ostatnie kilometry pokonali w ciszy, zajęci własnymi myślami. Kiedy kierowca zatrzymał auto, Szajer się nie poruszył.

– Jakie plany na jutro?

– Żałoba. – Rapacki wymownie mlasnął. – O ósmej masz zjeść śniadanie U Naleśnikarza. Będiesz sam, zwykła pokazówka, pewnie jacyś hipsterzy cykną ci parę zdjęć. Zamówisz...

– Rozmawialiśmy już o tym.

– Dobrze. Więc wszystko pamiętasz?

– Tak. A potem?

– Nic. Uczymy ciszą pamięć Skawińskiej. Co najwyżej spotkamy się w sztabie, a ja z Niną przygotuję odpowiednie komunikaty dla mediów. Ty trzymaj się na uboczu.

Szajer pociągnął za klamkę i wyszedł z samochodu. Czerwona kula słońca chowała się za domami. Powietrze pachniało nagrzanym asfaltem i grillem z pobliskiego ogródka. Wokół szumiały szlauchy nawadniające wysuszone trawniki.

Z impetem zamknął drzwi i skierował się w stronę drewnianej furtki. Uwielbiał to zacisze pod miastem. Przeszedł pomiędzy tujami i minął huśtawkę, którą zamontował dla Róży. Dom tonął w cieniu rzucanym przez wysokie brzozy. Na wycieracze przed wejściem spał Fiodor. Kruchy devon rex, pokryty króciutką, szczeciniastą sierścią. Na odgłos jego kroków podniósł się i otarł o jego nogę.

Szajer podrapał kota za uchem.

Fiodor wemknął się do domu razem z nim. Wyprzedzając go, poczłapał do kuchni. Szajer odstawił teczkę i rozwiązał krawat. Czuł się jak zdejmowane z szubienicy zwłoki.

– Wróciłem! – krzyknął, idąc w stronę salonu.

Zdjął marynarkę i przerzucił ją sobie przez ramię. Wtedy zobaczył, że jego żona siedzi skulona na kanapie, trzyma głowę pomiędzy ramionami i głośno łka. Na szklanym stoliku leżała cała sterta zużytych chusteczek.

– Maria...

Podbiegł do żony i kucnął przy niej.

– Co się stało? Gdzie jest Róża?

Spojrzała na niego pustym wzrokiem. Miała opuchnięte oczy i zaczerwieniony od wycierania nos. Drżącą dłonią podała mu



kwadratową kartkę papieru. Została zadrukowana wielkimi czerwonymi literami. Szajer przeczytał.

*Kontakt z policją – Różyczka nie żyje.*

*Zmiana planów wyborczych – Różyczka nie żyje.*

*Obserwuję was.*

*Jutro dowiecie się więcej.*

## DZIEŃ DRUGI

### 1.

Przez całą noc Szajer nie wypuścił telefonu z dłoni. Na zmianę chciał dzwonić na policję i oczekiwał kontaktu od porywacza. Maria błagała go, aby nie zawiadamiał służb. Groźba została sformułowana wystarczająco dobitnie. Płacząc, zasnęła nad ranem na kanapie. On obmyślał możliwe scenariusze.

Czego mógł chcieć ten sukinsyn? Miał tylko jedną odpowiedź, której nie chciał wprost formułować.

Otworzył whisky, ale nie napił się ani kropli. Obawiał się, że w każdej chwili będzie musiał gdzieś jechać. Że porywacz zadzwoni i wskaże mu miejsce przekazania okupu. Bo tylko o pieniądze mogło mu chodzić.

Nie byli milionerami, ale przez udział w życiu politycznym sprawiał wrażenie, że jest inaczej. Wystawne bankiety, eleganckie spotkania z lampką szampana, samochody. Wszystko na koszt podatnika albo prywatnych donatorów. Szajer mógł liczyć na wsparcie znajomych. Mógł też zaciągnąć kredyt na dom i pozyskać w ten sposób sporą sumę. Samochody i kilka zgromadzonych antyków również miały swoją wartość. Z ich sprzedażą nie powinno być problemu.

Powstrzymując napływające do oczu łzy, zastanawiał się, gdzie jest Róża. Czy jest jej ciepło, czy dostała jedzenie, czy nic jej się nie stało. Starał się od razu odsuwać od siebie te myśli. Był pragmatykiem. Porwanie rozpatrywał w kategoriach paskudnego, najokrutniejszego biznesu. Mogli stać za nim zarówno fachowcy, jak i najwięksi amatorzy. Dziewczynkę porwano sprzed domu. Bawiła się na podwórku, w miejscu

niewidocznym z wnętrza. Maria płakała, że powinna jej pilnować i zamykać bramę. Teraz to niczego nie mogło już zmienić.

Wiadomość znalazła przyklejoną taśmą do huśtawki. Zwróciło jej uwagę, kiedy Róża nie pojawiła się na podwieczorku. Był to jej ulubiony posiłek. Słodkie naleśniki, ewentualnie gofry lub koktajl owocowy. Zazwyczaj, zniecierpliwiona, towarzyszyła matce już w przygotowaniach, dorzucając do potrawy tony kremu czekoladowego.

Tuż po siódmej Szajer przebrał się i wrócił do salonu. Delikatnie położył dłoń na głowie żony. Przeczesał jej włosy tak, jak przed niespełną dobą przeczesywał je córce.

– Muszę wyjść – szepnął.

Maria otworzyła oczy. Nie spała.

– Gdzie?

– Napisał, żebym nie zmieniał planów wyborczych. Miałem dzisiaj zjeść śniadanie w centrum.

Nie odezwała się. Zacisnęła usta, powstrzymując szloch.

– Ty musisz być w domu. Ten drań może w każdej chwili zadzwonić. Miej cały czas przy sobie telefon i błagam cię, bądź ostrożna...

Pocałował ją w policzek i wyszedł. Szybko, aby pozostawić za sobą wątpliwości.

Zanim wyjechał z garażu, dwa razy zgasł mu silnik. Drżąca stopa ześlizgiwała się ze sprzęgła, bez koordynacji z ruchem dłoni. Zatrzymał się przed bramą. Wciągnął głęboko powietrze i uderzył w kierownicę. Wściekle. Kilka razy, aż rozboleły go kłykcie. Po raz pierwszy głośno się rozpłakał.

Minęło wpół do ósmej. Miał niecałe pół godziny, aby dojechać na miejsce. Śniadania w U Naleśnikarza jadał co trzy dni. Był to jeden z elementów kampanii mających zbudować jego wizerunek, więc wiedziało o tym sporo osób. Skoro musiał się trzymać kalendarza wyborczego, powinien się spieszyć.

I wyglądać jak na poważnego polityka przystało.

Otarł oczy, włączył radio i wyjechał na ulicę. Stojąc w korku w kierunku centrum, nerwowo zerkał na zegarek. Nigdy nie zwracał uwagi, o której dokładnie godzinie przychodził do restauracji. Kwadrans

w tę czy w tamtą nie miał znaczenia. Tego dnia jednak musiał być punktualnie.

Dwa razy przejechał na czerwonym świetle, rozglądając się tylko przy tym, czy w pobliżu nie ma policji. Lekceważąc trąbienie sznura samochodów, zablokował skrzyżowanie. Kiedy z niego zjechał, skrócił sobie drogę, jadąc wąską uliczką pod prąd. Na szczęście nie było na niej ruchu i bez problemu zaparkował pod samym wejściem, co mogło być nie najlepsze wizerunkowo, ale teraz takie detale miał w dupie.

Za dwie ósma.

U Naleśnikarza było niewielką kawiarnią, w której serwowano wyborne śniadania. Jej właściciele wybierali polskie produkty i podmiejskich dostawców. Ponoć tylko kawa była importowana. W środku znajdowało się jedynie kilka osób, zajętych lekturą porannych gazet. Podczas jego pierwszych wizyt przychodziło znacznie więcej gości, aby z nim porozmawiać albo głośno wyrazić swoją dezaprobatę dla jego programu. Najwidoczniej ten element marketingowy się przejadł.

Zamówił espresso i jajecznicę. Zabójcza mieszanka na pusty, skręcony z nerwów żołądek. Wiedział, że i tak prawie ich nie tknie. Bacznie obserwował wchodzących klientów. Dwie nastolatki wgapione w ekrany telefonów komórkowych, trójka licealistów w pstrokatych ubraniach i modnych fryzurach. Starając się zachować pozory normalności, zdjął z wieszaka gazetę i położył ją przed sobą. Nie miał ochoty czytać, litery mieniły się w zmęczonych, przekrwionych oczach.

Drgnął, kiedy kelnerka postawiła przed nim talerz pachnącej mlekiem jajecznicy. Ku swemu zdziwieniu poczuł głęboki głód. Łapczywie umoczył kawałek pszennej bułki w rozplływającym się białku i pochłonął go od razu. Zaraz po nim dwa kolejne. Kiedy sięgnął po widelec, ktoś przeszedł, ocierając się o jego ramię.

Nagle zwałisty mężczyzna, którego widział poprzedniego dnia w auli, usiadł naprzeciwko niego. Kawałek bułki utkwiał mu w gardle, opierając się próbom przełknięcia.

Nieznajomy był potężniejszy, niż sądził. Miał kwadratową, toporną twarz i ciemne, prawie czarne oczy. Jego skóra odcieniem przypominała wyschnięty cement. Tłuste, ścięte na jeża włosy sterczały nad płaskim

czołem. Mimo upałów nosił brązową skórzaną kurtkę w kowbojskim stylu.

– Mów szeptem – poinstruował Szajera. – Nie muszę chyba tłumaczyć, co się stanie, jeżeli zrobisz coś głupiego albo ktokolwiek nas podsłucha. Zrozumiałeś?

Szajer skinął głową.

– Powiedz to. Zrozumiałeś?

– Tak, do diabła. Zrozumiałem.

Na twarzy mężczyzny pojawił się kpiący uśmiezek.

– Uspokój się. Z daleka widać, że coś nie gra.

– Kim jesteś?

– Mów mi po prostu Berni.

Szajer przygryzł wargi. W ten sposób zwracali się do niego niektórzy znajomi. Znacznie częściej przed laty, kiedy na topie były filmy z „Arnim” Schwarzeneggerem, ale i teraz się zdarzało. Nie miało to jednak żadnego znaczenia.

– Dobra, Berni. – Głos mu drżał, przybierając niechciany, błagalny ton.

– Jak się czuje moja córka?

– Nie martw się. Wszystko z nią w porządku, dbam o nią jak o własną. Wcale go to nie uspokoiło.

– Potrzebuję dowodu.

– Dostaniesz. W swoim czasie.

– Czego ty ode mnie chcesz? Nie znam cię. Nie szukam kłopotów. Chcesz pieniędzy? Nie mam ich wiele, ale załatwmy to szybko.

– Pieniądze? Chodzi o coś znacznie ważniejszego.

– O co?

Berni zamilkł, kiedy obok nich przechodziła kelnerka. Stolik był na tyle mały, że mogli porozumiewać się całkowicie dyskretnie, ale zachowywał ostrożność. Najbliżsi goście siedzieli kilka metrów dalej, a ich słowa i tak zagłuszała muzyka.

– Tego dowiesz się w swoim czasie – odezwał się po chwili.

– Na co mam czekać?

– Przyszedłem tu tylko po to, abyś wiedział, że to nie jest zabawa. Popatrz na mnie i zobacz, jaki jestem cholernie poważny.

– Powiedz, gdzie jest moja córka, i nikt się o niczym nie dowie. Słowo.

– Niezawiadomienie o przestępstwie jest przestępstwem. – Berni pokręcił głową. – Nieładnie, Szajer, nieładnie...

– Załatwmy to.

– Twoje skomlenie nic nie da. Jeżeli będziesz posłuszny, za kilka dni Różyczka do ciebie wróci.

Po plecach Szajera przebiegł lodowaty dreszcz. Kilka dni! Miał nadzieję, że zaraz dogada się z tym szaleńcem, przekaże mu okup czy cokolwiek tamten chciał i za parę godzin odzyska córkę.

– Czego ty, kurwa, chcesz? – zapytał tonem niewiele głośniejszym od szeptu, przeciągając głoskę r.

Berni gwałtownie się zaczerwienił. Żyła na jego skroni zapulsowała.

– Jeszcze raz się tak do mnie zwrócisz – syknął – to skończymy tę gierkę. Najpierw zgwałcę twoją słodką Różyczkę, a potem zostawię ją tam, gdzie nikt jej nie znajdzie. Po paru dniach pewnie padnie z pragnienia, a wtedy może ktoś zwróci uwagę na smród rozkładającego się ciała.

Szajer poczuł mdłości. Spojrzał w stronę okna. Chciał złapać tego gnoja za kark i rozwalić mu łeb o ścianę, ale bał się. Bał się, że nie odnajdzie córki. Że ten sukinsyn trzyma ją w jakimś odludnym miejscu, bez jedzenia i picia. Wściekłość wręcz kipiała mu w głowie.

Z trudem uspokoił oddech i odwrócił się w stronę Berniego. Żyła na jego skroni zapadła się, a twarz powróciła do naturalnego, szarego koloru.

– Wiem, co zrobiłeś – szepnął mężczyzna. – Doskonale to wiem.

Szajer przełknął ślinę.

– Nie rozumiem.

– Rozumiesz. Nie jesteś głupi.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

Berni jedynie się uśmiechnął. Szeroko i drapieźnie. Najwyraźniej był dumny z szeregu swoich krzywych żółtych zębów.

Zażądał jakiegokolwiek dowodu, że jego córka jest dobrze traktowana. Berni zbył jego prośby milczeniem. Zachowywał się, jakby działał według z góry ustalonego planu, od którego nie chciał zrobić najdrobniejszego odstępstwa. Przekazywał Szajerowi informacje niczym automat parkingowy wypluwający numerki. Choćby walić go łopata, nie ma możliwości wyduszenia z niego prognozy pogody.

Więcej Berni miał mu wyjaśnić nieco później. Jeszcze raz ostrzegł go przed próbą kontaktowania się z policją, sugerując, że ma tam równie dobre znajomości co on. Brzmiał przy tym bardzo wiarygodnie. Wyszedł, zostawiając polityka z wystygłą jajecznicą i espresso.

Szajer nerwowo przeciągnął dłońmi po twarzy. Były spocone i gest ten, zamiast go odświeżyć, napełnił go obrzydzeniem. Do siebie samego.

Zerknął na zegar zawieszony nad szklanym, pełnym słodczy regałem i westchnął. Wszystko rozegrało się w ciągu niespełna dwudziestu minut. Miał przed sobą cały dzień zamartwiania się, pocieszania Marii i wkurwiania się na świat. Zganił się, myśląc o tym, jaki dzień czeka Różę. Zacisnął pięści i przytrzymał je pomiędzy kolanami. Podjął szybką decyzję. Ryzykowną, ale niezbędną.

Położył przy talerzu banknot i wybiegł z lokalu. Ostre, poranne słońce, odbijające się od witryn wieżowca, oślepiło go. Okulary zostawił w samochodzie. Teraz nie miał jednak czasu ich szukać. Były jedną z tych drobnych rzeczy, które chaotycznie rozrzucił.

Rozejrzał się. Po obu stronach ulicy przemykali przechodnie. Mężczyźni w garniturach, kobiety w eleganckich garsonkach, nastolatki z koszulkami pełnymi niezrozumiałych nadruków i w wytartych jeansach. Większość korporacji otwierało swoje piekielne podwoje od dziewiątej, więc w okolicy była właśnie pora szczytu. Nigdzie nie dostrzegł Berniego.

Podbiegł wzdłuż fasady kawiarni i z nadzieją popatrzył za załom budynku. Na końcu uliczki znajdował się jedynie zjazd do podziemnego parkingu pobliskiego biurowca. Był zamknięty.

Szajer zaklął.

Pochylił się i oparł dłonie na kolanach. Z trudem powstrzymał odruch wymiotny. Nagły powiew porannego wiatru ożywczo załopotał jego

koszulą. Zaczepnął kilka głębokich wdechów i wyprostował się. Wtedy go dostrzegł.

Brazowa, skórzana kurtka mignęła wśród osób kierujących się do przejścia podziemnego. Nie mógł się pomylić. Trzymając się skraju chodnika, pobiegł za nim. Lekko skulony, jakby to miało sprawić, że będzie mniej widoczny. Nieopacznie szturchnął jakąś nastolatkę i wytrącił z jej dłoni telefon. Nawet się nie odwrócił. Kiedy dopadł do szczytu schodów, skórzana kurtka mignęła przy szybie wind. Berni kierował się w stronę przeciwną niż centrum.

Szajer zbiegł po schodach, przeskakując je po kilka, i podążył jego tropem. Nie miał żadnego planu działania. Mógł jednak spróbować dowiedzieć się czegoś o tym skurwielu. Do jakiego auta wsiądzie, czy kogoś spotka, a może – gdzie pracuje. To wszystko mogło się przydać. Każdy szczegół mógł pomóc uratować Różę.

Ten fragment podziemnego przejścia cuchnął wilgocią zmieszaną ze smrodem publicznego szaletu. Poruszało się nim mniej ludzi, gdyż prowadził w stronę wyjścia na jedną z bocznych ulic. Kiedy go konstruowano, w planach było też wzniesienie przy niej autobusowej stacji przesiadkowej. Plany pozostały na papierach, a przejście kończyło się u stóp zorganizowanego trzydzieści lat później parkingu. Swoją drogą, jednego z najdroższych w mieście i zajmującego działkę o niebotycznej wartości. Od lat dybały na niego rekiny biznesu, z którymi Szajer spotkał się poprzedniego dnia. Wywaliliby kosmiczne pieniądze, aby go przejąć i wznieść kolejny szklany biurowiec. Właściciel zdawał sobie jednak sprawę, że cena nieruchomości rośnie z każdym miesiącem.

Berni zniknął mu z oczu u szczytu schodów. Zobaczył go po chwili, idącego wzdłuż liny wytyczającej teren parkingu. Wreszcie skręcił przy budynku wspartym konstrukcją rusztowań. Prace musiały zostać wstrzymane, bo wokół nie było żadnych robotników.

Kiedy Szajer wszedł na przykrywające wykop deski, ponownie zgubił Berniego. Nie było go ani na końcu przejścia, ani na zapchanej samochodami uliczce obok. Przyspieszył kroku, strzepując z ramienia piasek, który obsypał się z rusztowania. Pusto. Kilku spóźnionych elegancików znikło w bramie pobliskiej kamienicy.



Na moment utkwiał wzrok w zielonym szyldzie kancelarii adwokackiej.

Wtedy poczuł przeszywający ból pleców. Cios wymierzony stalowym prętem pozbawił go tchu. Przez chwilę nie mógł zaczerpnąć powietrza, a jego nogi przebiegł ostry skurcz. Zgiął się, opierając o hydrant.

Berni stanął naprzeciwko niego i złapał go za szczękę. Ciężko dysząc, odrzucił pręt.

– Zabiję ją! – krzyknął, plując mu w twarz. – Pieprzona gnido! Przez twoją głupotę rozerwę ją i zatłukę na kwaśne jabłko!

Zaciskał dłoń z taką siłą, że Szajer poczuł ból zębów. Miał wrażenie, że kość zaraz pęknie na kawałki. Spróbował się wyprostować, ale nie był w stanie.

– Ja...

– Co ty? Myślałeś, że jestem ślepy?

Berni gwałtownie go puścił. Rozejrzał się po ulicy, upewniając się, że nikogo nie ma w pobliżu. Zresztą nawet jakby ktoś był, to co z tego. Pomagał staremu kumpłowi, zawianemu po całonocnej imprezie.

– Słuchaj – wysyczał mu prosto do ucha – zrobiłeś coś strasznie głupiego.

Szajer odkaszlnął, rozmasowując szczękę.

– Nie wiedziałem... – Mówienie przychodziło mu z trudem. – Nie wiedziałem, że tu jesteś.

– Znowu kłamiesz.

– Nie kłamię. Szedłem do kancelarii.

Wskazał na kolejny zielony szyld adwokata po przeciwnej stronie ulicy. Sam nie uwierzyłby w tę wymyśloną na poczekaniu historię.

– Zajmuje się sprawami naszej kampanii. Miałem coś załatwić, a skoro byłem już w okolicy...

– Co to za sprawy?

– Podatkowe – wypalił bez zastanowienia. – Rozliczenia, dotacje...

– Z tym lepiej do księgowego.

– Adwokaci są tańsi.

Berni spojrzał na niego spode łba. Nagle zamachnął się pięścią, ale go nie uderzył.

– Bu! Przestraszyłeś się!

Roześmiał się na cały głos. Wręcz dusił się ze śmiechu. Po chwili zbliżył się do Szajera i poklepał go po ramieniu.

– Okej, już jestem spokojny – powiedział, wciąż chichocząc. – Ale teraz powiem ci, co masz zrobić.

### 3.

Tuż po jedenastej Szajer wjechał na siedemnaste piętro wieżowca High Heel. Główne biuro wyborcze mieściło się w jednej z kamienic w centrum, ale gros interesów załatwiano właśnie tutaj. Media kilkakrotnie obsmarowały ich za marnotrawienie pieniędzy podatników, ale wykaraskali się, pokazując księgi rachunkowe. Pomieszczenia najmowali za bardzo dobrą cenę od jednego z członków komitetu. Prasa na szczęście nie doszukała się, że w zamian za to od lat jego kuzynka dostaje jedynekę na liście do Sejmu. Mimo że nie byli w parlamencie, mieli dość kontaktów, aby to załatwić.

Przeszedł wewnętrznym, obklejonym fototapetami korytarzem i skierował się bezpośrednio do biura. Zazwyczaj po drodze wstępował na krótkie pogaduchy do działu marketingowego, ale teraz nie miał na to najmniejszej ochoty. Poza tym czas go naglił.

Większość ludzi pracowała w terenie, a wolontariusze nie mieli nawet wstępu do siedziby w drapaczu chmur. Spodziewał się, że w biurze zastanie jedynie Rapackiego. Ten tytan pracy od rana do nocy opracowywał strategię działania. Byli tak samo ambitni, co rzadko przekładało się na przyjacielskie stosunki. Szajer niezwykle doceniał jego zaangażowanie i pilnował, aby został sownie wynagrodzony. W razie wygranej chciał go mieć jak najbliżej siebie.

Wiele lat temu sam był szefem kampanii w wyborach do rady miasta. W tamtych czasach to jej członkowie, a nie bezpośrednio obywatele, wybierali prezydentów. Cały nacisk więc szedł na promowanie partii politycznych i ich komitetów, a nie pojedynczych twarzy. Było to znacznie trudniejsze, chociażby z logistycznego punktu widzenia. Poza tym znaczna ich część nie funkcjonowała na państwowej scenie, więc trzeba było podwójnego wysiłku, żeby dotrzeć do wyborców. Syzyfowa praca

i kopanie pod sobą dołków. A raczej dziur sięgających niemal do jądra ziemi.

Kiedy kampania była na finiszu, pracował po dwadzieścia godzin dziennie. Zwoływał konferencje prasowe, organizował wiece i spotkania z obywatelami. Konsultował hasła, slogany i dobór zdjęć. Wzorował się na działaniach swoich odpowiedników w krajach Europy Zachodniej i w Stanach. Wielki styl i rozmach. Wychodził z założenia, że nie warto oszczędzać, a koszty zwrócą się już w pierwszych miesiącach kadencji – nie liczyła się forsa, lecz władza. Zdobył zaufanie, wykorzystał je i ostatecznie partia, do której należał, odniosła spektakularne zwycięstwo.

W nagrodę za wysiłek dostał między innymi niezłe stanowisko w ministerstwie. Wszystko było doskonałym układem zamkniętym. Ręka rękę myła, jej towarzyszka pod stołem przedkładała kontrpropozycję. Polityka.

W międzyczasie poznał Marię, córkę jednego z najbardziej znanych posłów i urodzoną lwicę salonową. Imponowały jej jego samozaparcie i bezkompromisowość. Zapewne podobały się jej też stosunkowo wysokie, jak na otaczające realia, standardy moralne. Nigdy nie powiązano go z żadną aferą, nie przyłapano na udziale w przekrętach czy choćby współpracy z lobbystami. Niektórzy sądzą, że po prostu jest na to zbyt sprytny, inni wierzyli w jego uczciwość. Maria zapewne była gdzieś pośrodku, ale doceniała w równej mierze obie cechy.

Kiedy urodziła się Róża, rzadko bywał w domu. Większość czasu spędzał w swoim gabinecie i w kuluarach ministerstwa. Przez osiem lat ciężko harował, nie dając się okantować. Przetrwał zmianę rządu i prawdziwą pieriestrojkę. Gdyby Rosjanie przeprowadzili ją tak głęboko, ZSRR zamieniłoby się w raj kapitalizmu. Mimo tego po tych ośmiu latach poczuł wypalenie. Niby był na samym świeczniku, ale szklany sufit hamował dalsze podskoki. Nie ukrywał swoich ambicji, więc nieoczekiwanie został postawiony do pionu. Z dnia na dzień posada w ministerstwie zamieniła się w polityczne zesłanie. Zniknął z mediów, skazany na zapomnienie.

Wtedy postanowił działać. Nie miał wystarczająco dużo kapitału na stworzenie krajowej partii, ale był dość znany, aby zawojować coś na

stołecznym rynku. Tym bardziej, że kandydaci głównych ugrupowań pozostawali w strategicznym impasie. Musiał spróbować.

Teraz, po wielu miesiącach wyrzeczeń, harówce jeszcze intensywniejszej niż podczas jego pierwszej kampanii, wszystko zaczynało się walić. Czuł, że grunt usuwa mu się spod stóp. I to w chwili, kiedy miał odnieść decydujące zwycięstwo i zostać najmłodszym prezydentem w historii.

Lekceważąc ból obitych pleców, wyprostował się. Pchnął ciężkie drzwi i wszedł do przeszklonego pomieszczenia. Szyby zostały wykonane ze specjalnego materiału, który przepuszczał dużo światła, ale nie rozpraszał go. Dzięki potężnym klimatyzatorom w środku panował przyjemny chłód.

Tak jak się spodziewał, na jednym z krzeseł przy ogromnym okrągłym stole siedział Rapacki. W pomieszczeniu nie było nikogo innego. Gryząc w ustach ołówek, przekładał jakieś papiery. Kiedy spojrzał na Szajera, aż poprawił okulary.

– Chodzisz w tym od rana?

Szajer nie zrozumiał, o co mu chodzi.

– Nie możesz się tak ubierać.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że miał na sobie pomięte spodnie i koszulkę polo z dużym znaczkiem firmowym.

– Mówiłem, żadnych ciuchów od drogich projektantów! Wezmą nas za buców!

Nawet nie zwrócił na to uwagi. Kiedyś hurtowo zamawiał ubrania z amerykańskiej strony internetowej. Wychodziło niewiele drożej niż odzież z popularnych sieciówek. Dziś mógł włożyć coś znacznie bardziej kompromitującego.

– Musimy porozmawiać. – Oparł się o jedno z krzeseł.

– Opracowałem plan spotkań. Pogrzeb Skawińskiej ponoć ma się odbyć pojutrze, konkretów pewnie dowiemy się po południu, gdy skończy się sekcja. Potem ruszamy. Na początek szpital wojewódzki, bo to dobrze koreluje z naszymi....

– Michał, Michał. – Szajer przerwał mu, wykonując nerwowy gest dłonią. – Posłuchaj mnie.

Rapacki zaczerpnął powietrza i spojrzał na niego zza szkieł okularów.

- O co chodzi?
- Nie będziesz już szefem mojej kampanii.

#### 4.

Jakiegokolwiek usprawiedliwienia i wymówki nie mogły przekonać Rapackiego. Nawet obietnice awansu go nie uspokoiły. Roztrzęsionym głosem dopytywał się o przyczynę decyzji Szajera, a ten go zwodził. Mężczyzna, który miał zastąpić jego przyjaciela na stanowisku, właśnie przetrzymywał jego córkę. Bernard był pewny, że kiedy ten koszmar się skończy, Rapacki mu wybaczy. Pewnie nawet będzie mu głupio. Jednak w tym momencie nie trafiały do niego żadne tłumaczenia. Z poczuciem krzywdy starał się roztrząsać swoje błędy.

– Chodzi o lunch z przedsiębiorcami? – dopytywał, na zmianę chodząc i przystając. – Nie mogłem naprowadzić ich na nasze sprawy. Dobrze o tym wiesz. Wszyscy chcieli rozmawiać o Skawińskiej i musieliśmy im na to pozwolić. Gdybyśmy na siłę przeszli do programu, prasa zrobiłaby z nas nieczułych drani.

Szajer nawet na niego nie patrzył. Wbił wzrok w stół, na którego blacie położył dłonie.

- Nie w tym rzecz. Wszystko zrobiłeś doskonale.
- Tak doskonale, że mnie wypieprzasz?
- Zostaniesz moim rzecznikiem.
- Co? – Rapacki aż się zagotował. – Nie nadaję się do tego. Nie mam ani ładnej buźki, ani dobrej gadki.
- W takim razie jaka fucha ci odpowiada?
- Ta, którą mam.
- Miałeś.

Rapacki podszedł do Szajera i uderzył pięścią w stół.

– Bernard! Spójrz mi w oczy. – Położył mu dłoń na ramieniu. – O co chodzi? Najpierw mnie zwalniasz, potem przedstawiasz jakieś tłumaczenia, które nie trzymają się kupy, a teraz oferujesz mi dowolne stanowisko. Co się, do cholery, stało?

Szajer ciężko się podniósł. Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami, ale szybko spuścił wzrok. Niemal nigdy mu się to nie zdarzało.

– To już postanowione. Zwołaj wszystkich na za jakieś półtorej godziny. Chcę ich wdrożyć.

– W takim razie kto zajmie moje miejsce?

Szajer wyszedł z biura, pozostawiając Rapackiego bez odpowiedzi. Zadzwoił do żony, ale ta nie miała żadnych informacji. Nie chciał zajmować łącza i obiecał, że będzie jak najszybciej. Skłamał, że kontaktowano się z nim w sprawie okupu. Przeszło mu to przez usta łatwiej niż tłumaczenie całej sytuacji.

Przez ponad godzinę włóczył się korytarzami wieżowca, starając się na nikogo nie natrafić. Ból pleców na szczęście zelżał. Odrzucił dwa telefony od Rapackiego i kilka od innych członków sztabu. Jakiegokolwiek rozmowy i ustalenia nie miały teraz sensu. W końcu zaszył się w jednej z toalet i zamknął drzwi na zamek. Usiadł na sedesie i po raz kolejny tego dnia się rozplakał. Kim był gnojek, który władował się z impetem w jego życie? Miał coraz większe wątpliwości, czy nie powinien skontaktować się z policją, jednak strach o życie córki był nieodmiennie zbyt silny. Facet sprawiał wrażenie totalnego świra, a do tego mógł nie być sam. Gdyby rzeczywiście miał wtyki, Szajer skazałby Różę na śmierć. Wyrzuty sumienia potem zabiłyby jego.

Wyszedł z toalety i opłukał twarz zimną wodą. Nawet nie zerknął na swoje odbicie. Wytarł się papierowym ręcznikiem i wyszedł na korytarz. W drodze do biura poinformował sekretarkę, że ma wpuścić każdego, kto dobijałby się do siedziby komitetu. Berni mógł się przedstawić na milion sposobów. Sam w myślach szykował się na najtrudniejsze spotkanie życia.

W środku już czekali na niego Rapacki, członkowie zarządu, skarbnik i rzeczniczka. Nie było jedynie sekretarza. Kiedy wszedł, przerwali rozmowy i skupili na nim czujne spojrzenia. Musiał je wytrzymać, zachowując pełny spokój. Tylko w ten sposób mógł powstrzymać totalny chaos.

Usiadł na swoim miejscu i zerknął na zegarek. Berni powiedział, że będzie o czternastej.

– Zaczynamy za kilka minut – obwieścił rzeczowym tonem. – Przepraszam za tak nieoczekiwane posiedzenie, ale podjąłem istotną decyzję.

– Michał już ją nam przekazał – odezwał się pyzaty mężczyzna z wąsem w stylu Freddie’ego Mercury’ego. – Możesz cokolwiek wyjaśnić?

Tym razem Szajer miał przygotowaną odpowiedź.

– Potrzebne nam przetasowania. Ciągłe te same twarze sprawdzają się w parlamencie, ale na szczeblu lokalnym powinniśmy docierać do stale nowych ludzi. – Usprawiedliwiająco podniósł dłonie. – Michał wykonał kawał świetnej roboty. Teraz, mam nadzieję, podejmie się jeszcze ważniejszych zadań. Dotarłem do kogoś, kto ma znacznie szersze kontakty.

– Kto to?

– Zaraz się przekonacie. Na pewno go nie kojarzycie. Działał do tej pory raczej jako niewidzialny lobbysta.

– Mamy głosować za nieznanym?

Pytanie zadała rzeczniczka. Drobna, ładna kobieta z rudymi włosami, rzucająca się w oczy i cholernie medialna. Szajer obrzucił ją krótkim spojrzeniem.

– Jeżeli nie zagłosujecie – zawiesił na chwilę głos – zrezygnuję z udziału w wyborach.

Gdyby w tym momencie nie otworzyły się drzwi, na sali zapanowałby nieopisany harmider. Do środka wsunął się Berni. Powoli i nieśmiało. Tym razem miał na sobie szary, zupełnie niedobry garnitur i kraciastą koszulę. Obraz nędzy i rozpacz. Zwalisty rolnik zawleczony na spotkanie z papieżem.

– Oto jest. – Szajer wysilił się na uśmiech.

Zebrani patrzyli na przemian na niego i na Berniego. Nikt się nie odezwał. Buczenie klimatyzatorów przypominało w tym momencie dudnienie lądujących śmigłowców, a stłumione światło jarzeniówek zdawało się razić. Po kilku sekundach ktoś odkaslnął. Szajer za wszelką cenę musiał kontynuować tę szopkę.

– Berni – zawahał się, wymyślając nazwisko. – Berni Polak.

Tamten uśmiechnął się szeroko.

– Potraktujmy to jako pseudonim – bąknął. – W kampanii wyborczej potrzeba szarej eminencji, że tak powiem, a nie gwiazdy estrady.

– Bzdura! Wierutna, kurewska bzdura! – Rapacki zerwał się z krzesła.

– Potrzeba stabilności i zgrania, a nie zmian w ostatniej chwili.

Szajer pokręcił głową.

– Michał, usiądź, proszę. Nie róbmy scen.

– To nie jest robienie scen. Właśnie niszczysz to, na co harowałem od wielu miesięcy. Ja i wszyscy w tym biurze. Oczywiście poza tym... kimś.

Rapacki wyszedł, trzaskając drzwiami. Berni odprowadził go lodowatym spojrzeniem.

## 5.

Kiedy Szajer wrócił do domu, postanowił powiedzieć Marii całą prawdę. Mimo rejtanowskich gestów Rapackiego wybór Berniego został przegłosowany. Jego drobny szantaż skutecznie zmobilizował członków komitetu. Wszyscy jechali na jednym wózku i byli uzależnieni właśnie od niego. A raczej – od jego wygranej. Lepszym wyborem było wątpliwe zwycięstwo niż pewna porażka.

Berni beznamiętnym głosem zaproponował zorganizowanie kolejnego spotkania dopiero po pogrzebie Skawińskiej, Szajer ochoczo go poparł, a reszta nie miała już nic do gadania. W ten sposób kampania na najwyższym szczeblu została nieformalnie zawieszona. Działać miały jedynie służby prasowe i dział marketingu. Na głowach ich personelu spoczęło zadanie przekucia fałszywej żałoby w sukces wyborczy. Na szczęście dla siebie, ci ludzie nie mieli pojęcia o prawdziwym tle tych decyzji.

Szajer zastał żonę siedzącą na ogrodowej huśtawce. Była odwrócona do niego plecami i najwyraźniej nie usłyszała kroków. Aby jej nie przestraszyć, głośno odchrząknął. Odwróciła się.

– Dlaczego tu jesteś? – rzucił, podchodząc. – Nie słyszałaś telefonu z domu!

– Włączyłam przekierowanie na komórkowy.



Podniosła dłoń, w której trzymała smartfona. Poruszyła huśtawką i delikatnie się odchyliła. Szajer nachylił się do niej i pocałował ją w czoło.

– Ile mamy zapłacić? – zapytała otępiałym głosem. – Kiedy oddadzą nam Różę?

– Za kilka dni...

– Co?!

Zareagowała w taki sam sposób, jak on kilka godzin temu U Naleśnikarza. Była przekonana, że lada moment wszystko załatwią, a ich córka wróci do domu jeszcze przed nocą. Dla jej ojca uzbieranie nawet sporej sumy nie było problemem. Szajer nie wziął tego wcześniej pod uwagę. Może chodziło właśnie o uderzenie w tego starego pryka? Z całą pewnością był zamieszany w niejedną machlojkę, babrał się w polityce od zarania dziejów. Najpierw jako krzykliwy opozycjonista, później – polityczny uchodźca w Anglii, wreszcie poseł na Sejm bez przerwy od drugiej kadencji. I to tylko dlatego, że w wyborach na pierwszą nie startował. I tak miał obiecaną tekę ministra.

– Ile żądają?

– To nie do końca tak...

– To znaczy? – zapytała zaniepokojona. – To znaczy: nie do końca jak?

Szajer złapał ramię huśtawki i zatrzymał je w miejscu. Streścił Marii wydarzenia całego dnia, pomijając tylko fragment o pręcie, który wylądował na jego plecach. Po nim pozostał jedynie siniak.

– Czego on chce? – zapytała, gdy skończył. – Czego ten skurwiel chce?!

Zeskoczyła z huśtawki i złapała męża za rękę.

– Niczego się nie domyślasz? Nie przegapiłeś niczego, co mówił?

Szajer drgnął.

– Może się okaże, że chce pieniędzy. A może chce spieprzyć moją kampanię? Nie wiem! Wymyśliłem już ze sto powodów.

– Kiedy ma się z nami skontaktować?

Berni stwierdził, że wszystkiego dowiedzą się we właściwym czasie. Tylko tyle. Próba wymuszenia konkretniejszej odpowiedzi skończyła się jego kolejnym wybuchem gniewu na korytarzu High Heela. Potem się ulotnił. Nie musiał powtarzać, że Szajer ma nie próbować go znowu śledzić.

- Dopiero jutro...
- Nigdy dotąd go nie widziałeś?

Szajer nie wspomniał o swoim wystąpieniu na uniwersytecie, ale to nie było istotne.

- Nie.
- I nie masz pojęcia, kto to jest?
- Boże, Maria, nie!
- Myślisz, że naprawdę nazywa się Berni?
- Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

Ruszył w stronę domu, trzymając żonę za rękę. Przez chwilę milczeli, ściskając wzajemnie swoje dłonie. Poszli do kuchni i usiedli naprzeciw siebie, po obu stronach stołu. Szajer oparł głowę na dłoni, wyginając obolałe plecy. Jego żona mechanicznie przyglądała serwetkę.

– Cały czas zastanawiam się, co się z nią dzieje... Czy płacze? Czy on ją dobrze traktuje...? Na pewno jest bardzo dezorientowana. Jest taka delikatna... Za dwa miesiące ma urodziny. Liczyłam nawet dni. Zostały pięćdziesiąt dwa. Nie myślałam jeszcze nad prezentem, ale wtedy...

– Maria, skończ! – Szajer wyszarpnął spod jej dłoni serwetkę. – Wszystko będzie dobrze. Ale teraz musimy działać tak, jak tego chce. Ma jakiś plan, którego sztywno się trzyma. Skoro zaplanował, że za kilka dni Róża do nas wróci, to tak będzie. Nie możemy tylko go sprowokować.

- Wiem... – Maria załkała.
- Zrobimy, czego chce, koszty nie mają znaczenia.
- Sam mówiłeś, że jemu nie chodzi o pieniądze.
- Tak twierdzi, ale może tylko nas zwodzić. Może chce nas wybać.

Zwłókł się z krzesła i przeniósł się na kanapę. Ból pleców nieoczekiwanie się nasilił, ale przez noc powinien minąć. Podłożył pod nie poduszkę i zamknął oczy.

Naprawdę wierzył, że zna się na ludziach. Jeżeli tak było, odzyskają córkę. Berni w końcu poda im cenę jej wolności. Wtedy wszystko załatwią, a kiedy Róża już będzie bezpieczna, dorwie go. Być może nawet bez pomocy policji. Zemści się na tym gnoju w najbardziej okrutny sposób. Ta myśl go pocieszyła. Po chwili zapadł w płytki, nerwowy sen. Kilka minut później Fiodor wskoczył na kanapę i wtulił się pomiędzy jego kolana. Był najwyraźniej stęskniony za pieszczotami.

\* \* \*

W tym samym czasie Berni zapalił wszystkie światła w swojej łazience. Dwa wielkie lustra były doskonale wypolerowane. Zawieszono je naprzeciwko siebie, tak by zwielokrotniały odbicie. Pomieszczenie tonęło w świetle.

Rozebrał się i rzucił wszystkie ubrania na podłogę. Przeszedł po zmiętej marynarce, stając idealnie pomiędzy lustrami. Rozłożył na boki ręce, dotykając obu tafli opuszkami palców. Zamknął oczy. Oddychał powoli i miarowo. Relaksował się. W ciągu dnia kilkukrotnie wybuchł niepotrzebną złością. Dał się ponieść emocjom, stracił nad sobą panowanie. To się nigdy nie powinno zdarzyć. Wszystko musiał mieć pod pełną kontrolą. Przede wszystkim siebie.

Jeszcze tylko kilka dni i zrzuci z siebie ciężar upokorzeń. Dostanie to, czego zawsze chciał i na co zasługiwał jak nikt inny. Była to miła myśl, ale napawała go jednocześnie niepokojem. Czy temu podoła? Na pewno. Nie powinien się z góry martwić. Tak naprawdę plan był bardzo elastyczny, dopuszczał dopasowywanie działań do rozwoju sytuacji. Dotychczas wprowadził tylko jedną zmianę, która okazała się całkiem zabawna.

Gwałtownie otworzył oczy i odwrócił się w stronę jednego z luster.

– Czego ty, kurwa, chcesz? – wyszeptał w ten sam sposób, w jaki zrobił to rano Szajer, przeciągając z naciskiem literę r.

## DZIEŃ TRZECI

### 1.

Szajer ocknął się tuż przed północą, kiedy Maria po raz kolejny robiła nerwowy obchód domu. Mimo jej prośb nie chciał przenieść się do sypialni. Wolał czuwać na dole, tak jakby Róża w każdej chwili mogła powrócić do domu: otworzyć drzwi, wejść tak, jak zawsze wracała z podwórka, i krzyknąć swoim cieniutkim głosem „już jestem!”. Oczywiście, nic takiego się nie stało. Przez całą noc nie zadzwonił także telefon ani nie pojawiła się żadna wiadomość od porywacza. Ciszę przerywało tylko upiorne zawodzenie psa sąsiadów.

Tuż po ósmej z odrętwienia wyrwał go dzwonek do drzwi. W pierwszej chwili myślał, że się przesłyszał, ale dzwonienie się powtórzyło. Kilka razy. Czyżby policja w jakiś sposób dowiedziała się o porwaniu? To byłoby chyba najgorsze wyjście. A może... Może wypuścił Różę?!

Przeskakując Fiodora, Szajer zerwał się z kanapy i pobiegł do przedpokoju. Potknął się o zawinięty chodnik i omal nie upadł. Nawet nie zerknął przez wizjer. Szybko przekręcił zamek i otworzył na oścież drzwi. Zamarł.

W progu stał Berni.

Uśmiechał się przyjacielsko, z dłońmi wsuniętymi w kieszenie skórzanej kurtki i rozwiązaną sznurówką buta.

– Wszedłem od tyłu, przez mur. – Wskazał na rozdartą nogawkę. – Nie spodziewałem się krzaku róż pod sobą. Mogłem to, oczywiście, zrobić od frontu, ale zwyczajnie nie pomyślałem.

Szajer zrobił krok do przodu i przymknął drzwi.

- Czego chcesz?
- Ciągle tylko o to pytasz.
- Bo tylko to mnie obchodzi.
- Naprawdę? Aż tak interesują cię moje zachcianki?

Szajer spojrzał na Szajera spode łba. Przeczesał palcami tłuste włosy.

- No dobra – wymruczał po chwili. – Możesz mi zrobić kawy.
- Jak się czuje moja córka? Kiedy ją odzyskamy?
- Wpuść mnie, to może będę miły.

Szajer niechętnie wrócił do środka i poprowadził za sobą gościa. Ten z zaciekawieniem rozglądał się wokół, chłonąc każdy szczegół wnętrza. Kiedy znaleźli się w kuchni, wyciągnął z kieszeni telefon i podał go Szajerowi.

– To w zamian za wpuszczenie na swoje włosci. – Posłał mu kolejny ironiczny uśmiech. – Zobacz.

Szajer wziął komórkę i obrócił ją w dłoni. Na ekranie było załadowane zdjęcie Róży, trzymającej w małej piątce gazetę. Najwyraźniej najświeższą. Dziewczynka nie była uśmiechnięta, ale nie sprawiała też wrażenia przerażonej. Miała nieco zaróżowione policzki i nieuczesane włosy. Poza tym wyglądała tak, jak ostatniego ranka, kiedy ją widział.

- Widzisz? Nie masz się o co martwić. Mówiłem, że o nią dbam.
- Gdzie ona jest?

Berni zabrał telefon i schował go do kurtki.

– W bezpiecznym miejscu. – Odsunął od stołu jedno z krzeseł i usiadł.  
– Jeżeli cokolwiek pójdzie nie tak, nigdy jej nie znajdziecie. Ale to chyba już wiesz.

- Chcę z nią chociaż porozmawiać.
- To wykluczone.

Szajer obszedł stół i oparł się o blat.

– Po co tu przyszedłeś?  
– Przypominam, że miałeś mi zrobić kawę. Sprawilem ci przyjemność, pokazując zdjęcie, a ty nie chcesz mi nawet zrobić kawy. Kiedy ją wypijemy, dowiesz się, czego chcę.

Szajer zacisnął zęby. Z trudem odsunął wizję chwycenia noża i wbicia go sukinsynowi prosto w gardło. Może gdyby go obezwładnił i zaczął torturować, obcinać palec po palcu, zdzierać skórę i przypalać, zmusiłby

go do mówienia? Rozluźnił zaciśnięte pięści i odwrócił się w stronę szafki.

– Jaką chcesz?

– Taką jak ty.

– Będzie z ekspresu.

– Ty decydujesz.

Po chwili niósł na spodeczkach dwie filiżanki espresso. Mógł oblać gnojka wrzątkiem, ale to pewnie jedynie by go rozsierdziło. Najbardziej obawiał się tego, że Berni jest jedynie czyimś gońcem. Chłopcem na posyłki jakiejś zorganizowanej grupy albo kogoś wpływowego. Nie sprawiał wrażenia ani bystrego, ani nawet rozsądnego. Z pewnością działał według planu, ale mógł to być plan obmyślony przez kogoś zupełnie innego. W takim układzie próba przymuszenia go do wyjawienia miejsca przetrzymywania Róży skończyłaby się katastrofą.

Kiedy podał Berniemu kawę, do salonu weszła Maria. Była ubrana w krótkie, zielone spodenki i top, który często wkładała do spania. Nie miała stanika. Spojrzenie gościa od razu poszybowało w stronę wypukłości materiału na jej sutkach. Natychmiast założyła ręce na piersi.

– Nie musisz się mnie wstydzic – wycedził Berni. – Czuj się jak u siebie w domu.

Maria zerknęła na męża zaskoczona.

– Kto to jest?

Szajer odstawił filiżankę pełną kawy i podszedł do żony. Objął ją ramieniem tak, jakby stanowili monolit stojący naprzeciw nieszczęściu.

– To z nim... To z nim mamy negocjować.

– Hej! Mówiłem ci, żebyście się zwracali do mnie Berni.

Maria głośno zaczerpnęła powietrza. Wywinęła się z objęć męża i opuściła ręce. Zacisnęła dłonie w pięści tak mocno, że jej skóra zbielała na kostkach. W jednej chwili wyparowało z niej całe skrzępowanie, ustępując miejsca bezbrzeżnej wściekłości.

– A ty z nim popijasz kawę? O co tu, kurwa, chodzi?! – Szybkim krokiem ruszyła w stronę Berniego. – Oddawaj moją córkę, chuju!

Dopadła do niego i złapała wielkie ramię obiema rękoma. Berni jedynie je wyciągnął, odsuwając kobietę od siebie. Podniósł się z krzesła,

przewyższał ją o dwie głowy.

– Szajer, kolego, wytłumacz małżonce, czym kończą się takie awantury.

Szajer podszedł do Marii, po czym delikatnie odciągnął ją od Berniego. Kobieta wiła się i uderzała na oślep pięściami. Histerycznie przy tym płakała.

– Gdzie jest Róża?! Ty pieprzony draniu!

– To nic nie da. – Szajer objął ją ramieniem. – Berni zaraz nam wszystko powie, prawda?

Aż nie mógł uwierzyć w swój poufały ton, ale nagle poczuł się zbyt słaby. Nie miał siły jednocześnie pocieszać żony, zamartwiać się i jeszcze walczyć, choćby jedynie na słowa, z tym kwadratowym osiłkiem. Życie zawsze było dla niego sztuką szukania ustępstw i kompromisów. Dopiero kiedy je znalazł, gwałtownie atakował.

Berni dopił kawę i odstawił filiżankę na stół, obok spodeczka. Wypuścił powietrze, jakby wypił kieliszek wódki.

– Za chwilę. Najpierw opowiedzcie mi, jak się poznaliście.

– Co?

Maria była ciągle gotowa dopaść do niego i obłożyć gradem bezradnych ciosów.

– To musiała być ciekawa historia.

– Gównu cię ona obchodzi.

– Naprawdę jestem ciekaw. Mogę słuchać takich opowieści godzinami!

Szajer miał dość tej gry pozorów. W tej sytuacji szukanie kompromisu nie miało sensu. Chciał wreszcie usłyszeć, czego ten kutas od niego chce. Karty musiały wylądować na stole.

– Przejdźmy do konkretów. – Staął pomiędzy żoną i Bernim. – Załatwmy to wreszcie.

Tamten udał, że go nie rozumie.

– Ale co my mamy załatwić?

– Powiedz, czego chcesz.

– Chciałem na przykład kawy.

– Umówiliśmy się, że ją wypijesz i powiesz to wreszcie.

Jego szara twarz nie zdradzała żadnych emocji. Od dłuższego czasu siedział całkowicie nieruchomo, patrząc gdzieś przed siebie.

– Niewiele. – Nagle poruszył głową, rozciągając mięśnie karku. – Dzisiaj spędzacie cały dzień w domu, jak szczęśliwa rodzina. A ja będę tu razem z wami.

## 2.

Berni poszedł do łazienki, dając im kilka minut na namysł. Szajer położył dłonie na ramionach żony, a potem pogładził jej twarz. Patrzyła na niego w napięciu, nie wiedząc, co robić.

– To pierdolony psychol, prawdziwy czub do kwadratu – powiedział szybko przyciszonym głosem. – Może nie miał mamusi ani tatusia, może wychował się w sierocińcu i chce popatrzeć, jak wygląda normalny dom... Do cholery, nie wiem. Ale dajmy mu to, czego chce, i może za parę godzin wszystko się skończy.

Maria milczała, więc mówił dalej.

– Świry są najgorsze. Dobrze, że nie zadzwoniliśmy na policję, bo pewnie w jednej chwili by mu odbiło. Teraz zrobmy cholerny obiad, pogadajmy z nim jak z niedorozwiniętym dzieckiem, jeśli będzie chciał – pobawmy się nawet w berka albo podchody. A potem odzyskamy Różę.

– A potem odzyskacie Różę.

Głos Berniego go zmroził. Nie było słyhać, kiedy wrócił do kuchni. Szajer wyprostował się i odwrócił w jego stronę. Intruz stał w progu, opierając się o futrynę.

– Nie rozumiem zapachowych papierów toaletowych – wymruczał. – Są droższe, ale pachną tam, gdzie nawet gdybym był pieprzonym akrobatą, nie włożyłbym sobie nosa.

Głośno zarechotał.

Maria parsknęła z odrazą, przygryzając wargi. Szajer wiedział, że właśnie podjęła decyzję. Albo przyłączy się do jego gry, albo podejmie dalszą bezsensowną walkę.

– A co z Różą? – zapytała. – Kto się nią teraz zajmuje?

– O to się nie martw. – Berni włożył ręce do kieszeni. – Jest pod najlepszą opieką, jaka tylko być może. Twój mąż przed chwilą widział jej zdjęcie i może to potwierdzić, prawda, Szajer? Uwierzyła, że to wszystko



jest tylko zabawą. Tłumaczenie jej tego trochę zajęło, ale to mądra dziewczynka.

Słowo „mądra” wypowiedział z kpiącym uśmiechem. A więc miał współnika. Kogoś, kto teraz przebywał z Różą. Chyba że blefował.

– Pokaż to zdjęcie.

Berni bez namysłu podał jej telefon.

– Podoba się? Już jesteś spokojna?

– Moja córeczka...

– Żyje i ma się dobrze.

– Ma wypieki na twarzy.

Maria dotknęła ekranu tak, jakby dotykała twarzy dziewczynki. Wierzchem palca przeciągnęła po wyświetlaczu.

– Wcześniej bawiliśmy się w ganianego. To dlatego.

– Może ma gorączkę...

– Zapewniam, że jest zupełnie zdrowa.

Berni zabrał jej telefon.

– Siadajcie przy stole – warknął. – Zrobimy to jak porządna, kochająca się rodzina.

Szajer wymienił z żoną spojrzenia. Bez protestów zrobili, co kazał.

– Świetnie. Zmawiacie przed posiłkami modlitwę?

– Nie – odparła Maria.

– Tak myślałem. W amerykańskich filmach robią to bardzo często.

– My nie.

– To już słyszałem! Chcesz mi się przypodobać, odpowiadając dwa razy na każde pytanie? Nie mów tylko: tak, tak!

Maria nie odezwała się. Zacisnęła usta.

– Ale, ale... – Berni wyciągnął do niej dłoń. – Ja tu mam spędzać cały dzień, a jeszcze się nie poznaliśmy. Jak masz na imię?

Kobieta z odrazą popatrzyła na jego wielką, spoconą łapę. Nie uścisnęła jej.

– Jak masz na imię?! – wrzasnął, nachylając się nad nią.

Poczuła smród z jego gęby. Szajer poderwał się z miejsca, ale Berni pchnął go z powrotem na krzesło.

– Siedź. A ty wydukasz wreszcie, jak masz na imię?

– Maria. – Załkała. – Lepiej ci?

Berni natychmiast się odprężył.

– No widzisz? To nie było takie trudne. Początki są najgorsze, ale właśnie przełamaliśmy lody.

– Nawet nie myśl...

– Że co?

Maria schowała ręce pod stołem, wbijając paznokcie w spodenki. Ostatkiem sił powstrzymywała się przed wybuchem hysterii. Berni zwrócił się do jej męża.

– Szajer, kolego, czy mógłbyś na chwilę zostawić nas samych?

– Po co?

– Chcę zapytać o coś Marię. Mogłaby być skrępowana twoją obecnością.

– Nie mamy przed sobą tajemnic.

Wycelował w niego palcem.

– Słuchaj, najpierw grzecznie zapytałem. Drugi raz zdanie nie skończy się pytajnikiem.

– Nie groź mi.

– Powiedziałem, zostaw nas samych!

Maria ukradkiem skinęła głową, dając mężowi znak, że jest w porządku. Uderzył dłonią o krzesło, ale posłusznie skierował się w stronę przedpokoju.

Berni ponownie wbił wzrok w biust kobiety. Tym razem nie wywołało to u niej żadnej reakcji.

– Masz mnie za odrażającego skurwiela. – Przeniósł spojrzenie na jej twarz. – I całkiem słusznie. Nie przyszedłem tu bawić się z wami w berka ani razem gotować. Nie mam ochoty na wspólne modlitwy przy stole ani oglądanie kina rodzinnego.

– Jesteś szalony.

– Nie. Nie jestem. Mieszkasz pod jednym dachem z kimś dużo gorszym ode mnie.

– O czym ty mówisz?

– Twój mąż popełnił straszną zbrodnię, wiesz o tym? – Pogładził się po podbródku. – Nie, nie wiesz. Widzę po tobie, że nie wiesz, z jakim potworem żyjesz. – Odwrócił się w stronę korytarza i krzyknął: – Ej, kolego, wiem, że podsłuchujesz! Chodź tu i przyznaj się do wszystkiego.

### 3.

– Albo wiecie co?

Berni zabębnił palcami o stół, kiedy Szajer wszedł do kuchni.

– Skoro już tu jestem, może mieliście rację. Może powinniśmy obejrzeć jakiś film, a później coś zjeść? Albo na odwrót. W sumie robię się głodny.

– O czym on mówił? – Maria drżącym głosem zwróciła się do męża.

Była roztrzęsiona. Natłok wydarzeń wywołał w jej głowie karuzelę myśli. Jej uda piekły pod naporem wbijanych co chwilę paznokci. Czuła, że jest cała mokra od potu. Włosy przywarły do jej karku, ale nie zwróciła na to uwagi.

Szajer był blady, lecz usilnie starał się opanować. Kiedy otworzył usta, aby coś powiedzieć, Berni natychmiast go ubiegł.

– Szaaa! Teraz ani słowa. Jeżeli się odezwiesz, złamiesz nasze zasady. Ciąg dalszy newsów za dwie godziny.

Lekceważąc go, podszedł do lodówki i otworzył drzwi. Wyjął na blat szafki opakowanie pizzy. Po chwili, wydając z siebie pomruk zadowolenia, postawił na nim butelkę keczupu i ostrego sosu.

– Mario, czy mogę cię prosić o nastawienie piekarnika?

Kobieta posłusznie zrobiła, czego chciał. Przez kolejne pół godziny Berni uważnie przyglądał się jej i Szajerowi. Na każdą próbę odezwania się reagował agresywnie. Nie dopuszczał do jakiegokolwiek kontaktu wzrokowego, kazał im zająć się innymi sprawami.

– Muszę do toalety – wydukała Maria, kiedy wyjął pizzę z piekarnika.

– Przecież nie trzymam was tutaj siłą. Możesz robić, co chcesz. Doskonale znasz konsekwencje wygłupienia się, co nie?

Przez chwilę kobieta nie poruszyła się, jakby nie docierały do niej jego słowa. Nagle drgnęła i sztywno podniosła się z miejsca. Kiedy wyszła z kuchni, Szajer głośno westchnął.

– Nie znasz prawdy, Berni – szepnął. – Nie wiem, kto i o czym naopowiadał ci jakichś bzdur, ale uwierzyłeś w pieprzone bajki.

– Cicho!

– Niczego nie zrobiłem.

Berni odwrócił się do niego, trzymając w dłoni nóż.

– Milcz! Nie starczyło ci wczorajsze lanie? Siadaj do stołu.

Szajer wytrzymał jego spojrzenie, ale w końcu sięgnął po krzesło. Przez cały czas zastanawiał się, co miał na myśli Berni. Niemożliwe, żeby poznał jego prawdziwą historię. Musiało być proste wytłumaczenie tego, skąd się wzięły jego insynuacje. Na pewno nie rzucał nimi na oślep. Niemożliwe, żeby trafił tak blisko faktów.

Berni postawił na stole talerz z pokrojoną na kawałki pizzą akurat wtedy, kiedy wróciła Maria. Przebrała się. Miała na sobie długie spodnie, a pod topem stanik. Obliznął się na jej widok.

– No, wreszcie. Bo wszystko wystygnie!

Zjedli w milczeniu. Właściwie całość pizzy pochłonął Berni. Szajer i Maria udawali, że jedzą, bezmyślnie przesuwając po talerzach kawałki ciasta. Żadne z nich nie miało apetytu. Kiedy Berni otarł serwetką usta, drgnęli, oczekując jego dalszych poleceń.

– Pozmywaj naczynia – zwrócił się do Szajera.

– Mamy zmywarkę.

– Nie będę powtarzał.

Szajer nie protestował. Zebrał talerze ze stołu i powłókł się do zlewu. Jedynie opłukał je wodą.

– No dobrze! – Berni wesoło zatarł dłonie. – Telewizję pooglądamy później. Teraz czas na dalszą zabawę.

– Skończ z tym.

– Nawet nie zacząłem.

Szajer nalał sobie pełną szklankę wody.

– To pieprzone szaleństwo!

– O nie. To nie jest szaleństwo. Szajer, drogi kolego, wiem o tobie więcej, niż myślisz. Ale nie martw się, nie zdradzę twojego największego sekretu. Sam zdecydujesz, czy kiedyś go ujawnisz.

– Nie mam bladego pojęcia, o czym mówisz.

– Ależ masz.

Berni mrugnął do Marii.

– Myślisz, że znasz swojego męża? Jak sądzisz, dlaczego nigdy nie widziałas jego rodziców? No tak, mówił, że zginęli w wypadku samochodowym? To nieprawda. Co nie, Szajer?

Nie odpowiedział. Był przygotowany, że Berni może to wyciągnąć. Nie miał pojęcia, skąd o tym wiedział, ale jakoś ugasi ten pożar. To był jeden z jego najsłabszych punktów. W sumie dziwił się, że dziennikarze, z rozkoszą babrzący się w błocie, już dawno tego nie wywlekli.

– Jego ojciec porzucił pierworodnego i poszedł w świat. Nikt nie wie, czy jeszcze żyje. Natomiast matka, chociaż była całkiem porządną babką, wkrótce zmarła na raka. Znasz tę smutną historię?

Maria spojrzała na męża. Nigdy nie rozmawiali na temat jego rodziców. Kiedyś, na początku ich związku, wspomniał, że nie utrzymuje z nimi kontaktu, wyraźnie dając przy tym do zrozumienia, że nie chce o tym mówić. Kilkukrotnie starała się o to podpytać, ale zawsze ją zbywał. Pewnego wieczora, po kilku lampkach wina, nadmienił, że nie żyją. I tyle. Właściwie... nie interesowało jej to.

– Nie wiem, czego się wstydzisz, Szajer. – Berni założył dłonie za głowę. Pod pachami miał ciemne plamy potu. – To może nie jest życiorys godny polityka, ale na pewno niezły wyciskacz łez. Przynajmniej do czasu.

– To tylko moja sprawa.

– Tak ci się wydaje?

– O pewnych rzeczach lepiej zapomnieć. Nigdy nikogo nie okłamałem.

– Rzeczywiście, sprawdziłem to. Zawsze utrzymywałeś życie prywatne w ścisłej tajemnicy. No, może poza chwaleniem się związkiem z córką znanego polityka.

Żółte kły Berniego błysnęły drapieźnie. Spojrzał na Marię, sprawdzając, jakie zrobił na niej wrażenie. Pozostawała właściwie obojętna. Nie była zła ani zaskoczona. Spodziewał się gorszej reakcji, lecz to był dopiero początek. Zaraz zburzy jej idylliczny świat. Szajer jakby przejrzał jego myśli.

– Maria uszanowała moje milczenie – powiedział z satysfakcją. – Nie oczekuj, że podzielisz nas swoimi pseudorewelacjami, Berni. To kupa gówna.

– To się dopiero okaże. Twoja żona nie ma również pojęcia, co stało się później.

– Byłem pod opieką wuja – ubiegł kolejną historię. – Zmarł, zanim się poznaliśmy, ale nie ukrywałem tego.

– Tak, byłeś już pełnoletni.

– Miałem dwadzieścia jeden lat.

Berni położył dłoń na rękę Marii. Ta wzdrygnęła się i odsunęła ją z odrazą.

– Myślisz, że takie zero trafiłoby do świata wielkiej polityki? – zwrócił się bezpośrednio do niej. – Nawet tej lokalnej?

Szajer nie dał mu przejąć inicjatywy.

– Poprowadziłem kampanię prezydencką i zrobiłem to na tyle dobrze, że mnie nagrodzono.

– Nie, nie, Szajer. Zmieniasz temat. Chodzi mi o to, co się wydarzyło znacznie wcześniej.

– Niby co takiego?

Berni odchylił połę kurtki. Przez chwilę czegoś szukał, wreszcie wyciągnął z kieszeni pomięte zdjęcie. Położył je na stole przed Marią.

– Widzisz, kto to jest?

Fotografia została wykonana na początku lat dziewięćdziesiątych. Przedstawiała młodego Szajera, ubranego w tandetną marynarkę narzuconą na gruby sweter. Obok niego stał wysoki, szczupły mężczyzna w kanciastych okularach. Maria nigdy go nie widziała. Fotografia została wykonana w kawiarni. Popijali piwo, uśmiechając się. Najwyraźniej nie mieli pojęcia, że ktoś robi im zdjęcie.

– Ta fotografia wiele lat temu znalazła się w policyjnych aktach. Później została przypadkowo zagubiona w przepastnych odmetach archiwum.

– Kto to? – zapytała Maria.

Berni zerknął na Szajera, a ten gwałtownie pobladł. Skąd ten kutas wyciągnął to cholerne zdjęcie? Jakim sposobem wykopał coś, co miało być dawno spalone albo schowane pod tonami śmieci?

– Może ty wszystko wyjaśnisz? – Berni uśmiechnął się figlarnie. – No, śmiało.

– Skąd to masz?

– Nieważne. Powiedz nam, kto to.

Szajer przysunął się bliżej żony. W głowie błyskawicznie obmyślał strategię. Niemożliwe, żeby ten człowiek znikąd znał prawdę.

– To Tamil Zadarczenko – wyjaśnił obojętnie.

Maria nadal nie miała pojęcia, o kim mówili. Uśmiech nagle zniknął z twarzy Berniego.

– Był cynglem stołecznej mafii. Co najciekawsze, jednym z podejrzanych w sprawie zabójstwa Papały. Kilka dni po wykonaniu tej fotografii znaleziono go w wynajmowanym mieszkaniu, związanego, z zakneblowanymi ustami i przestrzeloną głową. Przed śmiercią był przez wiele godzin torturowany. I wiesz co? Znaleziono tam odciski palców twojego męża, ale jakimś cudem wszystko zatuszowano.

#### 4.

Berni wyciągnął z kieszeni kolejne zdjęcie. Tym razem przedstawiło wyciąg z akt prokuratorskich, ze słabo odbitą pieczęcią z orłem na górze. Zbliżenie pokazywało tylko fragment kartki, na którym znajdowała się tabelka.

– Proszę, zobacz.

Maria z otwartymi ustami sięgnęła po fotografię. Jej dłoń drżała, więc położyła ją na udzie i znowu wbiła w nie paznokcie. Szajer pochylił się nad stołem, chcąc dostrzec, co przedstawia zdjęcie. Czuł, że ziemia zapada mu się pod stopami, ale postanowił walczyć do końca. Roześmiał się ironicznie.

– Brawo, Berni, zrobiłeś fotkę kartce, którą pewnie sam wydrukowałeś. Tamten spojrzał na niego zimno.

– To Maria oceni już sama. I nie bój się, nie pójdę z tym do prasy.

– Chciałeś spróbować mnie zaszantażować i nie masz czym?

– Pamiętaj, że mam twoją córkę, Szajer. Nazywasz ją niczym?

– Chcesz mnie zniszczyć, wprowadzając niewinne dziecko? O to ci chodzi?

– Mógłbym za to zdjęcie zażądać okrągłej sumki. – Berni pstryknął palcami. – Dwadzieścia, pięćdziesiąt tysięcy? Jak myślisz? Ale nie bój się, nie interesuje mnie forsa. Mario, czy widzisz, co tam jest napisane?

Żona Szajera odsunęła od siebie fotografię.

– Nie wierzę w to.

– Ta tabela potwierdza, że twój wspaniały mąż maczał łapy w śmierci Zadarczenki.

Szajer siedział z rękami założonymi pod pachami.

– Kiedy to wydrukowałeś? To jakaś chora wizja?

Berni tym razem zupełnie nie zwracał na niego uwagi. Uważnie wpatrywał się w Marię.

– Wyjaśnię ci to w bardzo prosty sposób. Odciski palców porównuje się poprzez nakładanie dwóch obrazów. Jeden z nich obraca się wokół własnej osi i nanosi na drugi. Teraz, oczywiście, większość roboty odwalają komputery, ale kilkanaście lat temu była to żmudna, ręczna robota. Z tej tabelki możesz wyczytać, że ślad daktyloskopijny twojego męża był w stu procentach zgodny ze śladem pozostawionym na ciele Zadarczenki. Nie to, że mógł być zgodny czy że podobieństwo wynosiło ileś tam procent. To była setka. Bezwzględna pewność.

– To jakieś bzdury.

Mina Marii mówiła jednak, że już nie jest co do tego tak przekonana. Szajer głośno wypuścił powietrze.

– Możesz z tym pójść do każdej gazety i odeślą cię z kwitkiem – mruknął. – Wykpią cię!

– Naprawdę nie musisz się o to martwić.

– Więc po co ta farsa?

Berni wstał od stołu i rzucił na niego zmiętą serwetkę.

– Chciałem pokazać prawdę. A teraz znowu zagramy w króla ciszy. – Ruszył w stronę salonu. – Chodźcie, obejrzymy jakiś film. Przecież chcecie, żebym wypuścił Różę? Musicie wytrzymać ze mną jeszcze trochę czasu i córka do was wróci. Cała i zdrowa.

Szajer i Maria poszli za nim. Nawet na siebie nie spojrzeli. Oboje byli zupełnie skołowani tym, co się stało. Berni sam uruchomił odtwarzacz DVD, wybrał film z szeregu płyt stojących na szafce i włączył go. Kazał im usiąść na przeciwnych końcach kanapy, a sam rozłożył się na środku.

Przez prawie dwie godziny musieli znosić jego śmiech i żarty z wygłupów Jima Carreya. Oglądali ten film dziesiątki razy, ale teraz po raz pierwszy zupełnie ich nie bawił. Właściwie nawet nie śledzili jego fabuły, pochłonięci własnymi myślami. Stali się niewolnikami



nieobliczalnego człowieka, który porwał ich córkę, a potem robił wszystko, żeby wywrócić ich życie do góry nogami.

I robił to z powodzeniem.

Kiedy film dobiegł końca, Berni wyłączył telewizor. Wciąż głupawo się śmiejąc, patrzył na Szajera i Marię.

– Nie ubawiliście się? – Z niedowierzaniem pokręcił głową. – Co z wami, ludzie?

Szajer pogładził bok kanapy. Chwilowy przypływ bojowego nastroju był już tylko wspomnieniem.

– Nie możemy tego skończyć? – zaskomlał. – Bawi cię to?

– Nie, ale spowiedź musi być szczerą. A ja rozgrzeszę cię ze wszystkich grzechów. W tym z tego ostatniego, chociaż jest chyba... jak to się mówi... A wiem! Nieodpuszczalny.

– Ktoś napakował ci gówna do głowy.

Berni mlasnął, znudzony. Spojrzał w stronę wejścia do salonu i gwałtownie wstał. Powoli przeszedł w kierunku korytarza. Po chwili wrócił, trzymając na rękach Fiodora. Kot nie szarpał się, zadowolony, że w końcu ktoś się nim zajmuje. Wyciągnął kruchy podbródek, prosząc, aby go drapać. Berni zatopił palce w jego krótkiej sierści. Delikatnie, najwyraźniej sprawiając kotu przyjemność.

– Zostaw go.

Szajer podniósł się z kanapy, ale Berni pogroził mu wolną dłonią. Położył Fiodora do góry brzuchem, jakby trzymał dziecko. Połaskotał go w opuszkę przedniej łapy.

– Piękny kocur. Szkoda, że wykastrowany.

– Nie rób mu krzywdy.

Berni podniósł Fiodora na wysokość swojej twarzy i przyłożył nos do jego różowego, wilgotnego noska. Głęboko wciągnął powietrze. Kot się odsunął.

– Jaki jestem zmanierowany – powiedział takim głosem, jakim zwracają się rodzice do swoich nowo narodzonych dzieci. – I jakie mam wielkie uszy!

– Na Boga, proszę cię...

– Nie mieszaj w to Boga.

Berni delikatnie podrzucił kota i trzymając go pod przednimi łapami, postawił go na podłogę. Fiodor z podniesionym ogonem odszedł w stronę kuchni.

– Myślałeś, że zrobię mu krzywdę? Za kogo ty mnie masz, Szajer? Kocham zwierzęta. Wszystkie są takie niewinne... Jak dzieci. – Zapiął zamek kurtki i wsunął dłonie do kieszeni. – Czas na mnie. Mam nadzieję, że spodobał wam się wspólnie spędzony dzień.

Maria poruszyła się po raz pierwszy, odkąd usiedli na kanapie. Otworzyła szeroko oczy, jakby właśnie obudziła się z koszmaru.

– Oddaj nam dziecko – powiedziała błagalnym tonem. – Proszę cię, oddaj nam ją. Nie obchodzi mnie, co zrobił mój mąż. Po prostu oddaj nam córkę.

– Chyba już zauważyłaś, że dotrzymuję słowa. Oddam ją.

– Zrób to dzisiaj!

– Nie mogę.

– Możesz wszystko. W pełni kontrolujesz tę sytuację.

– Tak mówi się do terrorystów albo półgłówek okradających banki.

– Proszę...

Przez twarz Berniego przemknął grymas człowieczeństwa. Przez chwilę zrzucił szarą maskę, zakrywającą istotę mogącą mieć duszę. Jednak trwało to tylko ułamek sekundy. Albo było jej pobożnym życzeniem.

– Kilka dni – powiedział oschle, kierując się w stronę wyjścia. – Za kilka dni. – Zatrzymał się w progu pomieszczenia i odwrócił. – Jeszcze jedno. Nie oglądaliście dzisiaj żadnych wiadomości, ale jutro jest pogrzeb nieodżałowanej Skawińskiej. – Wycelował palec w pierś Szajera. – Punkt o dziewiątej stawisz się w kościele seminaryjnym. Resztę planu dnia uzgodnię niedługo z ludźmi z twojego sztabu. To znaczy, naszego sztabu – poprawił się.

## 5.

Niedługo po wyjściu Berniego Maria wpadła w histerię. Obrzuciła męża stekiem wyzwisk i przekleństw, zupełnie nie kontrolowała swoich

emocji. Szajer chodził za nią, starając się cokolwiek wytłumaczyć. Wreszcie, zmęczona płaczem, oparła się o parapet i patrzyła na ogród.

– Najgorsze jest to – głośno przełknęła ślinę – że jakiś człowiek znikąd zna ciebie lepiej niż ja. Wie o tobie więcej, chociaż nie przeżył z tobą tylu pieprzonych lat. Przychodzi tu i wyciąga jakieś szalone rzeczy jak króliki z kapelusza.

– To wszystko jest sfingowane. – Stał tuż za nią. – Ktoś chce mnie zrobić.

Zaśmiała się.

– Ciebie, ciebie, ciebie... Ciągle tylko to słyszę! Myślisz, że cały świat kręci się tylko wokół jednego człowieka? Jego Wysokość Bernard Szajer! To żalosne.

– Mari... – zwrócił się do niej miękko. – To wszystko farsa! Niedługo musi się skończyć i wtedy zapomnimy o całej sprawie.

– Wiesz, że to niemożliwe.

– Będziemy musieli spróbować.

Potrząsnęła głową. Szajer położył dłonie na jej biodrach.

– Nie pozwól temu gnojkwowi nas podzielić – szepnął. – O cokolwiek mu chodzi, musimy trzymać się razem.

– Nawet jeżeli to wszystko było prawdą?

– Boże, chyba nie bierzesz na poważnie...

Maria otarła spływającą po policzku łzę.

– Wiem o rachunku – przerwała mu. – Wiem o nim od lat.

– O jakim rachunku?

Szajer opuścił ręce.

– Z grubą forszą.

– Czyś ty oszalała? Co to niby za konto?

– Twój, czyjś, nie wiem, ale masz do niego dostęp.

Odwróciła się w jego stronę i wzięła głęboki wdech. Jej podbródek drżał, ale nie rozplakała się.

– Nie mam dostępu do żadnego pieprzonego rachunku z grubą forszą!

– Dlaczego to robisz?

– Co niby robię?

– Kłamiesz, Bernard! – Odsunęła się od niego. – Widziałam to na własne oczy. Całkiem przez przypadek, gdy poszedłeś kiedyś pod

prysznic i zostawiłeś otwartego laptopa. Chciałam coś sprawdzić w internecie, a w jednej z zakładek miałeś stronę banku. Ledwie to wyświetliłam, a chwilę później wygasła sesja, ale widziałam te pieprzone liczby. Widziałam je, Bernard!

– To może było konto partii. Swego czasu...

– Nie kłam. Proszę cię, nie musisz nic mówić, ale nie kłam.

Szajer nerwowo potarł podbródek.

– Myślisz, że trzymam kilka milionów na jakimś rachunku bankowym i nic o tym nie wiesz? Co miałbym niby zrobić z tą forszą?

– Nie wiem i chyba nawet nie chcę wiedzieć.

– Ale wywlekasz jakieś bzdury, żeby sobie na mnie poużywać? – Podszedł do zlewu i nalał do szklanki wody z kranu. – Dałaś się zmanipulować, Mari. Nie widzisz, że mu się udało? Że właśnie tego chciał?

– Skłamał, mówiąc o twojej rodzinie?

– Nie, ale...

– No właśnie. Tego się nie wyprzesz.

– Tak bardzo cię to boli?

Maria wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć.

– Masz nie roztrząsać bzdur.

– Wcale nie chciałam poznać twojej przeszłości, ale ona nas dopadła. Kto i po co miałby porywać Różę? To twoja wina, że ktoś się na nas mści.

Szajer z impetem opuścił szklankę na marmurowy blat. Pękła z pustym brzęknięciem.

– Boże! Ty mu uwierzyłaś...

– Po prostu chyba nie do końca wierzę tobie.

– Po prostu?! – zawołał z ironią. – Ot tak?

Maria założyła włosy za uszy.

– Jadę na noc do rodziców.

– Nie wygłupiaj się.

– Nie wytrzymam tego. – Ruszyła do przedpokoju, mijając go. – Nie dam rady.

– Zapominasz o Róży? – zawołał za nią. – Chcesz po prostu uciec od problemu?

– To chyba twoja specjalność.

– Nie bądź złośliwa.

Pobiegł za żoną i złapał ją za rękę. Próbowwała się wyrwać, ale wzmocnił uścisk.

– To boli!

– Nie wariuj, Mari!

– Puść mnie!

Ścisnął ją jeszcze mocniej, przyciągając do siebie.

– Mamy czekać na Różę. Możemy tylko warować jak psy i czekać na nią!

Rozluźnił uścisk i bezsilnie osunął się po ścianie. Usiadł przy szafce z butami i po chwili odezwał się zrezygnowanym tonem.

– Ojciec zostawił nas wczesną wiosną, kiedy miałem dziewięć lat. Nie był jakimś ćpunem czy menelem, ale po prostu któregoś dnia wstałem, a jego już nie było. Zostałem matkę zalaną łzami. Przypuszczam, że ojciec założył gdzieś drugą rodzinę. Oznajmił jej to i wyszedł, i nigdy już nie wrócił. Problemów nie było, bo, jako nieliczni w tamtych czasach, żyli bez ślubu.

Pogłaskał Fiodora, który otarł się o jego nogę. Maria usiadła obok.

– Byłem cholernie zżyty z mamą. Przez kolejne trzy lata zajmowała się mną, jak mogła. Harowała, żeby cokolwiek zarobić, a kiedy miałem wakacje, chodziłem pracować razem z nią. Potem trafiła do szpitala i... – Pociągnął nosem i przygryzł wargi. – I wiesz co? Są dwa sposoby radzenia sobie z takimi stanami. Akceptacja lub wyparcie. Ja nigdy nie byłem w stanie zaakceptować tego, że życie odebrało mi wszystko. I to gdy miałem niespełna trzynaście lat. Dla chłopaka to okres, kiedy potrzebuje i ojca, i matki. Stoczyłem się, spróbowałem tego i owego i skończyłem, próbując się powiesić. Mój młodzieńczy bunt zakończył się próbą samobójczą. Później wszystko wyparłem, bo tylko tak umiałem sobie z tym poradzić.

Szajer przeciągnął dłońmi po twarzy. Nie zamierzał kontynuować tej historii.

Nie dziś.

Nigdy.

## DZIEŃ CZWARTY

### 1.

Tuż przed dziewiątą Szajer zatrzymał się naprzeciwko kościoła. Wokół kręciło się sporo ludzi, a na chodniku zaparkowane były wozy kilku ekip telewizyjnych. Ich kierowcy żywiłowo dyskutowali ze strażnikami miejskimi. Zapewne chodziło o blokowanie przejścia.

Pogrzeb, o dziwo, nie przyciągnął tłumów. W porównaniu do uroczystości po katastrofie smoleńskiej lub zabójstwie Adamowicza sprawiał wrażenie wręcz symbolicznego. Skawińska miała pewne poparcie w sondażach, ale po śmierci jej popularność znikła. Kandydatka bez długiej przeszłości w polityce być może zdobyła sporo umysłów, ale niewiele serc. Najwyraźniej miała zostać szybko zapomniana.

Szajer przeszedł przez ulicę i skierował się do wejścia do kościoła. Nigdzie nie dostrzegął Berniego. Pewnie był już w środku albo obserwował go gdzieś zza węgła. Ciekawe, czy przyszedł w swoim niedopasowanym, obrzydliwym garniturze? A może wybrał skórzaną kurtkę, której kieszenie wypchał kolejnymi rewelacjami? Podła gnida.

Bernard minął grupę osób niosących biało-czerwone flagi. Kilka z nich obrzuciło go niechętnym spojrzeniem. Jakiś fotoreporter wymierzył w jego stronę obiektyw aparatu i zrobił całą serię zdjęć. W tym momencie Szajer zauważył, że obok jednej z kolumn stoi Rapacki. Skinął do niego i podszedł.

- Dobrze cię widzieć – przywitał się uprzejmie. – Gdzie reszta?
- W środku. Razem z twoim nowym szefem sztabu.

– Nie zaczynaj...

Rapacki pchnął drzwi, przepuszczając go przodem.

– Musisz się ogolić. – Ściszył głos. – Wyglądasz jak wrak człowieka.

– Czuję się podobnie.

– Chlałeś całą noc?

– Gorzej.

– Co się z tobą dzieje, Szajer? Nikt nie zagłosuje na zapijaczoną, niewyspaną gębę. Twoja przystojna buźka była naszym atutem.

Szajer machnął ręką.

– Zostałeś moim konsultantem wizerunkowym?

Kościół nie był wypełniony nawet w połowie. Trumna była postawiona na katafalku obłożonym fioletowym płótnem. Na jej wieku leżał rozłożysty wieniec białych kwiatów, a obok płonęły świece.

Szajer, wymieniając kilka uścisków rąk, zatrzymał się w połowie nawy. Usiadł na samym końcu pustej nawy. Po chwili dołączył do niego Rapacki. Na ambonie nie było jeszcze księdza, więc kościół wypełniał gwar rozmów. Szepty zlewały się w kakofonię chaotycznego buczenia.

– Musisz się bardziej pokazać. – Rapacki splótł dłonie jak do modlitwy.

– Media muszą odnotować, że przyszedłeś.

– Już zrobili mi zdjęcia.

– To za mało.

Szajer oparł nogi na klęczniku.

– Chcesz mnie teraz pouczać? Powiedz jeszcze, żebym się nie uśmiechał.

– Nie. Po prostu chcę wygrać.

– Przedwczoraj ostentacyjnie trzaskałeś drzwiami.

Rapacki wstał, trącając w ramię Szajera. Na ambonie pojawił się ksiądz i szum rozmów gwałtownie przycichł.

– Dalej nie rozumiem twojej decyzji, ale zainwestowałem w to zbyt wiele – szepnął ledwie słyszalnie. – Dlatego zdecydowałem, że do końca kampanii będę w twoim Komitecie. A później się pożegnamy.

– Michał...

– Dokończmy to z klasą. Żadnych rozłamów ani kłótni.

– Nie rozumiesz, o co chodzi.

– Nie. Ale to ty wybrałeś Berniego Srego, człowieka znikąd. A on śmiał wczoraj wydzwaniać do wszystkich i ustalać im plan dnia.

– Ty też to do tej pory robiłeś.

Rapacki zacisnął usta. Zachował komentarz dla siebie.

– Jesteś mi potrzebny.

– Cii... – Trącił Szajera w bok. – Idzie kamerzysta.

Ekipa telewizyjna przeszła przy ławie, w której siedzieli. Zatrzymała się w połowie długości kościoła, filmując trumnę, a potem żałobników.

– Tylko się nie uśmiechaj.

Szajer nawet nie spojrzał w stronę obiektywów. Wypatrywał Berniego, ale nigdzie go nie widział. Żadnej skórzanej kurtki, żadnej tak żałośnie niedopasowanej marynarki. Jej wypłowiały kolor wyróżniałby się spośród szeregów czarnych uniformów. Mógł oczywiście włożyć inną, o ile takową w ogóle miał. Bernard w to wątpił.

Przez kolejne czterdzieści minut naśladował to, co robili inni zebrani. Wstawał, klękał, siadał, niecierpliwie czekając, aż msza dobiegnie końca. Zamienił z Rapackim kilka zdawkowych zdań, starając się przetrwać całą sytuację.

Nie miał pojęcia, co Berni szykował na ten dzień. Z kim zostawiał Różę? Czy ktoś taki w ogóle istniał? Na zdjęciu, które pokazał mu wczoraj, rzeczywiście nie wyglądała na przerażoną. Nawet jeżeli udawał, że wszystko jest zabawą, czteroletnie dziecko tęskni za rodzicami. I to znacznie szybciej niż po dwóch dobach.

Ksiądz powspominał zmarłą, używając, oczywiście, samych okrągłych słów. Frazesy o młodości, chociaż zmarła miała prawie pięćdziesiąt lat, kolejne o kochającej rodzinie, chociaż była rozwódką z nastoletnim synem. Na koniec dorzucił banały o wspaniale zapowiadającej się karierze politycznej. W ustach księdza wychwalanie socjalistki apelującej o rozdział Kościoła od państwa brzmiało groteskowo. Ale pewnie podobało się żałobnikom.

Msza wreszcie dobiegła końca. Rodzina zmarłej przeszła obok trumny, przystając obok niej i dotykając po kolei wieka. Tak jak turyści dotykają figury Jana Nepomucena na praskich Hradczanach albo stąpają po jajach byka w Mediolanie. Po chwili zgromadzeni zaczęli się rozchodzić.



– Masz gadkę dla prasy? – Rapacki chwycił Szajera pod ramię. – Obmyśliłeś coś?

– Na pewno nie uda mi się przebić księdza.

– Wspomnij o zawieszeniu kampanii. Dorzuc coś o solidarności w tej trudnej chwili.

– Nie jestem idiotą. Ale ludzie nie cenią samobójców.

Rapacki z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Chyba naprawdę przechlałeś dwa dni.

– A co?

– Nic nie wiesz?

– O czym?

– To nie żadna samobójczyni. Ktoś ją zamordował. Policja wydała wczoraj oficjalny komunikat.

Szajer był zaskoczony.

– Jak to?

– No tak to. Odmawiają podania szczegółów, ale to na bank nie było samobójstwo. – Odchrząknął. – Możesz mi powiedzieć, co z tobą? Bo to ty akurat wyglądasz, jakbyś się miał zaraz zabić.

– Pewne problemy z żoną – skłamał Szajer. – Daj mi się pozbierać do kupy.

– Coś nie tak z Marią?

Szli obok siebie wśród ostatnich ludzi zmierzających do wyjścia.

– Drobną kłótnia.

– Nie macie się kiedy kłócić, do cholery? – Rapacki uśmiechnął się do jakiejś kobiety. – Od dawna czuję, że coś kręcisz, ale to już tylko twoja sprawa.

– Myśl sobie, co chcesz.

Wyszli na zewnątrz. Pozostawili za sobą przyjemny chłód, wynurzając się na skąpaną w słońcu ulicę. Wrześniowy wiaterek niósł ze sobą pierwsze pożółkłe liście. Kilka z nich zaszeleściło pod kołami zatrzymującego się karawanu. Jak na zawołanie ktoś wybuchnął płaczem.

Nagle Szajer zauważył Berniego. Stał kilka metrów przed nimi, opierając się wylewającemu z kościoła pochodowi. Ubrany był w wytarty, czarny garnitur. Leżał na nim znacznie lepiej niż poprzedni. Bordowy

krawat spiął z koszulą złożoną spinką. Szczyt elegancji stanowiły pseudoskórzane buty, na wystającej poza ich obrys podeszwie i z pozdzieranymi czubami. Mężczyzna uśmiechnął się do Rapackiego, który minął go obojętnie. Szajer niechętnie ucisnął wyciągniętą dłoń. Nie chciał, aby jakiś dziennikarzyna wyłapał, jak lekceważy ten gest pokoju tuż przed kościołem.

Berni był ukontentowany. Olewając żalobny nastrój wszystkich wokół, odsłonił szereg swoich krzywych żółtych zębów.

– Reporterka z TVP Info czeka na ciebie przy wozie – rzucił wesoło. – Potem mamy ważne spotkanie komitetu.

## 2.

Po wejściu do High Heela Szajer natychmiast rozwiązał krawat, zwinął go i upchnął do kieszeni. Rozpiął górny guzik koszuli i nabrał powietrza. Przez całą drogę wypytywał Berniego o samopoczucie Róży, a ten pokazał mu kolejne zdjęcie. Wydało mu się, że dziewczynka ma na nim zaczerwienione oczy, ale i tak trzymała się całkiem dzielnie. Być może nawet umyła i rozczesano jej włosy. Z odrazą pomyślał, że ten drań mógłby dotykać jego córki.

– Jeszcze dwa, trzy dni – rzucił Berni, kiedy wyszli z windy. – Potem wrócisz do swojego dawnego życia.

– Które umyślnie niszczysz?

– Tylko ujawniam pewne fakty, Szajer.

– Manipulujesz nimi.

– Znasz prawdę. A najbardziej boisz się tego, że i ja mogę ją znać.

– Nie mam się czego bać.

– Wiesz, co zrobiłeś. – Berni pchnął szklane drzwi. – Ale ja tego nie ujawnię. Policja sama dojdzie do wszystkiego, krok po kroku. Bez mojej pomocy.

– Skończmy z tymi półsłówkami.

– Sumienie, mój drogi. Czekam, aż zje cię sumienie.

W milczeniu weszli do biura. Przy stole zgromadzonych było już kilkanaście osób. Berni ściągnął większość ludzi z działu kontaktów

z mediami. Z zarządu nie było nikogo. Koło wszystkich na serwetkach ustawione były szklanki z wodą. Na blacie nie stała jednak ani jedna butelka. Nietypowo.

Szajer usiadł na swoim krześle, a Berni wybrał miejsce niemal naprzeciwko niego, obok Niny Falczak. Wolontariuszka ledwie na niego zerknęła. Przed sobą miała tablet i telefon. Przygryzając wargi, co chwilę przenosiła wzrok z jednego ekranu na drugi. Najwyraźniej przygotowywała się do wrzucenia relacji z pogrzebu. Dział prasowy musiał opublikować właściwy komunikat jak najszybciej. Media zwracały uwagę na takie szczegóły. Kilka godzin zwłoki mogło im przypiąć łatkę obłudników albo zimnych drani. Kiedy jeden z polityków zwlekał z opublikowaniem oficjalnych kondolencji po śmierci papieża, w ciągu doby okrzyknięto go zdrajcą i bezbożnikiem. Oszczyństwa łatwo rzucać, a znacznie trudniej je odkręcać.

– To typowo piarowska narada – zaczął Berni mentorskim tonem. – Chcieliśmy z Bernardem ustalić kilka kwestii.

Bernardem. Jak to dziwnie brzmiało w jego ustach.

– Po pierwsze, zastanawialiśmy się nad programem wyborczym.

Myśmy? Szajer położył dłonie na stole i splótł je. Co ten sukinsyn planował?

– Warto byłoby uzupełnić go o kilka postulatów. Poświęciliśmy wczoraj wiele czasu ich szczegółowej analizie. Dobrze byłoby dorzucić trochę świeżości.

Zawiesił głos, spoglądając w stronę otwierających się drzwi. Do sali wszedł Rapacki, po czym szybkim krokiem skierował się do stołu.

– Nie przerywaj sobie – rzucił do Berniego. – To tylko ja.

Odsunął krzesło, umyślnie przeciągając je po podłodze. Berni sięgnął po szklankę wody i wypił całą jednym haustem. Odstawił ją obok serwetki. Przez chwilę milczał, gładząc poły rozpiętej marynarki.

– Albo lepiej będzie, jeśli szczegóły obmyślimy jutro – odezwał się, zapinając guzik. – Dzisiaj wezwiemy policję do podjęcia intensywniejszych działań w celu wyjaśnienia śmierci Skawińskiej. Co wy na to?

Popatrzył uważnie na Szajera. Ten jednak nie zareagował. Bezmyślnie przekładał szklankę wody z jednej dłoni do drugiej.

– Szkoda czasu medialnego – odezwała się Nina. – To nam nic nie da.

– Czasu medialnego?

– Każdy kandydat przykuwa uwagę mediów określonymi zachowaniami – wyjaśniała jak nauczycielka. – Ale ma też w nich określony czas. Z racji sondażowego poparcia my mamy go całkiem sporo. Jeżeli rzucimy coś takiego, media podłapią tekst, ale nie przełoży się to zupełnie na nic. Słupki pozostaną niewzruszone.

– Ewentualnie to nam zaszkodzi – rzucił jeden z piarowców. – Społeczeństwo nie lubi pouczenia. Potraktuje to jak zarozumiałstwo.

Nina skinęła głową.

– Zgadza się. Lepiej dać jakiś pozytywny przekaz.

Rapacki z zadowoleniem przyglądał się, jak kolejne osoby kontestują pomysł Berniego. Kiedy do krytyki jego koncepcji przyłączyli się najmniej istotni współpracownicy, wręcz zakipiał z radości. W kilku zdaniach obnażyli brak kompetencji człowieka znikąd. Tyle że ten zdawał się tym zupełnie nie przejmować. Postrzegał swój pomysł jako szalenie istotną inicjatywę. Zarozumiały bufon, niemający żadnego pojęcia o polityce.

– Szanuję wasze uwagi. – Berni pokiwał głową. – Bernard podjął już jednak decyzję w tej kwestii. Musimy zwrócić się do policji z wyraźnym apelem. To w końcu była jego kontrkandydatka, a głosy jej wyborców mogą okazać się kluczowe. – Obgryzł skórkę przy paznokciu, po czym kontynuował: – Na jutro chcę mieć tu wszystkich. Wtedy Bernard będzie miał do przekazania coś bardzo istotnego. Prawda?

Odwrócił się w stronę polityka, wymownie zmuszając go do potwierdzenia tych słów. Kiedy ten ledwie skinął głową, głośno klasnął.

– Dzisiaj już kończymy – obwieścił. – Do zobaczenia jutro o dziewiątej.

Nie zważając na podenerwowane głosy, skierował się do wyjścia. Kiedy ktoś poprosił Szajera o skomentowanie sytuacji, natychmiast go ponaglił. Nie dał mu nawet czasu na zamienienie kilku zdań z ludźmi ze sztabu. Nie zauważył, że Rapacki sięgnął po pozostawioną przez niego szklanę. Trzymając ją przez serwetkę, wsunął ją do sztywnego foliowego worka.

### 3.

– Wołałem jechać partyjnym wozem. – Berni pogładził skórę fotela. – Ale nie chwaliłeś się, że masz taką fajną brykę.

Szajer nie odrywał wzroku od drogi.

– Nie sprawdziłeś tego?

– Oczywiście, że sprawdziłem. Kupiłeś go trzy lata temu, na wyprzedazy rocznika. Polski salon. Wszedł w skład twojej wspólnoty małżeńskiej.

– To wszystko można wywnioskować z mojego oświadczenia majątkowego.

– Tak. Przepisy zrobiły z polityków przejrzyste kurwy. Bogactwo nie jest już miarą sukcesu, ale złodziejstwa. Prezydent i premier wykazują, że posiadają kilkunastoletnie złomy i kilkudziesięciometrowe klitki. Jeżeli ktoś sobie kupi elegancki zegarek, robi się z tego afera, bo lepiej, żeby minister polskiego rządu nosił chińskie gówno na gumowym pasku. Nie sądzisz, że to chore? Wołałbym głosować na ludzi, którzy potrafili się dorobić i utrzymać przy kasie. Bez względu na to, w jaki sposób to robią.

Szajer wyłączył klimatyzację i uchylił okno. Było mu duszno.

– Masz żal do polityków?

– Żal? – Berni parsknął. – Dlaczego miałbym mieć do was żal? Przecież każdy kieruje swoim życiem i, gdybym chciał, sam zapisałbym się do partii. Ja mam jedynie żal o te pieprzone przekręty. O oplatanie mackami wszystkich służb i tuszowanie afer. A przede wszystkim o to, że potraficie zniszczyć niewinnych ludzi, jeżeli tylko staną się dla was najmniejszym zagrożeniem. Rozgnieść ich jak zwykłe robaki.

– Tak, tak, zamach na World Trade Center to spisek CIA, a Hitler przeżył wojnę.

– Dobrze wiesz, o czym mówię, Szajer.

Wreszcie Berni odsłonił przed nim część swojej osobowości. Przez chwilę nie grał. Wylewała się z niego prawdziwa, szczerza złość. Był przeciętnym człowiekiem, u którego gwałtownie przelała się fala frustracji. Tak jak u niejakiego Brunona, który chciał zamienić budynek sejmu w dziurę w ziemi. Gdyby Szajer dowiedział się więcej, być może

trafiłby na jakiś słaby punkt. Albo wyciągnął coś przydatnego. Dlatego musiał drażnić.

– Nie, naprawdę. Powiedz mi.

– Właśnie teraz to robisz.

– Co?

– Traktujesz mnie jak gówno. Nic nieznaczącego śmiecia.

– To ty dorabiasz mi biografię i grzebiesz w historii.

Berni obrócił w dłoni spinkę do krawata.

– Chcę, żebyś zrozumiał, kim jesteś.

– Jestem ojcem, a ty porwałeś moje dziecko.

– Musiałem mieć jakieś zabezpieczenie, żebyś ze swoimi układami mnie nie rozgniół. Żebyś w chwili, kiedy do ciebie przyjdę, nie wyrzucił mnie na zbity pysk, tylko posłuchał. Za tobą stoi cała machina. Za mną nie stoi nikt.

Szajer zwolnił. Radarowa kontrola prędkości na tym odcinku stanowiła dla miasta żyłę złota. Berni oparł głowę o szybę.

– Naprawdę zajmuję się małą – odezwał się, kiedy minęli żółtą skrzynkę. – Polubiłem ją.

– Jakie możesz mieć pojęcie o zajmowaniu się dzieckiem?

– A trzeba do tego specjalnych papierów? Zanim urodziła się Róża, zrobiłeś kurs ojcostwa?

Szajer nie odpowiedział, zaciskając dłonie na kierownicy. Berni przymknął oczy.

– Zawsze chciałem mieć córkę. Bawić się z nią, obserwować, jak dorasta, uczyć tego, czego sam nauczyłem się zbyt późno. Jesteś o nią zazdrosny, prawda, Szajer?

– O co miałbym być zazdrosny?

– O czas, który ze mną spędza.

– Nie robi tego z własnej woli.

– Naprawdę jest zadowolona. Kiedy pomagałem jej spłukać szampon z włosów, śmiała się i rozrzucała dokoła pianę. Też się tak bawicie?

Berni otworzył oczy i zerknął na Szajera, ale ten się nie odezwał. W skupieniu prowadził auto. Jedynie napięcie mięśni jego szczęki zdradzało, jak bardzo jest zdenerwowany. Poza tym co chwilę przełykał ślinę.

– Myślisz, że polubisz jej chłopaków? A może będziesz starał się przegnać ich jak najdalej? No, śmiało, odpowiedz!

– Nie myślę o tym.

– Nie wierzę.

– Sam zrobiłeś wszystko, żebym myślał o najbliższych dniach, a nie o odległej przyszłości.

– Ten czas szybko zleci. – Berni przeciągle cmoknął. – Dopiero co zabiłeś Zadarczenkę. Wydaje się, jakby to było wczoraj, prawda?

Szajer się odwrócił.

– Jakim sposobem zdobyłeś te akta?

– Niczego o mnie nie wiesz. A ja o tobie wiem więcej, niż myślisz.

– Mam się bać?

– A boisz się prawdy?

– Mógłbym zapytać cię o to samo.

Kolejna zmierzająca donikąd wymiana zdań. Szajer nacisnął guzik otwierającego bramę pilota i wjechał na podwórze.

– Po co ci moja córka? Jeżeli chciałeś szantażować mnie jakimiś śmieciami, nie musiałeś jej porywać.

– Powiedziałem ci, że wtedy byś mnie wcale nie posłuchał. Tylko dzięki niej zwróciłeś na mnie uwagę. Gdyby nie Róża, znowu zamiótłbyś wszystko pod dywan. Tak jak to zrobiłeś z Zadarczenką i jak to zrobiłeś ostatnio. Wysiadamy.

Szajer zaparkował na podjeździe przed domem. Jeżeli Berni nie widział garażu, niech tak zostanie. Chociaż malutka część jego prywatnej przestrzeni pozostała nietknięta obecnością tego sukinsyna. Postanowił pozwolić mu się wygadać, ale Berni zamilkł. Bez pardonowo pomaszerował do drzwi i nacisnął dzwonek.

Maria otworzyła, nawet na nich nie patrząc. Miała bladą twarz, zaczerwienione oczy i zebrane w kok włosy. Bez słowa skierowała się w stronę schodów, ale Berni ją zatrzymał.

– Hola, hola, dzień dobry! – krzyknął, chwytając ją za ramię. – Gdzie tak od razu uciekasz?

Szajer odwrócił wzrok. Najchętniej chwyciłby teraz długą, metalową łyżkę do butów i przyłożył gnojowi w kark.

– Jeżeli chcecie zobaczyć córkę żywą, mam dla was jeszcze jedno zadanie. Być może ostatnie.

Maria wyszarpnęła mu się i stanęła na schodku.

– Czego chcesz?

– Sprawdzić, jak wiele dla was znaczy Róża.

– Niby jak? Obiecałeś, że wróci cała i zdrowa.

Berni poprawił mankiety koszuli. Przechylił głowę, napinając barki.

– Wróci – syknął. – Ale wcześniej chcę zobaczyć, jak sprawna jesteś w łóżku, Mario.

#### 4.

Szajer poczuł, jak jego serce zaciska się i nagle wyrzuca podwójną porcję krwi. Nogi się pod nim ugięły.

– Skurwysynu! Możesz sobie pomarzyć!

Błyskawicznie obszedł Berniego i stanął pomiędzy nim a Marią, która nawet nie drgnęła, z przerażeniem wpatrując się w zwalistego mężczyznę.

– Szajer, kolego, naprawdę nie kochacie córki?

– Spróbujesz jej dotknąć, a cię zabiję.

– Tak jak wtedy, kiedy mnie śledziłeś? Zabij mnie, a nigdy jej nie znajdziecie.

Szale wagi nagle zmieniły położenie. W jednej chwili to, jak ten szalenciec niszczył ich życie, przeważało nad obawą o los córki. Musiał być jakiś sposób, żeby ją uratować. Nieważne jak, ale odnajdą ją. Nie mógł w to zwątpić. Działał instynktownie, przestał kalkulować.

Wymierzył Berniemu cios prosto w podbródek. Niespodziewane uderzenie całkowicie zaskoczyło intruza. Zachwiał się, odchylając głowę do tyłu. Wtedy Szajer uderzył go w nos, niemal równocześnie wbijając mu kolano w podbrzusze. Upadając, Berni chwycił go za połą marynarki i pociągnął za sobą. Wyrznęli o podłogę, wijąc się w morderczym uścisku. Mimo determinacji Szajera Berni był znacznie silniejszy. Szybko oprzytomniał, odzyskał przewagę i zacisnął stalowy uścisk na jego nadgarstkach.



W tym momencie dopadła do nich Maria. Wbiła w szeroki kark paznokcie, łamiąc je i przebijając skórę. Berni syknął. Uwolnił jedną dłoń i odepchnął kobietę tak mocno, że uderzyła plecami o poręcz schodów. Charcząc, zacisnął drugą na nadgarstku Szajera. Przydusił go łokciem do podłogi.

– Patrz, do cholery! – wrzasnął. – I ty też!

Wściekłym ruchem wyszarpnął z kieszeni telefon. Przez chwilę coś przy nim majstrował, wreszcie pokazał im wyświetlacz.

– Widzicie to?

Na ekranie pojawiły się cyfry. Zminiaturyzowany obraz z kamery pokazywał kratkę wentylacyjną.

– Zainwestowałem w to trochę kasy. – Berni upewnił się, że Maria również wszystko widziała. – To moje dodatkowe zabezpieczenie i środek przymusu.

– Aplikacja? – Szajer nabrał tchu. – Możesz ją sobie w dupę wsadzić.

– To urządzenie steruje kotłem gazowym w miejscu, gdzie jest Róża. Mogę go w dowolnej chwili uruchomić lub wyłączyć. Mogę również regulować jego przepustowość. Dziś rano zasłoniłem wszystkie otwory nawiewne i kanał wentylacyjny. Zmodyfikowałem przewód spalinowy. – Berni zablokował telefon i położył go obok siebie. – Rozumiecie, do czego zmierzam?

Maria zasłoniła usta dłonią. Z jej oczu popłynęły łzy. Szajer próbował wywinąć się z uścisku potężnego mężczyzny.

– Ty chuju! – Napluł mu w twarz. – To niewinne dziecko!

Berni otarł policzek rękawem marynarki.

– Jesteście nieuprzejmi – wycedził. – Nastawiłem właśnie piec na maksymalną wydajność. Mario, jeżeli nadal będziesz oporna, wasza córka umrze w ciągu kilku minut.

– Popieprzony sadysto!

– Nie jestem sadystą. Zatrucie dwutlenkiem węgla to łagodna śmierć.

– Wyłącz to!

Szajerowi udało się jedną dłonią chwycić telefon Berniego. Bezskutecznie starał się go odblokować.

– Szkoda czasu. Jeżeli trzykrotnie się pomylisz, wyłączy się. A ja nie pamiętam kodu, który go z powrotem uruchomi.

– Dobrze, zrobmy to.

Głos Marii wbił Szajera w podłogę. Czuł się, jakby właśnie go ukrzyżowano. Głęboko dyszał i kręciło mu się w głowie.

– Uspokoisz się? Masz niewiele czasu.

Berni nieco poluzował uścisk. Szale wagi powróciły do poprzedniej pozycji. Namacalność zagrożenia życia Róży z powrotem wymusiła kalkulację.

Szajer opuścił ręce i położył je na podłodze. Walka nie miała sensu.

– Dobry wybór. – Berni sięgnął po telefon. – Wyłączę piec, a niedługo będzie po wszystkim.

Maria podniosła się, opierając o poręcz.

– Gdybyście mieli jeszcze jakieś głupie pomysły, to dodam, że ma włącznik czasowy. Jeżeli coś mi się stanie, o ustalonej porze samoczynnie się uruchomi. A wtedy cyk!

Pstryknął palcami. Powoli się podniósł i przegładził marynarkę. Oderwał naderwaną kieszeń i rzucił materiał na podłogę. Odwrócił się do Marii.

– Gotowa?

Kobieta spuściła wzrok, nie chcąc patrzeć na męża.

– Gdzie mamy to zrobić?

– Nie widziałem jeszcze waszej sypialni.

– W porządku. – Powoli ruszyła po schodach. – Bernard, proszę zostań na dole.

Berni poszedł za nią.

– Chciałem, żeby twój mąż na wszystko patrzył.

– Nie rób tego... – Szajer podniósł się na kolana. – Proszę cię, nie rób nam tego. Zostaw w spokoju moją żonę i córkę. Chcesz mnie wykończyć? Proszę bardzo, ale zostaw je w spokoju.

– Boże, kolego! – Berni zatrzymał się w połowie schodów. – Ale skomlisz. Przy tobie na pewno się nie skupię.

– Proszę...

– To zawodzenie pozbawiłoby chcicy nawet napalonego psa.

– Zrobię wszystko, czego chcesz...

– Zamknij się i nie waż iść na górę.

## 5.

Szajer myślał o tym, jak kochali się z Marią po raz pierwszy, w jej niewielkim apartamencie na Mokotowie. Wcześniej przez cały dzień spacerowali po Starówce, włóczęc się bez celu, pochłonięci sobą i nie zważając na siąpiący deszcz. Co chwilę przystawali, aby się pocałować. Zaszli do niewielkiej chińskiej knajpki, w której serwowano wyglądające najmniej apetycznie na świecie zupy.

Pamiętał, jak siedzieli, babrając łyżkami w wypełnionych gęstymi mieszankami miseczkach. O dziwo, nie podano im drewnianych pałeczek. Ich lewe dłonie były splecione na stole, jakby chcieli wzajemnie dodać sobie otuchy przed spróbowaniem. On zrobił to pierwszy, pochłaniając papkę z całą pewnością ugotowaną na psim udźcu. Udał, że się dławi, nie zwracając uwagi na pozostałych gości. Nie interesowało go nic poza śmiechem Marii.

Zupa o niewymawialnej nazwie okazała się całkiem smaczna. Nie wiedział, czego do niej dodano, ale niespełna godzinę później wylądowali w jej łóżku. Najpierw, dla zachowania pozorów, z butelką wina i włączonym telewizorem. Po dwóch kieliszkach całkowicie zatopili się w swoich objęciach.

Podciągnął jej bluzeczkę i rozwiązał kokardę na karku. Drżały mu ręce, a ona ciągle chichotała. Kiedy zanurzył dłonie w jej włosach, opadła na niego. Wciąż okryte stanikiem piersi przyłgnęły do jego koszuli. Całując go, rozpięła jej guziki, pozwalając mu pieścić się przez spodnie.

Chwilę później leżeli już całkiem nadzy. Zrzucili z łóżka kołdrę, jakby nie chcieli niczego, co zasłaniałoby piękno ich ciał. Buzowali od pożądania, pieszcząc się i wijąc. Pamiętał, jak z udawaną nieśmiałością zapytała go, czy ma prezerwatywę. Oczywiście! Odkąd zaczęli się spotykać, jedną nosił w portfelu, a kilka poupychał w kieszeniach różnych marynarek. Zawsze był przygotowany.

Kiedy wyciągnął opakowanie, Maria natychmiast mu je zabrała.

– Durex classic? – zapytała, rozdzierając folię. – Sądziłam, że jesteś bardziej frywolny.

Nagle poczuł się zażenowany, ale namiętny pocałunek rozwiązał jego wszelkie wątpliwości. Kiedy nakładała mu prezerwatywę, cały świat się rozplynął. Po chwili spleli się w najmocniejszym miłosnym uścisku, stając się jednością. Doskonałą jednością dwojga zakochanych osób.

Z katatonicznego zamyślenia wyrwał go odgłos kroków na schodach. Najpierw delikatnych, kobiecych, a zaraz za nimi wolniejszych i cięższych.

Szur-szur, stuk-stuk.

Wiedział, co one oznaczają, ale poczuł zaskakującą ulgę. Już po wszystkim. Jego psychika została zgwałcona tak samo brutalnie, jak ciało Marii. Ale już było po wszystkim. Ten szalenciec nie mógł im zrobić niczego gorszego. Myślał, że mógł mu ją odebrać? Kwadratowe zero, którego nie obdarzyłaby na ulicy nawet przelotnym spojrzeniem. Intelktualne gówno, zabarwione ciężką chorobą psychiczną. Ta myśl jednak pomogła tylko na chwilę.

Z kanapy mógł obserwować fragment korytarza u stóp schodów. Wychylił się, chcąc dostrzec twarz żony. Po chwili szuranie i stuki ucichły, a później ją zobaczył. Była bosa i ubrana w puszysty szlafrok. Gdy przechodziła przy drzwiach, spuściła głowę, wpatrując się w swoje stopy. Zaraz za nią pojawił się Berni.

– Umyj się w tej łazience – powiedział tak, żeby Szajer go usłyszał. – Bernard powinien wiedzieć, kiedy wypłukujesz z siebie wspomnienie najwspanialszego seksu.

Wszedł do salonu, ostentacyjnie zapinając pasek. Miał zaczerwienioną twarz, a na czole skrzył mu się pot.

– Gratuluję żony – zarechotał, siadając na fotelu. – Naprawdę zdolna kobitka.

Szajer zakrył twarz dłońmi. Zbierało mu się na mdłości, jakby wypił właśnie butelkę wódki.

– Teraz będę miał zadanie specjalnie dla ciebie. Już ostatnie i Róża do was wróci.

Rurami popłynęła woda. Jej szum wykręcił jego żołądek, wpychając do ust posmak żółci. Nie zwrócił uwagi na to, że Fiodor ociera się o jego kolano, domagając się pieścizot. Berni założył nogę na nogę i odchylił głowę na oparcie.

– Pamiętasz, że na jutro zwołaliśmy posiedzenie komitetu?

Szajer mruknął coś pod nosem.

– Nie słyszę, do cholery! Pamiętasz?! Mam znowu odpalić tę pierdoloną aplikację?

– Nie, nie... Pamiętam.

– A wiesz, co zrobimy?

– Nie.

– Nie domyślasz się?

– Nie.

– Wezwałem członków zarządu i dziennikarzy. Rzadko zagląдают do waszej siedziby w wieżowcu, prawda? Najwyższy czas, żeby dać im odrobinę sensacji. Niech tylko zobaczą ten widok!

Szajer potarł skronie. Wyprostował się, przełykając ślinę.

– Przez to polecą sondáže.

– Patrzcie go! – Berni wyrzucił w powietrze dłonie. – Dopiero zabawiałem się z twoją żoną, a tobie nadal sondáže w głowie.

Szajer zacisnął dłonie na kolanach.

– Chcesz, żebym się zabił? O to ci chodzi?

– Czyżby zjadały cię wyrzuty sumienia?

– Zjada mnie to, że niszcysz wszystko wokół mnie.

– Może właśnie na to zasłużyłeś.

– Ale nie oni! – Szajer zerwał się z kanapy. – Rozumiesz? Nie moja żona! Nie moja córka! Jeżeli uroiłeś sobie coś we łbie, to chodzi ci tylko o mnie! Je zostaw w spokoju! Mam się zabić? Proszę bardzo, zrobię to, jeśli tylko wypuścisz Różę!

Wykrzyczane słowa zmęczyły go tak bardzo, że musiał zaczerpnąć tchu. Berni się nie przejął.

– Dlatego musisz być posłuszny – skwitował szorstko. – I tyle.

– Mów, co mam zrobić.

– Naprawdę jesteś gotowy? Słabo wyglądasz.

– Zacząłeś się nagle o mnie martwić?

Berni przeciągnął palcem po blacie stołu, jakby sprawdzał, czy jest na nim kurz.

Potem w kilku słowach obwieścił swój plan.

To było czyste szaleństwo.

## 6.

Dopiero kiedy Berni wyszedł, Maria otworzyła drzwi łazienki. Bez słowa poszła na górę i po chwili wróciła ze stertą pościeli, którą natychmiast upchnęła w pralce. Nagle wyrzuciła ją z powrotem na podłogę. Wzięła worek na śmieci i upchnęła w nim pościel. Dysząc ze złości, zawiązała supeł. Otworzyła klapę do piwniczki i cisnęła pakunek do środka. Następnie jak w transie zaczęła się krzątać przy kuchni. Pozory powrotu do normalności ją uspokajały.

W tym czasie Szajer siedział na kanapie, gapiąc się w sufit. Nic nie miało dla niego znaczenia. Nie wiedział nawet, czy aby co chwilę nie przysypiał. Po prostu tracił kontakt z rzeczywistością, po czym zdawał sobie sprawę, że zawieszony na ścianie zegar pokazuje późniejszą godzinę.

Maria weszła do salonu z dwoma talerzami parującego spaghetti. Jeden dała mężowi, a drugi postawiła na kanapie.

– Pójdę po sztucce – odezwała się cicho. – Nie czekaj na mnie.

Jakby sam miał jeść palcami. Kiedy wróciła, w milczeniu pochłonęli swoje porcje. Spaghetti obłędnie pachniało, ale nie miało żadnego smaku. Było papką zmielonego papieru, przyozdobionego kolorowymi tasiemkami.

– Dziękuję. – Odłożył talerz na szklany stolik.

Maria uśmiechnęła się mechanicznie. Skóra w kąciach jej oczu nie drgnęła. Przez kolejne pół godziny rozmawiali. Nie zamienili jednak choćby słowa o tym, co Berni z nią zrobił. Omijali ten temat, jakby nigdy nie istniał, jakby zupełnie nic się nie wydarzyło.

Nawet wyraźne zaczerwienienie na szyi żony Szajer tłumaczył sobie wysypką od łańcuszka. Nie zająknęli się też o tajemniczym rachunku bankowym ani o zabójstwie gangstera. Rozmawiali zaskakująco uprzejmie i spokojnie. Jednak ich głosy były puste jak echo w studni, tak samo jak poruszane tematy.

Nagle rozległo się głośnie brzęczenie. Po chwili wibrację zagłuszyły wesole tony dzwonka, który kilka dni wcześniej wybrali specjalnie dla

Róży. Dziewczynce podobał się jeden z zasłyszanych w telewizji utworów i męczyła ich, dopóki nie zastąpili nim klasycznego dzwonienia.

Komórka leżała na szafce w przedpokoju. Gdyby telefon wykonano wczoraj, oboje już dawno pobiegliby do aparatu. Tym razem jedynie spojrzeli po sobie. Wreszcie Szajer powoli zwlókł się z kanapy i wyszedł z salonu. Po chwili wrócił, trzymając w dłoni komórkę. Ciągle dzwoniła, więc przeciągnął palcem po ekranie. Następnie usiadł obok żony.

Rozpoczęło się połączenie wideo z nieznanym numerem.

Kiedy wyświetlacz się rozjaśnił, serce podeszło Szajerowi do gardła. Zobaczył twarz córki. Pomimo słabej jakości wyraźnie widział jej załzawione oczka i drżące wargi.

– Mamo, tato! – pisnęła.

Na dźwięk tych słów Maria przylgnęła do męża, przyciągając jego dłoń. Chciała być jak najbliżej telefonu. Jakby mogła zmniejszyć odległość między sobą a córką, zbliżając się do ekranu.

– Córciu! – Szajer zwiększył głośność. – Kochanie, jak się masz?

– Pan Berni powiedział, że mogę już do was zadzwonić.

– Jak się czujesz?

– Chcę do was wrócić. Proszę!

– Spokojnie, Rózyczko. – Maria niemal przyłożyła wargi do mikrofonu. Szajer zdumiał się tym, jak ciepły miała głos. – Już niedługo wrócisz i wszystko będzie dobrze.

– Ja chcę teraz!

– Teraz jeszcze nie możesz. Jeszcze chwilka. Pamiętasz, jak byłaś u dziadzia? Liczyłaś wtedy tak długo, jak umiałaś, aż przyjechalibyśmy po ciebie z tatą.

– Mamusiu...

Po twarzy dziewczynki spłynęła łza. Nie otarła jej, więc osiadła w kąciku ust. Szajer zacisnął dłoń na telefonie.

– Jesteś dzielną dziewczynką – szepnął, opanowując drżenie głosu. – Niedługo poczytamy razem bajki i zrobisz z mamą naleśniki. Jesteś teraz głodna?

– Nie. Ja chcę zjeść z wami. Pan Berni obiecał, że zjem z wami.

– Oczywiście, że zjesz. Co tylko będziesz chciała. Nawet cały słoik kremu czekoladowego.

Przez cały czas starał się wyłapać jak najwięcej szczegółów z jej otoczenia. Berni jednak nie był głupi. Dziewczynka znajdowała się w pomalowanym na biało pokoju, w którym nie widział okien. Gdzieś naprzeciwko niej musiała palić się lampka, dlatego rysy dziecka zdawały się pulsować i mienić.

– Obiecujesz?

– Oczywiście, Różyczko.

– I ty, mamó?

Maria odwróciła się bokiem, aby córka nie zobaczyła, że również do jej oczu napłynęły łzy.

– Obiecuję, ale jeszcze troszkę musisz zostać u pana Berniego.

– Jak długo?

– Zobaczysz, że czas szybko ci zleci.

– Dłużej, niż tutaj jestem?

– Nie, nie, większość już za tobą. Naprawdę, nim się zorientujesz, będziemy razem.

– Fiodon też?

Szajer poczuł, że ciało Marii spazmatycznie drży. Skierował ekran telefonu bardziej na siebie.

– Tak – zapewnił. – Fiodor też na ciebie niecierpliwie czeka. Jest tu razem z nami i tęskni.

Pomyślał, że gdyby zawiadomili policję, ta właśnie namierzałaby rozmowę. Za godzinę brygada antyterrorystyczna wpadłaby do nory Berniego, skuła go i uwolniła ich córkę. A może porywacz stawiałby opór i zastrzeliliby go, zupełnie przez przypadek.

Z drugiej strony Berni był zbyt przebiegły, żeby dać się łatwo namierzyć. Prawdopodobnie przygotował się na taką ewentualność, a teraz, wiedząc, że Szajer nie zawiadomił służb, zdobył się na wykonanie telefonu. Sam mógł jednak spróbować się czegoś dowiedzieć. Berniego mogło nie być obok dziewczynki. Było to mało prawdopodobne, ale możliwe.

– Posłuchaj, Różyczko – zaczął ostrożnie – musisz się wyspać i wtedy czas szybciej minie. Kiedy jechałaś do pana Berniego, to spałaś po drodze?

– Nie, tatusiu. Ja wtedy...



Nagle obraz rozmył się, a po chwili na ekranie pojawiła się twarz Berniego. Na podbródku miał naklejony plaster. Szajer nawet nie zauważył, jak solidnie mu przywalił.

– Niezła próba – powiedział z uznaniem. – Naprawdę niezła próba.

W tle rozległ się głos dziewczynki, ale słowa zanikły na łączu.

– Chciałem tylko uspokoić córkę.

– Znowu kłamiesz.

– Nie kłamię, ja tylko...

– Jeżeli nie chcecie, aby to była wasza ostatnia rozmowa z małą... –

Berni przybliżył twarz do telefonu. – ...jutro będziesz posłuszny, Szajer.

# DZIEŃ PIĄTY

## 1.

Ubrał się w te same rzeczy, co poprzedniego dnia. Włożył czarny garnitur, a rękawy białej koszuli spiął srebrnymi spinkami z lśniącego agatami. Pocieszała go myśl, że wreszcie odzyska córkę. Kariera polityczna nie miała teraz znaczenia.

Był przekonany, że kiedy tylko Róża wróci do domu, uda mu się wznowić kampanię. Czy Berni o tym nie pomyślał? Czy nie zdawał sobie sprawy, że jego plan nie miał szans się powieść? Świstki papieru, które mógł pokazać prasie, nie miały żadnego znaczenia. Bez problemu wszystkiego się wyprze. A te ostatnie insynuacje? O to również się nie bał.

Do High Heela przyjechał przed czasem. Przed budynkiem zaparkował jedynie wóz lokalnej stacji TV. Jeszcze gorzej niż podczas wczorajszego pogrzebu... Wszystko zależało od tego, co Berni przekazał prasie w notce. Równie dobrze mógł grać na wyłączność. Albo...

Ta myśl wydawała się jedynie złudną nadzieją: albo może on tylko sobie z niego pokpiwał? Może wcale nie chciał tego, o czym mówił? Chciał jedynie sprawdzić reakcję i gotowość Szajera do poświęcenia się dla córki. Jeżeli w jego umyśle powstał taki patologiczny plan, było to możliwe. Wielu psychopatów sprawdzało psychiczną wytrzymałość swoich ofiar. Tak działali też zwykli domowi kaci, dręczący swoje żony, mężów lub dzieci. Nie chodziło im o przełamanie barier, ale o sprawdzenie, czy mogą to zrobić. Jedynie przypadkiem doprowadzali

swoich bliskich do prób samobójczych. W rzeczywistości zależało im na ich upodleniu i dowartościowaniu swojego marnego ego.

W holu już czekał na niego Berni. Włożył swój szary, tandetny garnitur, ale tym razem pod szyją zawiązał pstrokaty krawat. Jego końcówka zwisała kilka centymetrów nad pępkiem. Poprowadził Szajera korytarzem ku sali konferencyjnej. Na ich widok do środka weszło kilka rozmawiających pod drzwiami osób. Został jedynie Rapacki, który do nich podszedł.

– Panie Polak! – wykrzyknął kurtuazyjnie. – Czy mógłbym na chwilę porwać Bernarda?

Berni jedynie przyspieszył kroku.

– Mamy pewną prywatną sprawę.

– Nie ma na to czasu – warknął. – Załatwicie to po spotkaniu.

– To tylko chwila. Bernard?

Berni ukradkiem trącił Szajera pod żebra.

– Wszystko jest zwołane na konkretną godzinę. Nie możemy się spóźnić.

– Zostało jeszcze kilka minut.

– Bernard chciał przejrzeć notatki.

Rapacki zatem zwrócił się wprost do Szajera.

– Zaniemówiłeś? Nawet się do mnie nie odezwiesz?

Bernard zacisnął dłoń na ręczce teczki. Znajdowały się w niej dokumenty, które przygotował na przemówienie w auli uniwersyteckiej. Od tamtego czasu nawet jej nie otworzył.

– Porozmawiamy po zebraniu. – Minął Rapackiego i sięgnął do klamki.  
– Przepuść mnie.

Rapacki w końcu się odsunął i Szajer wszedł na salę. W środku było więcej osób niż poprzedniego dnia. Tym razem Berni ściągnął wszystkich najważniejszych członków ugrupowania, zaszczytem uczestniczenia w spotkaniu obdarzając jedynie kilku przedstawicieli poszczególnych działów. Rekiny zamiast płotek. Gdyby tylko wiedzieli, co zaraz usłyszą, już szukaliby proceduralnych kruczków.

Z ulgą stwierdził, że w pomieszczeniu nie ma przedstawicieli mediów. Obawiał się, że będzie musiał zmierzyć się z obiektywami kamer i pałkami mikrofonów. Teraz zrozumiał nikłe zainteresowanie

dziennikarzy. Berni prawdopodobnie zwołał konferencję prasową na późniejszą godzinę. Ekipa z lokalnej stacji przyjechała pewnie przed czasem, aby zjeść śniadanie w jednej z knajp na parterze. Omlet z owocami i konfiturą porzeczkową w Break Slow & Fast był wart drobnego kłamstwa.

– Oficjalnie to twoja decyzja – szepnął mu Berni, kiedy podeszli do stołu. – Ja o niej nic nie wiem.

Tym razem usiadł znacznie bliżej niego. Zerknął na zegarek i dał sygnał, by zaczynał. Był cwany. Nie chciał dać czasu na spekulacje albo kuluarowe rozmowy. Wiadomość miała spaść na wszystkich jak grom z jasnego nieba. Miała ich porazić i nie pozwolić na pozbieranie się.

Kiedy wszyscy zajęli już swoje miejsca, Szajer położył przed sobą teczkę. Chciał ukryć drżenie dłoni i udał, że czegoś w niej szuka. Zmiał ulotkę reklamującą jego wystąpienie na uniwersytecie. To była już tylko nic nieznacząca historia. Zdawało mu się, że od tamtego dnia upłynęła cała wieczność.

Odchrząknął i podniósł się. Miał zwyczaj mówienia na stojąco, szczególnie jeżeli starał się przekazać coś istotnego. Patrząc z góry na zebranych, miał poczucie, że lepiej kontroluje sytuację. W tej chwili nie potrzebował niczego innego.

– Witam wszystkich. – Drgnął, wykonując coś, co miało być skinieniem głowy. – Dziękuję za punktualne przyście. To dla mnie bardzo istotne spotkanie. Chcę wam przekazać moją decyzję, która, mam nadzieję, zostanie przez was przyjęta ze zrozumieniem. Nie było mi łatwo, ale po długich przemyśleniach, a przede wszystkim...

Łysiejący mężczyzna o posturze koszykarza zabębnił palcami w stół.

– Bernard, wiesz, że przy nas nie musisz robić cyrków. Wal wprost!

Kilka osób się roześmiało, ktoś zaklaskał. W większości byli w niezłych humorach. W przeciwieństwie do Szajera, który nerwowo gładził skórę teczki. Przerwano mu obmyślaną przez noc przemowę. Zająknął się.

Miał pustkę w głowie. Wydawało mu się, że jeszcze nic nie powiedział. Właściwie była to prawda, ale teraz czuł się jak uczeń, który zapomniał wierszyka. Jedno wypowiedziane słowo z powrotem uruchomiłoby recytację. Tyle że nie miał suflera.

Zaczerpnął powietrza. Postanowił mieć to za sobą.

– Podjąłem decyzję o rezygnacji – wydusił z siebie, jakby wypluwał gorące kamienie. – Nie będę ubiegał się o urząd prezydenta stolicy.

Znowu rozległy się śmiechy, ale tym razem znacznie mniej wesołe. Szybko przytłumił je szum szeptów.

– Dobra, Bernardzie, skończmy z tymi wygłupami. – Krępy członek zarządu poprawił się na krześle. – Musimy wreszcie wziąć się do roboty.

Szajer patrzył na niego ze zwieszoną głową.

– To nie są wygłupy, Henryk. Ja naprawdę rezygnuję.

– O czym ty mówisz?

– O tym, co wszyscy przed chwilą usłyszeli. To koniec tej kampanii.

Szepty przemieniły się w gwar rozmów i przekleństw. Zdziwienie ogółu wykroczyło poza jakiegokolwiek skalę. Berni zastukał palcem w blat stołu i odczekał, aż wrzawa nieco przycichnie.

– Być może to dobra decyzja. – Z trudem stłumił uśmiech. – W tych wyborach Bernard się podłoży, a potem wystartujemy jako wyraźna siła do parlamentu. Dzisiaj powiemy, że przytłoczyła go śmierć kontrkandydatki. To powinno spodobać się wyborcom i zrobić ogólnokrajowy szum medialny.

Henryk Winzel położył ręce na stole. Był wytrawnym, chociaż lokalnym politykiem, doskonale znającym się na mowie ciała. Jako jeden z pierwszych dołączył do przygotowującego się do kampanii Szajera. Został członkiem jego komitetu, rezygnując z przynależności do dużej partii. Jednocześnie stał się doskonałym pomostem pomiędzy polityką samorządową a parlamentarną. Postawił wszystko na jedną kartę, upatrując w Szajerze wschodzącej gwiazdy i bożyszczka tłumów. Mając prezydenta stolicy, mogliby budować ogólnopolskie struktury, przy czym sam odgrywałby w nich pierwszoplanową rolę. Nikt nie poświęciłby urzędu prezydenta stołecznego miasta dla wątpliwego mandatu posła. Ale on mógł wskoczyć do sejmu z tylnego fotela. W jednym momencie wszystkie te marzenia oddaliły się od niego, a plany trafiały na śmietnik historii. Bez prezydentury nie mieli nawet o czym rozmawiać. Mimo tego zachował spokój. Popatrzył najpierw na Berniego, a potem na Szajera.

– Uważasz, że masz szansę w wyborach do parlamentu? – Splótł dłonie. – Że my mamy szansę? Bo chyba zdajesz sobie sprawę, że nikt tu

nie harował, myśląc tylko o twoim szczęściu. Wiesz, jaki był plan, i zgodziłeś się na niego.

Szajer zmrużył oczy. W ten sposób łatwiej mu było wytrzymać wyzywające spojrzenie.

– Wiem, ale... Przemyślałem wszystko i tak będzie najlepiej. Przygotujemy się i wystartujemy pełną parą. Przygotowaliśmy sobie grunt.

– Bzdury. – Winzel mu przerwał. – Mamy grunt co najwyżej pod wybory do rady miasta. W kraju nikt nawet nie słyszał o naszym Komitecie. Wiedzą tylko, że ktoś taki jak Bernard Szajer ma szansę na wygraną. Jesteś czarnym koniem, ale tylko jako jednostka.

– Za rok całkiem o nas zapomną – bąknął drugi, przeraźliwie chudy członek zarządu. – Będzie pozamiatane.

– Zostawiasz nas na lodzie, Bernard – przyłączył się chłystek z piaru. – Na wyslizganym naszymi dupami lodzie.

Szajer zerknął na Rapackiego. Miał nadzieję, że chociaż on wyrazi odmienne zdanie, ale ten uparcie milczał. Odgarnął z czoła kosmyk kędzierzawych włosów i zastygł w bezruchu. Za to zareagował Berni.

– Uszanujmy decyzję Bernarda – odezwał się, poprawiając krawat. – Do wyborów parlamentarnych został równy rok. Może lepiej mieć go wtedy jako kandydata. Mamy pewne poparcie i przekujemy je na sukces parlamentarny...

– Słuchaj, kim ty jesteś? – Winzel wreszcie nie wytrzymał. – Kim ty, do cholery, jesteś, żeby się mądrzyć? Przysłali cię z jakichś służb? Masz haki na Szajera? No, pochwal się!

Berni nerwowo podrapał się po podbródku. Kolejny raz wśród nieznanym mu osób wydawał się zagubiony i nieśmiały. Wyciągnął z kieszeni długopis i obrócił go w dłoni.

– Znam się na rzeczy. Również wszystko analizowałem i....

– Tak jak wczorajszy komunikat z wezwaniem policji do szybszego działania? Ludzie nas wyśmiali. Na Facebooku pobiliśmy rekord kpiących memów. Bernard Szajer wzywa Batmana! Widzieliście to? – Winzel rozejrzał się po zgromadzonych. Kilka osób uśmiechnęło się niewyraźnie.

– To miało odnieść skutek po pewnym czasie – bąknął Berni.

– Tyle że teraz to kompletnie bez znaczenia. – Winzel, zirytowany, plasnął dłonią o stół. – Sprawdziłem cię w internecie. Nie istniejesz.

– Przez lata lobbowałem dla angielskich koncernów. – Od razu było widać, że Berni kłamie. – Do tego potrzebna jest dyskrecja.

Winzel się roześmiał.

– Ty? W tej śmiesznej marynarce? Nie przekonałbyś nawet psa, żeby zżarł od ciebie kielbasę.

– Nie wiesz, jak bardzo się mylisz.

– Widzę ciebie. To mi wystarczy.

Szajer zapadł się w sobie. Wciąż stał, ale bardziej opierając się na wspartych o krzesło rękach niż na nogach. Dopadły go wątpliwości, czy nie powinien walczyć. Albo przy wszystkich powiedzieć, kim jest Berni. Albo nie, i zaraz zakończyć to szaleństwo i odzyskać córkę. Robić to, czego chce napastnik. Pierwsza zasada pracowników wszystkich urzędów i banków.

Berni musiał dostrzec jego wahanie. Położył przed sobą telefon i odblokował go. Doskonale wiedział, że Szajer uważnie go obserwuje. Z kamienną twarzą przesunął palcem po ekranie i spojrział na polityka. Niby ponownie poprawiając krawat, ukradkiem mu pogroził. Bardzo wymownie.

Szajer na drżących nogach obszedł krzesło. Jedną ręką trzymał się jego oparcia, a drugą założył za plecy. Kilkanaście par oczu obserwowało jego każdy ruch.

– Rezygnuję – oznajmił dobitnie. – To ostateczna decyzja.

## 2.

Zostawił za sobą głosy niezadowolenia i nerwowe pytania. Miał nadzieję, że może kiedyś zdoła na nie odpowiedzieć. Teraz musiał wypełnić ostatnie żądanie Berniego. Potem będzie po wszystkim. Zostanie oskórowany i przemielony w dziesiątkach relacji. Albo wykpiony, co dla większości polityków było znacznie gorsze.

Nie dbał o to.

Myślał o córce. O tym, co zrobią, kiedy wreszcie ją odzyska. O tym, jak spędzą ten najszcześniejszy dzień jego życia. Zdał sobie sprawę, że w wyobrazeniach tych nie było Marii.

Dziennikarze zostali zaproszeni do głównego holu. Nikt nie odważył się wpuścić ich do którejś z sal konferencyjnych, a Berni nie nalegał. I tak tryumfował. Widok rozczarowanych, załamanych twarzy przypawił go o dreszcz zadowolenia. Osiągnął to, czego chciał. Sam stanowił dotychczas jedynie tło, ale to wkrótce miało się zmienić. Między innymi z tego powodu, kiedy obiektywy kamer skierowały się na Szajera, stanął tuż za nim. Przybrał żalną minę, jakby obwieszczana właśnie decyzja całkowicie go zdruzgotała. Nawet poklepał wspierająco Szajera po ramieniu. Niby dodawał mu otuchy, ale przypadkowo zbiegło się to z pytaniem dziennikarki o przyczynę rezygnacji. Drobnym żartem sytuacyjnym. Zachował ponury wyraz twarzy, ale w środku wręcz skręcał się ze śmiechu.

Niedoszły prezydent robił, co mógł, aby zachować twarz. Odwoływał się do brudnej kampanii, wspominał o śmierci Skawińskiej, snuł odległe plany. Szło mu zaskakująco dobrze. Jeżeli nie myślał wprost o wyborach parlamentarnych, to podświadomie wykuwał sobie do nich ścieżkę. Zapadał w pamięć wyborców i zyskiwał czas medialny wypełniony solidnym materiałem. Powinien się przebić we wszystkich dziennikach. W *Faktach* TVN-u mógł nawet trafić na czołówkę, jako „sensacyjna rezygnacja” albo „tak rodzi się polityk”. Ten drugi tytuł brzmiał dużo lepiej. Za rok jak ułaj wyświetliliby jego powtórkę, dorzucając jak „Feniks z popiołów”. W międzyczasie na pewno wysnułoby kilka niesamowitych teorii związanych z tą rezygnacją.

Na kolejne pytania odpowiadał przez prawie pół godziny. Żaden z jego ludzi od kontaktów z mediami nawet się przy nim nie pojawił. Wszyscy ostentacyjnie zignorowali obecność dziennikarzy, przepychając się pomiędzy nimi do wyjścia. Pozostał mu tylko Berni. Szajer czuł jego obecność tuż za plecami. Czuł, że telefon, od którego zależy życie Róży, może być w każdej chwili użyty.

Mówił coraz szybciej i mniej składowo. Nie było nikogo, kto w jego imieniu przerwałby konferencję. Berni zapewne aż się ślinił, oczekując na spektakularną wpadkę.



Wpadł na pewien pomysł.

Zamilkł i zamiast odpowiedzieć na kolejne pytanie, podniósł w górę dłoń. Nie był to ani gest poddania się, ani zwycięstwa. Przypominał w tym momencie Mussoliniego chcącego uciszyć zebrany tłum. Zdobył się na słaby uśmiech i cofnął, zrównując z Bernim. Wskazał na niego.

– Szanowni państwo, więcej informacji udzieli wam szef mojej kampanii. Dziękuję bardzo!

I tyle. Szybkim krokiem przebił się przez tłum dziennikarzy, zostawiając im „szefa kampanii” na pożarcie. Dowcip sytuacyjny, tym razem z jego strony. Gdyby Berni się wściekał, przecież mógł mu powiedzieć, że chce mu pomóc wypłynąć w mediach. Mógł to wręcz przedstawić jako ostentacyjne okazanie mu uległości. Mimo wszystko zaraz pożałował tej decyzji. Nie powinien był ryzykować wkurwiania psychopaty. Takim zachowaniem wkładał jedynie kij w mrowisko jego pokręconego umysłu.

Wrócił do pustej sali konferencyjnej i ciężko opadł na najbliższe krzesło. Wypił resztkę wody ze szklanki poznaczonej szminką. Nie pamiętał, kto tutaj siedział. W tej chwili mógł brzydzić się tylko siebie. Żaden z jego współpracowników nie upadł tak nisko i nie stał się tak odrażający. Ale żaden z nich nie był też w jego sytuacji. Martwili się tylko o swoje dupy.

Nim zdążył zatopić się w myślach, do pomieszczenia wślizgnął się Rapacki. Zatrzymał się na chwilę przy drzwiach, jakby szukał zamka albo klucza.

– Bernard, do diabła! – zawołał, podchodząc do niego. – Coś ty narobił?

Odwrócił się, upewniając się, że nikt nie wszedł za nim. Był spięty, a na jego czole skrzyły się krople potu. Otarł je wierzchem dłoni.

– Sam nie wiem...

Rapacki zatrzymał się obok Szajera. Odruchowo poprawił okulary.

– Zabrałem wczoraj szklankę z odciskami palców twojego kochanego Berniego – odezwał się konspiracyjnym szeptem. – Wysłałem ją naszym znajomym z kryminalnego. Wiem, kim on jest.

Berni wszedł do sali konferencyjnej akurat wtedy, gdy Rapacki przechodził do sedna. Zbliżył się do nich z zaciśniętymi ustami i nabrzmiałą twarzą. Zupełnie jakby wiedział, o czym rozmawiali. Obdarzył ich zimnym uśmiechem.

– Bernard, czas na nas. – Nie zamierzał tracić ani chwili na konwenanse. – Mamy coś do załatwienia.

Stanął pomiędzy nim i Rapackim, bezpardonowo odwracając się do tego drugiego plecami.

– Świetna robota. – Poklepał Szajera po ramieniu. – Naprawdę dałeś radę. Chodźmy.

– Czekał...

– Chyba się spieszymy.

Nie musiał tego powtarzać. Jego argument wciąż tkwił w cieniutkiej komórce schowanej w którejś z kieszeni.

Szajer wymienił z Rapackim porozumiewawcze spojrzenie. Nieważne, czego tamten się dowiedział, musiał się domyślać, że jego zachowanie nie wynika ze zwykłego kaprysu. To była pierwsza dobra wiadomość od dawna.

Dał się poprowadzić Berniemu do auta, a potem – zgodnie z jego poleceniem – pojechał w stronę domu. Myśl, że niedługo odzyska Różę, dodawała mu sił. Wspomnienie konferencji i rezygnacji z wyborów trafiło do tego zakątka mózgu, który gromadził najmniej istotne wspomnienia. Nimi miał zająć się we właściwym czasie.

Berni kazał mu zaparkować przed bramą do posesji.

– Nie próbuj się z nikim kontaktować – ostrzegł go, kiedy wyłączył silnik. – Z Rapackim, z tym wieprzem Winzelem, z kimkolwiek. Uwierz mi, że od razu bym się dowiedział, a wtedy... – Wymownie obrócił w dłoni telefon. – Dobra, wysiadamy – odezwał się, upewniwszy się, że wywarł na Szajerze odpowiednie wrażenie. – Wszystko skończone.

– Gdzie jest Róża?

– Uspokój się. Dotrzymuję słowa. Jutro rano powiem ci, gdzie mamy się spotkać.

– Jutro?

– Muszę się upewnić, że nic mi nie grozi.

Berni wysiadł z auta i, nie odwracając się, ruszył przed siebie. Szajer przez chwilę patrzył za nim. Chciał jeszcze raz błagać, żeby wszystko załatwili już dzisiaj, ale to nie miało sensu. Wreszcie otworzył bramę, przejechał kilkadziesiąt metrów i zaparkował w garażu. Dzięki temu zyskał poczucie, że wszystko wraca do normy. Musiał wyjaśnić jeszcze jedną sprawę.

Wszedł do domu, rozwiązał krawat i zdjął spinki. Zrzucił z siebie strój niewolnika. Maria siedziała w kuchni, popijając kawę. Mimo że było ciepło, na szyi miała zawiązaną jedwabną apaszkę.

– Muszę ci coś wytłumaczyć. – Usiadł obok niej. – Być może powinienem był zrobić to już dawno...

– Nie musisz mi niczego tłumaczyć.

– Muszę.

Wziął od niej filiżankę i upił łyk kawy. Była całkiem zimna.

– Wszystko zaczęło się, gdy byłem na studiach – odezwał się spokojnym głosem. – Kiedy zaliczyłem jeden z ostatnich egzaminów, na schodach uczelni dopadło mnie dwóch dziwnych typków. Trochę siłą, a trochę podstępem zaciągnęli mnie do samochodu, ale nigdzie nie pojechaliśmy. Może tego nie zrozumiesz, lecz doskonale zdawałem sobie sprawę, że nie mogę im uciec. Przez godzinę wypytywali mnie o rozmaite rzeczy. O stopień zażyłości z rodziną, o bliskich, o związki z kobietami. Wtedy akurat nie miałem nikogo, żyłem ze stypendium i dorabiałem w akademickim barze. Byłem wiecznie splukany. Całymi dniami nie jadłem, karmiłem się najtańszymi papierosami.

Maria drgnęła.

– Mówiłeś, że dostałeś spadek po wuju – przerwała mu, ale bez cienia wyrzutu w głosie. – Miałam nadzieję, że suma na koncie, którą widziałam...

– Zaraz to wyjaśnię. Daj mi skończyć.

Skinęła głową.

– Ci faceci zaoferowali mi pracę. Nie wiem, jak mnie znaleźli ani dlaczego wybrali właśnie mnie, ale miałem kilka razy przejechać przez granicę. Zaoferowali, to, oczywiście, pieprzony eufemizm. Dali mi do zrozumienia, że jeżeli odmówię, to mogę się pożegnać ze światem. Żartowali, że samochód, w którym siedzieliśmy, mógłby ulec

samozapłonowi. Po prostu wylecieć w powietrze ze mną w środku. To byli ludzie tego typu, że im uwierzyłem.

Maria wyciągnęła z kieszeni chusteczkę.

– Zgodziłem się na ich propozycję – ciągnął Szajer. – O nic nie pytałem, oni sami też nic więcej nie wytłumaczyli. Dostałem zaliczkę, a potem posłusznie przejechałem kilka razy przez polsko-ukraińską granicę podstawionym przez nich vanem. Dostarczałem go pod ustalony adres w okolicach Lwowa, a potem wracałem drugim autem. Chyba za każdym razem zatrzymywali mnie celnicy, ale nigdy niczego nie znaleźli. W sumie nie wiem, czy jeździłem tym samochodem tylko dla ściemy, czy jednak coś było w środku.

– Dla ściemy? – Maria założyła włosy za uszy. – Nie rozumiem.

Szajer westchnął.

– Później okazało się, że faceci, którzy dopadli mnie pod uczelnią, to członkowie tajnej jednostki policji – wyjaśnił, spoglądając na żonę, czy załapała. – Wkręcili mnie, spreparowali dowody, a następnie uświadomili, że tak naprawdę pracuję dla służb. Postawili mnie przed wyborem: albo wkręcę się do gangu i będę ich informatorem, albo mnie udupią. Wybór był oczywisty. Te dwadzieścia lat temu państwo funkcjonowało zupełnie inaczej niż dzisiaj. Na mafię stosowało się mafijne metody, a osoba taka jak ja była doskonałym celem. Od razu ludzili mnie też wizjami przyszłości i układów...

Zamilkł na chwilę. Wstał i napił się wody prosto z kranu. Sądził, że Maria się odezwie, ale ona również milczała, oczekując dalszej historii.

– Później przez dwa lata dla nich pracowałem. – Z powrotem usiadł przy stole. – Nie byłem głupi, dostałem oficjalne papiery, miałem odpowiednio krytą dupę. Zorganizowali wszystko tak, że zbliżyłem się do szefostwa całej grupy. Niewiele brakowało, a do zamachu na Papalę wcale by nie doszło. Nie wiem, co poszło nie tak, ale sprawa została nagle wyciszona. Ktoś wysoko postawiony musiał maczać w tym palce. Kiedy mieliśmy na celowniku Zadarcszenkę, udało mu się wywinąć dosłownie w ostatniej chwili. Ktoś sukinsyna ostrzegł. Mnóstwo osób w policji i innych służbach było wtedy przekupionych. Aż dziwne, że sam przez te lata nie zostałem rozpracowany i nie przepadłem jak inni mojego pokroju. Do dziś zastanawiam się, kto tak naprawdę stał za tą

śmiercią. W każdym razie ludzie ze służb przywieźli mnie do mieszkania, w którym niedługo wcześniej znaleziono zwłoki. Zmusili mnie do dotknięcia ciała i zostawienia kilku innych śladów. – Założył ręce na piersi i głośno przełknął ślinę. – To była ich karta przetargowa – podjął po chwili. – Nigdy miałem nie ujawnić swojej współpracy, a w zamian za to pozwolili mi zająć się lokalną polityką. Sądzę, że na początku chcieli mieć po prostu swojego człowieka w ratuszu. Wtedy panował polityczny bajzel. Lewica, prawica, to wszystko było wymieszane i nikt nikomu nie ufał. Zapewne za ich sprawą znalazłem się też w ministerstwie, chociaż starałem się nigdy nie dopuszczać do siebie tej myśli. Rozumiesz, jakie to było dla mnie ważne? Człowiek znikąd pozostałby człowiekiem znikąd, gdyby nie rozgrywki tajnych służb... Tacy ludzie jak twój ojciec mieliby mnie za kompletne zero.

Szajer zamilkł, a Maria przesunęła serwetkę. Przyglądała jej niewidoczne zagniecenia i spojrzała na męża.

– A to konto? – zapytała po chwili. – Widziałam je.

– Kilka razy dostałem przelewy na sporą kwotę. Z nieznanego konta, którego właściciela nie udało mi się nigdy ustalić. Domyślałem się, że może to być premia za milczenie i nieruszanie pewnych tematów, chociaż nie wiem od kogo. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego, więc przekazałem całe te pieniądze na rzecz fundacji. Łatwo to sprawdzić, jeśli mi nie wierzysz. Skarbówka, oczywiście, niczego nie zwietrzyła...

Maria wyprostowała się i pokręciła głową.

– No dobrze. – Ton jej głosu mówił co innego. – Ale jak się z tym wiąże śmierć Skawińskiej?

Szajer zacisnął usta.

**CZEŚĆ DRUGA**

**KOMISARZ FELIKS GLAZUR**

# DZIEŃ PIERWSZY

## 1.

Było gorąco i wilgotno. Rzadko zdarzały się tak tropikalne początki września. Większość gości zebrała się w niewielkim ogródku przed barem. Nie chodziło wcale o papierosy, w tej spelunie można było palić wszędzie. Wszyscy cieszyli się porywami wieczornego wiatru i odległym dudnieniem grzmotów. Tak jak wysuszona na popiół ziemia, wyczekiwali burzy.

Jednakże Feliks Glazur preferował trzeszczący, obrotowy hoker przy samym kontuarze. Od miesiący siadywał w tym miejscu, aby wypić rytualne trzy kufle piwa. Kiedy był pewny, że będzie miał spokojną noc, automatycznie zamieniały się one w pięćdziesiątki zmrożonej czystej. Tego dnia pełnił, niestety, dyżur, jak zwykle pod telefonem. Musiał zadowolić się piwem.

Otarł dłonią pot zbierający się na karku. Wsunął palec za kołnierz koszuli i przesunął go, odciągając materiał od skóry. Ta namiastka toalety pozwalała poczuć się znacznie świeżej. Upił łyk bursztynowego trunku.

– Znowu rozwadniacie – rzucił w stronę barmana. – Kurewski sikacz.

– Broń Panie Boże! – Stojący za barem mężczyzna nawet na niego nie spojrzał. Wziął kilka szklanek i wstawił je do zlewu.

– Kogo chcesz oszukać? Smak zmienia się co kilka tygodni, jak szminka u kurwy.

– Przychodzisz pan i tylko narzekasz.

– Bo tylko ja w tej melinie zwracam uwagę na smak szczyn.

– Zawsze można zamówić w butelce.

Barman odwrócił się do Glazura i wskazał na ustawioną w rogu lodówkę. Ten parsknął z kpiną.

– Żeby zgnoić klienta najpierw na cenie, a potem jeszcze zarobić na kaucji? Nie jestem organizacją charytatywną.

– Słyszę to jak pieprzoną mantrę.

– Więc po co proponujesz?

Glazur przeciągnął dłonią po zmierzwionym zaroście. Od kilku dni był w gorszej formie i przestał się golić. Dawny rytuał zastąpił dodatkowym kwadransiem snu. Mimo tego wory pod jego oczami przypominały kratery wulkanu świeżo po erupcji.

– Chce pan dziennik?

Barman próbował zmienić temat rozmowy. Co jakiś czas Glazur prosił o włączenie telewizora, aby zerknąć na informacje. Stanowiły dobre tło dla pochłanianego alkoholu.

– Lokalny – mruknął. – Mają fajną, nową prezenterkę.

– Tę czarną?

– Taa... Mała, czarna, kompaktowa.

Mężczyzna w białym, mokrym od potu podkoszulku stanął obok Glazura. Położył na kontuarze dwa banknoty i bez słowa wyszedł. Barman schował pieniądze do kasy. Sięgnął po pilota i pstryknął nim w stronę niewielkiego, starego telewizora, zawieszzonego nad półką z alkoholami.

– Gówno. – Potrząsnął pilotem. – Siadają baterie.

Przybliżył się i nacisnął jeszcze raz. Tym razem wyświetlił się ciemny ekran, który dopiero po chwili nabrał kolorów.

– No, jest. Miały być lokalne?

Glazur zerknął na zegarek i skinął głową.

– Będą za trzy minuty.

– Posłuchamy o zagubionych kotkach i dramatycznych ofiarach upałów.

– Jeżeli trafi się ta czarnulka, posłucham nawet relacji z turnieju szachistów.

Barman wydał z siebie odgłos przypominający gulgot indyka. Odłożył pilota i zerknął na kufel stojący przed Glazurem. Wyciągnął kolejny, napełniając go piwem.



- Może tym razem wziąłbym butelkowane?
- Zaryzykowałem.
- Poza tym szkoda brudzić kufli.
- Niech się pan nie martwi. Wodę mam w czynszu.

Glazur dopił i sięgnął po pełny kufel. Piwo smakowało niezmiennie ohydnie. Poprawił się na hokerze, wywołując jego przeciągłe skrzypnięcie.

- Powinieneś zbierać na odszkodowanie. W końcu się na tym połamię.

Barman nie odpowiedział. Odwrócił się bokiem, spoglądając na ekran telewizora. Skończyły się reklamy i rozpoczęła się czołówka lokalnego dziennika. Po chwili pojawiła się uśmiechnięta od ucha do ucha prezenterka. Miała kruczoczarne, wręcz smoliste włosy do ramion. Kontrastowały z intensywną czerwienią kiczowatej sukienki.

- Powinni malować jej usta mocniejszym kolorem. – Glazur nachylił się nad barem. – Wtedy uznałbym ją za ideał.

- Jakby to był pornol, pewnie by ją tak przygotowali.
- Pornol nie pornol, wyglądałaby lepiej.
- Jak wamp.
- Jak wampir, z którego ust masz ochotę zlizywać krew.
- Chyba wampirzyca...

Glazur aż się oblizał. Poczul słony pot zebrany nad górną wargą.

Głównym tematem wiadomości były, oczywiście, wybory samorządowe. Nowy sondaż prezydencki wskazywał, że kandydat partii liberalnej idzie łeb w łeb z przedstawicielką komitetu, którego program opierał się na mydlących oczy frazesach. W ciągu najbliższych dni kampania powinna być naprawdę gorąca. A już i tak od dawna ta dwójka obrzucała się gnojem intensywniej niż rolnicy przy nawożeniu pól.

Na ekranie ponownie pojawiła się prezenterka. Zrobiła krótki wstęp i rozpoczął się kolejny, znacznie mniej interesujący mężczyzn materiał. Donoszono o wielu wypadkach na drogach, a policja apelowała do kierowców o szczególną ostrożność. Upały wpływały na spadek koncentracji.

- Będzie pan głosował? – zagadnął barman.

Glazur przyłożył obie dłonie do chłodnego kufla.

- E tam. Na kogo?

– Można wrzucić pustą kartkę, pokazać im wszystkim faka.

– Ruszać dupę, drałować do lokalu i odstać w kolejce jak po kiełbasę, żeby wrzucić pustą kartkę? – Wziął duży łyk i otarł usta wierzchem dłoni. – Nie zwariowałem. Ta banda darmozjadów nie jest warta moich pięciu minut. No, popatrz pan na nią!

Operator dokonał zbliżenia na twarz prezenterki. Barman popatrzył na nią przez chwilę i zajął się zmywaniem. Kiedy tylko zmoczył ręce, jak na zawołanie pojawiła się grupka chcących zapłacić klientów. Niczym posłańcy z frontu przynieśli najświeższą relację z barowego ogródka.

– Zanosi się na cholerną nawałnicę – rzucił łysy osiłek. – Od zachodu jest czarno.

– Co wy wszyscy z tym czarnym...

Barman puścił oko w stronę Głazura, ale ten nie zareagował. Mocował się z kieszenią spodni, w którą miał wsuniętą komórkę, wielką cegłówkę.

– Niech to psia mać!

Kiedy zerknął na wyświetlacz, jego twarz spochmurniała gwałtowniej niż niebo. Zaczerwienione oczy mogłyby rzucać gromy. Nerwowym ruchem odebrał.

– Co jest?

– Fatalnie.

Głos sierżanta Konery wskazywał, że zaiste fatalnie.

– To znaczy?

– Mamy cholernego trupa.

Najgorsza możliwa wiadomość. Trzy słowa, które oznaczały, że cały wieczór właśnie szlag trafił. Jakby miał na niego jakiekolwiek plany.

– Gdzie? – Głazur zachrypiał i odsunął kufel. Kilka kropli rozlało się dookoła.

– Złe pytanie, panie komisarzu. Znacznie poważniejszy problem stanowi, czyj to trup.

Konera miał poczucie humoru godne akwizytora.

– A więc: czyj to pieprzony trup?

Barman ukradkiem zerknął na komisarza. Gorliwie starł szmatką krople piwa z kontuaru, starając się przysłuchać rozmowie. Już nie interesowała go prognoza pogody.

– Niech pan weźmie głęboki oddech.

– Mów, do cholery!

Konera wymienił nazwisko. Komisarz odchylił się w hokerze, przykładając telefon mocniej do ucha.

– To ta polityk?

– Właśnie. Paskudna sprawa, a do tego...

– Niech to szlag...

– W mediach zawsze wyglądała na porządną.

A co to miało do rzeczy? Gdyby tylko miał możliwość, w jednej chwili wypieprzyłby Konerę na zbity pysk. Cholerny pajac. Sięgnął po kufel i potężnym haustem dopił piwo.

– Jestem tam, gdzie zawsze – wycedził. – Przyjedź po mnie.

## 2.

Mieszkanie znajdowało się w jednym z nowoczesnych, przestronnych apartamentowców. Szeroka klatka schodowa, marmurowe wstawki i duże szklane okna. Glazur wszedł do środka, wydając z siebie głośne stęknienie.

– Wszystko pięknie jak ta lala, tylko czemu nie ma tu windy?

Zebrani w przedpokoju technicy obrzucili go niechętnymi spojrzeniami. Nikt nawet nie skinął mu głową na powitanie.

– No, do cholery, mówcie, co się stało. – Dopóki nie dotarli na miejsce, komisarz nie chciał słyszeć o sprawie ani słowa. Delektował się ostatnimi chwilami spokoju.

Konera otarł chusteczką pot z czoła i wzruszył ramionami. Jego szczupła twarz kontrastowała z wydatnym brzuchem.

– Wygląda na samobójstwo.

– Wygląda to suka za psami.

Glazur rozejrzał się wokół. Krótki korytarz był praktycznie pozbawiony mebli. Zamontowane w ścianie aluminiowe drzwi zakrywały zapewne wnękę na ubrania. Żyrandol z punktowymi żarówkami rzucał niebieskie światło. Totalny kicz. Jak wnętrze statku kosmicznego na filmach z lat osiemdziesiątych.

Przeszedł dalej, starając się dojrzeć swoje odbicie w podłodze. Lśniące płytki były czystsze niż stół operacyjny. Zatrzymał się przy uchylonych drzwiach do łazienki. Naciągnął na dłoń rękaw koszuli i nacisnął włącznik światła. Kolejne pomieszczenie rozbliło bladoniebieską poświatą. Przeszklona kabina prysznicowa z różnymi dyszlami zajmowała większość jego powierzchni. Dziwne, że kibel był zwykły, a nie samospłukujący. Nowoczesność wyzierała z każdego kąta, pozbawiając mieszkanie choćby namiastki przytulności.

Gdyby był agentem nieruchomości, poświęciłby więcej czasu na zwiedzanie. W aktualnym położeniu szkoda mu było na to zachodu. Skierował się w stronę, z której dobiegały przyciszone głosy.

– Znalazła ją asystentka. – Konera nie odstępował go na krok. – Planowały jeszcze jakieś spotkanie. Przedwyborcze ustalenia czy coś...

– Miała klucze?

– Nie, ale twierdzi, że drzwi były otwarte. Ponoć jej szefowa nie przywiązywała zbytnej wagi do takich spraw i często zapomniała o przekręceniu zamka.

Glazur spojrzał na niego spode łba.

– „Do takich spraw”? – fuknął. – Polityk, która nie przejmuje się bezpieczeństwem? Bzdura.

– Wzięli ją na komisariat. Pewnie właśnie opowiada swoją historię.

– A to co? – Wskazał na metalową drabinę prowadzącą do wjazdu w suficie.

– Już sprawdzaliśmy – mruknął Konera. – Wszystkie mieszkania na tym piętrze mają swoje komórki na strychu.

– Nie mogli zrobić schodów?

Sierżant rozłożył ręce.

– Może nie pasowały do wystroju wnętrza.

– Da się pomiędzy nimi przechodzić?

– Nie. Są od siebie oddzielone murowanymi ściankami.

Przeszli obok dwóch małych sypialni i zatrzymali się na końcu korytarza. Dwuskrzydłowe drzwi były szeroko otwarte. Za nimi rozciągał się niewielki, kwadratowy salon. Stół z czarnego kamienia, skórzana kanapa, telewizor i kilka bazygrołów oprawionych w ramki. Wszystko, dla odmiany, skąpane w sterylnej białym świetle. Zapalonym o tyle

niepotrzebnie, że prosto w okna wpadały czerwone promienie wieczornego słońca. Burza ciągle nie nadciągnęła.

Grupa techników znajdowała się pomiędzy kanapą a drzwiami balkonowymi.

– Można? – Glazur rzucił w ich stronę.

Nie odezwali się, ale jeden z nich skinął ręką. Nie czekając na dalsze zaproszenia, komisarz obszedł stół i przystanął o kilka kroków od nich.

Na podłodze leżało ciało czterdziestokilkuletniej kobiety. Była ubrana w elegancki żakiet i luźne, aksamitne spodnie. Jej głowa przechyliła się, wsparta o tył kanapy. Wyglądała, jakby zasnęła delektując się widokiem za oknem.

– Znamy czas zgonu?

– Wstępnie lekarz określił go na jakieś dwie godziny temu – rzucił Konera z progu. – Około godziny od znalezienia zwłok.

– Ktoś ją ruszał?

– Nie. Asystentka zaklina się, że nawet nie próbowała jej reanimować.

Glazur przykucnął. Spojrzał w lekko rozwarte, zamglone oczy kobiety, a potem na jej rozchylone usta. Była ładna i bez wątpienia dbała o siebie. Idealna cera, staranny makijaż, dobrze dobrana biżuteria. Wyczuwał nawet zapach wieczorowych perfum. Dokładnie taka, jak na plakatach wyborczych. Wymuskana. To było słowo, które najlepiej określa jej wygląd.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął piersiówkę. Nie kryjąc się, pociągnął solidny łyk czystej. Niestety, ani trochę nieschłodzonej. Wręcz przeciwnie, zapewne znacznie cieplejszej od leżącej przed nim kobiety. Skoro już zawrócono mu głowę, nie musiał obawiać się, że zaśnie na barowym stołku. Mógł pić.

Technik, który pracował w pobliżu, odstawił na podłogę pękatą szklankę. Pobrany z niej płyn wstrzyknął do podłużnej fiolki, którą zapieczętował i włożył do woreczka. Podał go koledze, a ten, kiwając głową, schował go do walizki.

– To stało dokładnie tutaj? – Glazur wskazał w stronę szklanki.

Mężczyzna starannie schował folię daktyloskopijną z pobranymi odciskami palców.

– A gdzie miało stać? – mruknął. – Wszystko zostało już obfotografowane.

– To jedyny... ślad?

– Ciało nie ma żadnych widocznych zewnętrznych obrażeń. To chyba jasne. Widzi pan dokładnie to samo, co my.

Glazur nachylił się. Na szklance pozostał białawy osad. Jeżeli laboratorium zadziała wystarczająco szybko, sekcja przebiegnie bezproblemowo, a ślady z mieszkania będą się zgadzały, sprawa będzie załatwiona.

Tylko dlaczego ta kobieta zabiła się na finiszu kampanii? Zwłaszcza że miała w sondażach takie poparcie? A nawet jeżeli chciała się zabić, po jaką cholerę wcześniej wypachniła się wieczorowymi perfumami? Ciężki, elegancki zapach nie pasował na spotkania w ciągu tak upalnych dni. Chociaż to mogła być bzdura. Osiemdziesiąt procent społeczeństwa nie używa perfum. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent pozostałych robi to całkowicie bezmyślnie, wylewając na siebie co popadnie. Tanie, śmierdzące spirytusem badziewia mają maskować smród zjedzonego czosnku i całodniowego potu. Denatka wyglądała jednak na przedstawicielkę tego jednego procenta, który zwraca uwagę na detale. Wymuskana.

Glazur odkaslnął. Wstał i zerknął za okno. Słońce zaszło pierwszymi, ciężkimi chmurami. Na horyzoncie błysnęło. Burza krążyła, nie mogąc zdecydować się do natarcia na miasto.

Komisarz przeszedł obok Konery i skierował się w stronę kuchni. Pomieszczenie było urządzone w niepasującym do reszty mieszkania prowansalskim stylu. Białe regały, biały stolik i białe krzesła z kolorowymi kwiatuśkami. Tęga techniczka policyjna zamykała właśnie walizkę. Jako jedyna ze wszystkich uśmiechnęła się na jego widok. Krótka, ale przyjaźnie.

– Mamy coś ciekawego? – zapytał, siląc się na podobny uśmiech.

– Odciski, odciski i jeszcze raz odciski. Do tego sporo dziwnych leków. Albo była wyjątkowo chorowita, albo chorowała jedynie na hipochondrię.

– A śmietnik?

– Słucham?

– Przeszukałaś śmietnik? – Wyglądała na zdezorientowaną tym pytaniem.. – Jak w każdym domu, znajduje się pewnie pod zlewem.

Techniczka westchnęła.

– To samobójstwo, nie róbmy szopki...

– To nie szopka – powiedział z naciskiem. – To trup pieprzonej kandydatki, więc dla świętego spokoju sprawdzimy wszystko dokładnie.

Kobieta bez słowa rozpięła klamry walizki. Poprawiła rękawiczki i otworzyła drzwi szafki. Wyciągnęła kubek i postawiła go przed sobą.

– Dziękuję.

Glazur odwrócił się i wyszedł na korytarz. Konera rozmawiał z kimś w przedpokoju. Przez chwilę komisarz nie mógł rozpoznać drugiego głosu, aż wreszcie, kiedy mrugnęła poła srebrnej marynarki, zaklął pod nosem. Upewnił się, że piersiówka nie wypycha jego kieszeni.

– Panie inspektorze! – przywitał się, z daleka wyciągając dłoń.

– Komisarzu Glazur...

Wysoki, szpakowaty mężczyzna z niechęcią uściśnął mu rękę.

– Liczyłem, że sprawę poprowadzi ktoś inny.

– Ja też – odparł szczerze. – Ale wszyscy są na urloпах.

– Choćbym miał ich ściągnąć z Honolulu...

– Niech pan to zrobi.

Inspektor Tumski chwycił go pod ramię i odciągnął na bok. Nachylił się w jego stronę, niemalże dotykając ustami ucha.

– Ta sprawa ma być załatwiona błyskawicznie– wyszeptał. – Bez żadnych problemów i awantur. Jak coś spierdolisz, to ostatecznie się pożegnamy.

– Błyskawicznie nie znaczy dobrze.

Inspektor cmoknął nerwowo.

– Chyba się nie zrozumieliśmy.

– Rozumiemy się, jak zwykle, aż za dobrze.

– Słuchaj. – Poklepał Glazura po ramieniu. Nie było w tym jednak nic serdecznego. – Babka miała ostatnio zły okres, spadły jej procenty w sondażach, wzięła jakieś gównno na uspokojenie, ale przesadziła z ilością. Zdarza się nawet najlepszym. Nie doszukuj się tu czegoś, czego nie ma.

– Ale...

– Żadnego ale. Jeżeli zrobisz z tego gównianą aferę, tak jak ostatnio, to skończysz gorzej niż ona.

### 3.

Glazur wrócił do domu autobusem. Po drodze całkowicie opróżnił piersiówkę, przekonany, że tego wieczoru już nic się nie może zdarzyć. A gdyby nawet się zdarzyło, to Tumski od razu go odsunie.

Kiedy wysiadł, właśnie zaczęło padać. Wielkie krople deszczu dawały wytchnienie. Łoskot grzmotów się zbliżał, a błyskawice co chwilę przecinały niebo. Przyspieszył kroku, nie chcąc, by deszcz go otrzeźwił.

Na wąskiej uliczce poza nim nie było nikogo. Osiedle małych domów jednorodzinnych robiło wrażenie, jakby wciąż tkwiło w latach siedemdziesiątych. Nierówna droga, pozapadane chodniki i działająca tylko co któraś latarnia. Cholerna czarna dziura niedaleko ścisłego centrum miasta. Mimo wszystko, gdyby nie odziedziczył domu po ojcu, nigdy nie byłoby go na niego stać. Od wielu lat ceny okolicznych działek horrendalnie szybowały w górę. Ułatwiło mu to jedynie obciążenie nieruchomości hipoteką.

Czuł się jak gówno. Mokre, zlane deszczem gówno. Tumski go zrugął i doskonale zdawał sobie sprawę z pogardliwych spojrzeń reszty ekipy. Nawet Konera od jakiegoś czasu traktował go lekceważąco. Niby zawsze gotowy na każde skinienie, ale zarazem pozwalał sobie na coraz uszczypliwsze komentarze.

Glazur otworzył drzwi i wszedł na niewielki ganek. Pachniało w nim pastą do butów i zgnilizną. Od dawna planował wymienić butwiejącą podłogę. Brakowało mu jednak funduszy na specjalistę albo chęci, żeby to zrobić samemu. Poza tym z sentymentem wspominał, jak pomagał ojcu przy układaniu każdej deski. Pamiętał każdy najdrobniejszy szczegół tego wydarzenia.

W skarpetkach skierował się w głąb domu. Kiedy znalazł się w korytarzu, jego żona właśnie wychodziła z kuchni.

– Cześć.



Niegdyś witał ją dużo cieplejszymi słowami. Ale to było dawno temu. Teraz rzadko zdobywali się choćby na wymianę kilku zdań.

– Cześć – odparła równie oschle.

Lekceważąc go, poszła do salonu i przymknęła za sobą drzwi. Musiała oglądać tryliardowy odcinek wyciskacza łez albo program, w którym ludzie użalali się nad swoim życiem. Wieczorami nie robiła niczego innego.

Glazur poszedł do kuchni i, nie zapalając światła, wyjął z lodówki piwo. W ciemności mniej mierziły go stare meble i dawno niemalowane ściany. O stylu prowansalskim mógł sobie pomarzyć. Z dwoma kredytami, rozpuszczonym synem i zarabiającą na waciki żoną stać go było co najwyżej na styl hipermarketowy. Niedługo była żoną, poprawił się.

Otworzył puszkę i pociągnął duży łyk. Chciał coś obejrzeć, ale nie zamierzał wdawać się w kolejną awanturę o pilota.

Chociaż...

– Gdzie ten cholerny nierób? – rzucił, zaglądając do salonu. W telewizji rzeczywiście leciała telenowela.

– Ten cholerny nierób ma na imię Karol.

– Tak, wiem, po swoim cholernym dziadku.

Skoro nie siedział z matką przed telewizorem, musiał tłuc w jakąś rąbankę na komputerze. Glazur szybko przemierzył korytarz i wszedł na piętro. W pokoju jego syna paliło się światło. Nie pukając, pchnął drzwi. Tak jak się spodziewał, Karol siedział wgapiony w monitor. Głośniki brzęczały w rytmie wystrzałów. Przynajmniej nauczył się je przyciszać.

– Cześć, tato. – Nastolatek nawet nie odwrócił się od komputera.

Miał toporną, kwadratową twarz i głęboko osadzone oczy. Gdyby jego zarost zrobił się gęstszy, a ciemne włosy przyprószyła siwizna, stałby się wierną kopią ojca.

– Nie w podręcznikach? – zagadnął Glazur. – Przez cały dzień tylko przy gierkach?

– Już się uczyłem.

– Tego się zaraz dowiemy.

W przeciwieństwie do większości dążących w stronę rozwodu rodziców nie zamierzał przeciągać dzieciaka na swoją stronę. W trudnej sytuacji

tym bardziej chciał go wychować. Nigdy nie miał do niego cierpliwości, ale musiał go wyprowadzić na ludzi. Choćby kosztem nienawiści.

– Wyłącz to.

– Tato...

– Wyłącz to, mówię! – wrzasnął, nieomal rozlewając piwo. – Dawaj podręcznik do matmy. Zaraz zobaczymy, ile się nauczyłeś.

– Jestem już zmęczony, miałem zaraz iść spać.

– Dopiero zaczął się rok szkolny, a ty już jesteś zmęczony?

Glazur podszedł do biurka i chwycił plecak. Przerzucił książki.

– Gdzie jest matma?

– Jutro nie mam.

– Matematyka jest zawsze niezbędna.

Karol bez słowa podszedł do szafki i wyciągnął gruby podręcznik.

– Ja pieprzę, jak nowy! Otwierałeś go chociaż?

– Mieliśmy dopiero kilka lekcji.

– I nie był ci potrzebny?

Glazur wbił w syna ostre spojrzenie. Nie mógł dopuścić, żeby zmarnował sobie życie tak samo jak on. Żeby był popychadłem i zbędnym trybikiem w maszynie. A przede wszystkim: żeby inni mówili mu, co ma robić.

– Zadałem ci pytanie – warknął. – Odpowiadaj!

– Na razie były lekcje organizacyjne – wydukał nastolatek. – Nie rozwiązywaliśmy żadnych równań.

– Masz mnie za idiotę?

Wymianę zdań przerwało skrzypnięcie drzwi. Żona komisarza weszła do pokoju i stanęła za plecami syna.

– Daj mu spokój. – Przynajmniej ona była z tych rodziców, którzy chcieli się przypodobać dzieciom. – Już się dzisiaj uczył.

– Prawdziwa Matka Polka.

– Jesteś pijany.

– Co najwyżej: lekko wstawiony.

Położyła dłonie na ramionach syna. Ten jedynie spuścił głowę.

– Czego jeszcze od nas chcesz? Nie widzisz, co robisz każdego dnia?!

– To mój dom – wycedził, machając puszką piwa. – Kiedy miałem dziesięć lat, ze swoim ojcem kładłem każdą cholerną deskę, wbijałem

każdy gwóźdź i szpachlowałem każdą dziurę. A teraz patrzę, jak ten bachor marnuje swoje życie!

– Nic nie wiesz o jego życiu!

– Ale wiem, jak będzie wyglądało za kilka lat, i kurewsko się o to boję.

– Niby o co?

Podszedł do niej i oparł się wolną ręką o ścianę. Ciężko dysząc, spojrzał znowu prosto w oczy. Wiedział, że czuje od niego woń alkoholu, i podobał mu się jej strach. Bywał nieobliczalny.

Nagle się zamachnął. W ostatniej chwili, kiedy ona się skuliła, z uśmiechem opuścił rękę.

– Boję się, że będzie takim samym nierobem i gównozjadem jak ty – wycedził.

## DZIEŃ DRUGI

### 1.

Całą noc nie spał. Nie spał właściwie od kilku tygodni. Nawet hektolitry wypitego alkoholu nie pozwalały mu zasnąć, wprawiały go jedynie w stan letargu. Ranki zawsze były najgorsze. Chciał się czymś zająć, ale rozdrażnienie skutecznie zniechęcało do wstawania z łóżka. Po prostu. Dodatkowy kwadrans, wygospodarowany kosztem golenia, spędzał gapiąc się w sufit.

Odkąd spał, a właściwie leżał, bez żony, nęciło go poranne wypicie kilku głębszych. Ostatkiem woli powstrzymywał się od tego. Uzupełniał piersiówkę i z myślą, że będzie mu towarzyszyła w ciągu dnia, nie zaczynał go od chłania. To było wyzwanie.

Drogę do pracy spędzał zazwyczaj na liczeniu uderzeń głową o szybę autobusu. Tym razem jednak siedział od środka pojazdu, co było szczególnie niewygodną pozycją. Zsuniecie się w jedną stronę groziło upadkiem, a w drugą – wylądowaniem na ramieniu robota w koszulce bez rękawów. Wsiadł przystanek wcześniej niż zwykle. Liczył, że spacer wprawi go w lepszy humor, ale pomylił się. Poranny zaduch, panujący po nocnej ulewie, błyskawicznie przylepił mu koszulę do pleców. Nienawidził potu łaskoczącego skórę ponad paskiem.

Bezpośrednio przed komisariatem stał zaparkowany mercedes E klasy. Był cały obklejony hasłami wyborczymi, a na dachu zamontowano dodatkową platformę z plakatem. Mijając go, zajrzał przez szybę. W środku siedział kierowca, z przechyloną głową i zamkniętymi oczami. Zapewne odpoczywał, uciął sobie krótką drzemkę w oczekiwaniu na

jakiegoś ważniaka. Być może – na samego kandydata. Tylko po jaką cholere go tu przyniosło?

Glazur minął kałużę i wszedł na komisariat. Zaspany dyżurny zerknął na niego przez szybę. Skinął głową i nacisnął przycisk otwierania zamka. Komisarz pchnął drzwi. Scenka jak z *Dnia świra*, odgrywana niemalże codziennie. Od zbyt wielu lat.

Szybkim krokiem wszedł do windy i wybrał drugie piętro.

– Kolejny paskudny dzień?

Komisarz z narkotykowego popatrzył na niego w lustrze. Był odwrócony plecami i poprawiał fryzurę. Glazur wzruszył ramionami.

– Dzień jak co dzień.

– Tylko sprawa niecodzienna, no nie?

Czyli już wszyscy tym żyli. Na całe szczęście nie oglądał porannych wiadomości ani nie czytał gazet. Mógł się spodziewać teorii równie sensacyjnych, jak te dotyczące samobójstwa Hitlera. Albo zabójstwa Kennedy'ego.

– To się jeszcze okaże – mruknął. – Może nie ma w niej niczego ciekawego. Szczerze mówiąc, modłę się, żeby właśnie tak było.

– Tak czy owak: miłej zabawy.

Idiotyczna wymiana zdań zakończona wraz z rozsunięciem się drzwi.

Glazur wyszedł z windy i skierował się prosto do gabinetu sierżantów. Dochodziła ósma, więc Konera powinien mieć już poranne raporty.

Nie uśmiechając się, pomachał do sekretarki i poprosił o kawę. Po chwili z filiżanką w dłoni wparował do sporego, jasnego pomieszczenia, pełnego metalowych szafek oraz biurk. Na ścianie zawieszona była wielka mapa, falująca przy porywach powietrza pompowanego przez obrotowy wiatrak. Mimo wysiłków urzędnika w środku panował zaduch. Glazur uchylił okno.

– Będzie gorąco, panie komisarzu.

Głos Konery dobiegł gdzieś zza szafki z aktami. Po chwili sierżant wyprostował się i podszedł do jednego z biurk. Poruszył myszką, rozjaśniając obraz monitora.

– Lepiej gorąco niż duszno. Przeciągi są potrzebne.

Glazur dmuchnął na kawę, by ją nieco ostudzić. Kilka kropli pociekło na spodeczek.

– Jesteś sam?

– Na razie tak. – Konera zerknął na zegarek. – Sierżant Liwicka będzie pewnie za parę minut.

– Pieprzone urlopy.

– Przynajmniej z pogodą trafili.

Glazur obrzucił go ganiącym spojrzeniem. Jednym haustem wypił kawę i odstawił filiżankę na parapet. Zwyczajowo oznaczało to, że zamierza przejść do rzeczy. Konera zdjął kilka kartek z drukarki, po czym je zszył. Nachylił się ponad nimi, zerkając ukradkiem na komisarza.

– Odciski palców na szklance należały do denatki – wyjaśnił rzeczowo.

– Nie zidentyfikowano jeszcze znalezionej w niej substancji, ale to prawdopodobnie jakiś lek. Wyniki mają być najpóźniej jutro. Właściwie na tym można skończyć czytanie tych nocnych wypocin.

Glazur stanął w przeciagu i skierował wiatrak na siebie. To było całkiem przyjemne.

– A inne odciski? Naprawdę nie mamy nic więcej?

– Kilka paluchów asystentki, kilka niezidentyfikowanych, ale w przypadkowych miejscach. W mieszkaniu nie znaleziono też żadnych śladów traseologicznych, poza odciskami stóp w sypialni i łazience. Te, oczywiście, należały do denatki.

Glazur starał się sobie przypomnieć, co zmarła miała na stopach. Był prawie pewny, że płaskie, materiałowe buty. Podłogi zostały doskonale wysprzątane, ale rzadko zdarzało się, żeby nie pokrywała ich niemal niewidoczna dla oka warstwa kurzu.

– W salonie technicy niczego nie znaleźli?

– Nie. Zupełnie jakby podłogi zostały świeżo umyte.

– A ona wyrzuciła mop za okno, usiadła, zmęczona sprzątaniami, i się zabiła?

Glazur założył ręce na piersi. To mu się nie podobało. Zapaliła się pierwsza lampka ostrzegawcza, że coś poszło nie tak, jak powinno. Albo samobójczyni, albo jej zabójcy. Konera najwidoczniej nie podzielał jego wątpliwości.

– Niektóre preparaty do czyszczenia podług utrudniają ściągnięcie śladów. – Ziewnął, nie zakrywając ust. – Często się zdarza, że...

- Wiedzieli już wczoraj – przerwał mu Glazur. – Sukinsyny.
- Słucham?
- Technicy wiedzieli o tym, zanim przyjechaliśmy. I nikt się nawet o tym nie zająknął.
- Pewnie musieli uzgodnić treść raportu.
- A co tu, kurwa, uzgadniać?! – Glazur z impetem przesunął wiatrak.
- Jeden wie to, drugi tamto, a mnie traktują jak trędowatego. Mów, co jeszcze tam naskrobali.
- Naprawdę nic ciekawego. Proszę zobaczyć.
- Śmieci. Mówiłem, żeby Gośka dokładnie sprawdziła śmieci.
- Konera zerknął w kartki. Przez chwilę je przerzucał, wreszcie na jego twarzy zagościł pobłażliwy uśmiech.
- Nic nadzwyczajnego, gazeta, rolka po papierze toaletowym, resztki z obiadu, które nawet przebadali w laboratorium. Jadła chińszczyznę i zagryzała korzeniem imbiru. Raczej niezbyt apetyczna mieszanka. Sekcja potwierdzi zawartość jej treści żołądkowej.
- Dobra, dobra. – Glazur machnął ręką. – Idziemy dalej.
- Dalej to już tylko grafiki.
- Konera podał komisarzowi raport. Kilka stron, kilka zdjęć, tabelk i analiz. Glazur przerzucił bzdury, które ze względu na wymogi proceduralne zamieszczano w każdym z nich. Zniecierpliwiony, przeszedł do szczegółów. Dokładnie przyjrzał się analizom, jakim poddano szklanękę znaną obok zwłok. Poświęcono jej skromne dwa akapity, które wieńczył rysunek podglądowy.
- To końcowy raport? – zapytał, potrząsając kartkami.
- Chyba tak. Przynajmniej co do danych w nim zawartych.
- Na szklance są odciski pięciu palców.
- No i?
- Konera ponownie nie wykazał najdrobniejszego zainteresowania. Dla niego wszystko grało.
- Jeżeli coś trzymasz... – Glazur zobrazował swoje słowa, podnosząc dłoń. – To czy nie ruszasz palcami? Jak coś złapiesz, to już nie puszczasz?
- Mogła wziąć tę szklanękę, upić i odstawić.

– Nawet, gdyby tak było, to nigdy nie widziałem tak kurewsko perfekcyjnych odcisków.

– Po prostu łatwa sprawa.

– Nie – wycedził komisarz. – Takie ślady trafiają się wtedy, kiedy ktoś umyślnie odbija palce trupa. Nigdzie indziej.

## 2.

Kiedy wyszedł na korytarz, minęła go wysoka, krótko ścięta blondynka. Robiła wszystko, żeby nie zwrócił na nią uwagi. Niemal przywarła do ściany i się zgarbiła.

– Sierżant Liwicka! – krzyknął, przystając.

Odwróciła się. W stylu hollywoodzkiej gwiazdy, udała głębokie zaskoczenie.

– O! Dzień dobry, panie komisarzu.

– Się okaże, czy dobry. – Glazur podszedł do niej na kilka kroków. – To pani przesłuchiwała wczoraj asystentkę naszego trupa?

Asystentkę naszego trupa, jak to brzmiało... Nie lubił nazywać zmarłych po imieniu, nie lubił ich personalizować ani nadawać im ludzkich cech. Oczywiście, o ile nie było to potrzebne do sprawy. Trup był przedmiotem. Potrzebnym w śledztwie obiektem, do którego należało podejść z pozbawionym emocji dystansem.

– Tak. – Liwicka nieśmiało skinęła głową. – Zaraz przyniosę protokół...

– Nie ma takiej potrzeby. Proszę streścić to przesłuchanie.

– Teraz?

– A niby kiedy?

Komisarz ruszył powoli przed siebie. Wiedział, że policjantka zaraz do niego dołączy.

– Planowały się spotkać o osiemnastej. – Usłyszał jej głos tuż za sobą.

– O osiemnastej trzydzieści miały umówione spotkanie, ale nie chciała mówić o szczegółach. Zasłaniała się tajemnicą wyborczą.

– I nie wycisnęła z niej tego pani?

– Nie byłam przekonana, czy to informacja istotna dla śledztwa.

– Jak każda.



Kobieta szła teraz obok niego.

– Asystentka próbowała dodzwonić się na numer stacjonarny i służbowy, ale nikt nie odbierał. Wtedy zdecydowała, że pojedzie do mieszkania. Ponoć drzwi zawsze były otwarte, знаła też kod do domofonu. Ciało znalazła około dziewiętnastej, dziewiętnastej piętnaście. Wtedy niezwłocznie wezwała policję i karetkę, dokładnie w tej kolejności. W ostatnich dniach nie zwróciła uwagi na nic niepokojącego, jej szefowa nie otrzymywała żadnych pogróżek, po prostu typowy wir kampanii wyborczej. Zasuwała jak Chińczyk w fabryce.

– Miała jakiegoś narzeczonego albo faceta?

– Podobno nie.

– Lesba?

Glazur łypnął szyderczo na Liwicką. Zawsze wyglądała mu na taką, która woli baby. Wiedział, że ocenia ją pochopnie, lecz ocenianie innych to była jego sprawa.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Spytała pani o to?

– Nie...

– A trzeba było.

Machnął ręką, dając znać, że dalej pójdzie już sam. Zostawił zmieszaną policjantkę za sobą i skierował się do biura. Gdyby dobrze rozegrał tę sprawę, mógłby odpokutować za wcześniejsze porażki. Być może powróciłby nawet temat jego awansu. Wtedy jego, niedługo już była, żona oszalałaby z wkurwienia. Przecież tak łatwo spisała go na straty. A syn? Dostałby wzorzec do naśladowania, lepszy niż gliniarz, który popełnił w życiu zbyt wiele błędów.

Zatrzymał się przed wejściem do swojego gabinetu. Z niechęcią zerknął na tabliczkę ze stopniem, imieniem i nazwiskiem. Łatwo ją było wymienić. Nie była nawet przykręcona, a jedynie zawieszona na stalowym haczyku.

Kiedy szukał klucza, otworzyły się drzwi na końcu korytarza. Z gabinetu inspektora wyszło kilka osób. Po chwili pojawił się Tumski, jak zawsze w srebrnej, tandetnej marynarce. Glazur ukradkiem przekręcił zamek i wślizgnął się do zagraconego pomieszczenia. Cicho

przymknął drzwi, zostawiając pomiędzy nimi a futryną niewielką szparę.

Przez chwilę nie mógł zrozumieć, co mówią. Wreszcie wyłapał pojedyncze zdania. Krótkie, wypowiedane najwyraźniej w przyjaznej atmosferze.

– Załatwimy wszystko tak, jak to omówiliśmy – padło na koniec.

Domyślił się, że kolejne odgłosy to wymiana uścisków dłoni i poklepywanie się po plecach. Ktoś się cicho zaśmiał, a ktoś znacząco zakaszłał. Kiedy Glazur usłyszał zbliżające się kroki, lekko docisnął drzwi. Pozostawił zaledwie kilkumilimetrową szczelinę. Po chwili dwóch mężczyzn w garniturach przeszło tuż za nimi. Jednego nie był w stanie rozpoznać, ale drugi... Choć widział tylko plecy, ta sylwetka była mu dobrze znana. Z telewizji i plakatów wyborczych. Nie mógł się mylić.

Ostrożnie nacisnął klamkę i zamknął drzwi. Głośno wypuścił powietrze. O co tu, do cholery, chodziło? Wizyty polityków na komisariacie były równie rzadkie jak biali w NBA. Albo jeszcze rzadsze. Ze zrozumiałych względów woleli trzymać się od policji jak najdalej.

Glazur usiadł przy biurku i uruchomił komputer. Przez chwilę niczym zahipnotyzowany wpatrywał się w logo Windowsa. Wreszcie wyciągnął piersiówkę i obrócił ją w dłoni. Dbał o to, aby pierwszy łyk w ciągu dnia był jedynie degustacją. Delikatne opłukanie ust. A potem gardła.

Degustacja.

Gul-gul.

Internet chodził jak krew z nosa. Zanim załadowała się wyszukiwana strona, Glazur pociągnął jeszcze raz. Już niczego nie opłukiwał, a jedynie pochłaniał. Zakręcił piersiówkę i schował ją do wewnętrznej kieszeni. Wiadomość o odnalezionym ciele była oczywiście głównym newsem lokalnego portalu.

*Ciało kandydatki na prezydenta miasta zostało znalezione w jej prywatnym apartamencie. Prokuratura na razie odmawia jakichkolwiek wyjaśnień. Z nieoficjalnych źródeł wypłynęła informacja, że wstępnie wykluczono udział osób trzecich. Prace śledczych jednak nadal trwają. Wieczorem ma zostać zorganizowana konferencja prasowa w tej sprawie. Konkretną godzinę poznamy w najbliższym czasie.*

*Jednocześnie wszyscy kontrkandydaci zmarłej złożyli jej bliskim kondolencje. Rozważa się zawieszenie kampanii wyborczych, przynajmniej na czas do pogrzebu. Jego data również jest nieznana, gdyż ciało wciąż nie zostało wydane rodzinie. Nie wiadomo, czy przeprowadzono już sekcję zwłok.*

Pod tekstem wyświetliło się czarno-białe zdjęcie zmarłej polityk. Była na nim uśmiechnięta, odsłaniała szereg idealnie równych zębów. Gdyby nie tonacja fotografii, zapewne biłby od nich blask. Wymuskana.

Glazur odchylił się w fotelu i wyciągnął z szuflady papierosa. Od lat palił jedynie w swoim biurze. W przeciwieństwie do alkoholu, w kwestii nikotyny nadal był w pełni zdyscyplinowany.

Po chwili wypuścił w stronę sufitu kłęb gęstego dymu, który zaraz rozpląnął się po całym pomieszczeniu.

Wyniki autopsji powinny być gotowe jeszcze przed południem. Kluczowe miały być jednak ekspertyzy laboratoryjne, na które musiał czekać do jutra. Poza tym w sprawie zapanowały marazm i nuda. Mógłby przesiedzieć tak cały dzień, udając, że jest zajęty robotą. Raporty zawsze zostawiał na ostatnią chwilę. Tumski i tak ich nigdy nie czytał.

Strzepnął popiół do plastikowego kubeczka, wypełnionego do połowy wodą oraz petami. Kiedy tylko dopalił, wyciągnął kolejnego papierosa i powtórzył rytuał wypuszczania dymu w stronę sufitu. Dyscyplina nie wprowadzała ograniczeń ilościowych.

Przez kolejne minuty siedział, bezmyślnie gapiąc się na wygaszony ekran komputera. W ciągu pół godziny wypalił kolejne cztery papierosy, nie zmieniając nawet pozycji.

Do rzeczywistości przywołało go mruganie pomarańczowego światła na telefonie. Ktoś próbował się z nim połączyć. Chwilę później rozległ się brzęczący dźwięk dzwonka. Niechętnie sięgnął po słuchawkę.

– Glazur, halo?

– Komisarzu, mówi Konera. Uznałem, że natychmiast do pana zadzwonię. Kiedy tylko się dowiedziałem...

Sierżant był czymś wyraźnie podekscytowany. Wyrzucał z siebie nieskładne słowa z prędkością karabinu.

– Do rzeczy. – Glazur wrzucił niedopalonego papierosa do kubeczka. – Błagam, mów do rzeczy.

Konera na chwilę zamilkł, jakby układał w głowie tekst *exposé*.

– Przyszedł jakiś obwieś – odezwał się wreszcie. – Zaklina się, że zabił tę babkę.

### 3.

Glazur rozłączył się, nie pozwalając Konerze dokończyć relacji. Natychmiast popędził do pokoju przesłuchań. Zawartość piersiówki rytmicznie chlupotała mu w marynarce, ale nie zwracał na to uwagi. Wątpliwości dopadły go, kiedy przy drzwiach zobaczył strażnika. Rzadko zdarzało się, żeby dodatkowo obstawiano korytarz.

– Otwieraj – warknął, łapiąc powietrze. – Przesuń się, do cholery.

– Nie mogę, panie komisarzu.

– W środku mam człowieka, który ma za chwilę zeznawać.

– Przesłuchanie już trwa. – Policjant zagroził mu przejście. – Proszę zrozumieć, taki dostałem rozkaz.

– Muszę tam być osobiście!

– To niemożliwe.

Z furią odwrócił się w stronę drzwi. Gdyby chciał wejść do środka, ten gówniarz nie mógł go powstrzymać.

– Jak to: niemożliwe?

– Przesłuchuje już go komisarz Bielski.

– Ten z narkotykowego?

– Tak.

Glazur przypomniał sobie poranne spotkanie w windzie. Goguś Bielski był pupilkiem inspektora, wychwalanym i hołubionym przy każdej okazji.

– Z jakiej racji?

– Co z jakiej racji, panie komisarzu?

– Z jakiej racji do sprawy wpięprzył mi się Bielski?

– To chyba polecenie inspektora Tumskiego, ale ja tam nic nie wiem.

No tak. Były sposoby, żeby odsunąć go od śledztwa, nawet jeśli reszta kryminalnego bawiła się na urlopiach. Choćby najdrobniejszy wątek

narkotykowy pozbawiał go możliwości działania. Przynajmniej na jakiś czas.

Wściekły przeszedł kilka kroków w głąb korytarza. Po chwili zawrócił i zatrzymał się obok strażnika. Postanowił stać przed pokojem przesłuchań, aż ta gnida Bielski wytknie z niego swoją wypieszczoną czuprynę.

Nie trwało to długo. Po niespełna kwadransie drzwi otworzyły się i ze środka wyszedł niski, przesadnie chudy mężczyzna, ubrany w wytarte spodnie dżinsowe i takąż koszulę. Miał około czterdziestu lat, ryży zarost i sięgające ramion kręcone włosy.

Zaraz za nim pojawił się komisarz Bielski. Kiedy zobaczył Glazura, bezczelnie puścił do niego oko. W odpowiedzi bez pardonowo podszedł do niego i nie zwracając uwagi na cokolwiek, zaklął.

– Po co się wpieprzasz, gnoju? Wiesz, że miałem tę sprawę.

– Uczestniczyłem tylko w przesłuchaniu świadka – wyjaśnił spokojnie Bielski. – Naczelnik nie mógł się do pana dodzwonić, komisarzu, nigdzie pana nie było...

Glazur zacisnął pięści. Łgał, gapiąc się mu prosto w oczy.

– Świadka?

– Już nie.

Bielski odwrócił się do strażnika i polecił mu zakuć przesłuchiwanego w kajdanki.

– Za chwilę wybieramy się do prokuratury. – Uśmiechnął się niewinnie. – Pan Hylewicz przyznał się do dokonania zabójstwa. Prokurator za mniej niż dwie godziny przedstawi mu zarzuty.

Glazur spojrzał na zakuwanego mężczyznę. Ten odwzajemnił spojrzenie i uśmiechnął się. Spokojnie, radośnie, jak dziecko, które dostało właśnie gałkę lodów. Komisarz chwycił Bielskiego pod ramię i odszedł z nim kilka kroków na bok.

– To on? – Parsknął z niedowierzaniem. – On miał zamordować kandydatkę na prezydenta?

– Przyznał się. I nie ma co do tego wątpliwości.

– Niby jak to zrobił?

– Odmówił odpowiedzi na część pytań, ale cała reszta się zgadza.

– Jaka, do cholery, reszta? – Glazur zaśmiał się nerwowo. – Pytałeś go o to, czy wiedział, że drzwi do mieszkania są otwarte? Odpowiedział twierdząco. Czy zmarła była blondynką? Ponownie przytaknął. Wreszcie, czy dodał jej czegoś do wody, którą miała w swojej pierdolonej szklance? Znowu strzał w dziesiątkę. Przecież to jakiś wariat!

Bielski uwolnił się z jego uścisku. Strzepnął niewidoczny pyłek, który po tym pozostał.

– Przeczytaj protokół. – Skinął głową w stronę pokoju przesłuchań. – Tam wszystko znajdziesz.

– Przesłuchanie nie zostało nagrane?

Bielski uśmiechnął się.

– Tak, oczywiście, w najwyższej rozdzielczości.

Glazur zbył jego ironię kolejnym pogardliwym parsknięciem.

– Mamy jakieś dowody poza jego słowami? Cokolwiek, co łączy go ze sprawą?

– To się jeszcze okaże. Póki co, wiedział, czego dosypano do szklanki wody.

– Niby czego?

– Barbituranu, którego szczegółowej nazwy nie pamiętał. – Bielski gwałtownie spoważniał. – A teraz, przepraszam, komisarzu, ale jestem zajęty.

Odwrócił się do strażnika stojącego przy skutym mężczyźnie i ruszył w stronę windy. Pozostała dwójka poszła się za nim. Glazur został sam.

Drżącą ręką wyciągnął piersiówkę i pociągnął solidny łyk. Otarł usta wierzchem dłoni. Wszedł do pokoju przesłuchań i drgnął na widok nieznanego mu posterunkowego. Spodziewał się, że pokój będzie pusty.

– Dzień dobry, panie komisarzu! – Policjant poderwał się z krzesła. – Co mogę...

– Dawaj mi ten protokół.

Posterunkowy ze zdziwioną miną podał mu ręcznie wypełnione formularze. Glazur przebiegł wzrokiem po gęsto nakreślonych linijkach. Pierwsze dwa akapity wyjaśnień stanowiły osobliwy manifest polityczny, kolejne w mglisty sposób opisywały przebieg wydarzeń z poprzedniego wieczoru. Mężczyzna miał pojawić się w mieszkaniu kandydatki, porozmawiać z nią na temat, którego nie chciał ujawnić, wreszcie

dosypać jej ukradkiem do szklanki końską dawkę barbituranu. A potem ulotnił się jakby nigdy nic. Aż wreszcie po nocnych rozważaniach zdecydował się ujawnić policji. Bzdury.

Glazur nie wierzył w ani jedno jego słowo. Nie wiedział tylko, czy jest to szopka dla mediów, czy sprawa była szyta coraz grubszymi nićmi. Przeżył wystarczająco wiele, by nie dać z siebie zrobić idioty. A zamienianie samobójstwa w zbrodnię dokonaną przez pomyleńca nie było niczym innym.

Rzucił raport na biurko i wyszedł z pokoju. Szybkim krokiem ruszył do głównego wyjścia. Skoro chcieli zamknąć przed nim drzwi, swoim zwyczajem zamierzał wpieprzyć się oknem.

Miał pomysł, od czego zacząć.

#### 4.

Rzadko bywał w dzielnicy, w której mieszkała kandydatka. Nie miał po co. Ostatnią sprawę prowadził tu kilka lat temu, kiedy w jednym z mieszkań zaszyła się szajka przemytników. Przez kilka tygodni ich podsłuchiwali, wreszcie, gdy zebrali dość dowodów, zrobili nalot. Dokładnie taki, jak w filmach gangsterskich. Wywalone drzwi, kilka osób na glebie, wymierzone w nich karabiny i pistolety. Resztę bandy wyłapali w podmiejskim magazynie. Świetnie skoordynowana akcja, dzięki której dorobił się stopnia komisarza. To był jego ostatni awans w ciągnącej się od ponad dwóch dekad cholernej karierze. Później było już tylko gorzej.

Za każdym razem przyjeżdżał tu w radiowozie. Tym razem, olewając zasady, po prostu wyszedł z komendy i pojechał autobusem. I tak nikt go nie sprawdzał. Funkcjonował na granicy wywalenia ze służby i miał to w dupie. Nie chciał się jednak do tego przybliżyć jazdą po pijaku.

Wysiadł na przystanku i przeszedł się wzdłuż niewielkiego parczku. Umyślnie nie zmienił strony ulicy, by jak najdłużej trzymać się cienia. I tak miał koszulę mokrą od potu. Skoro sam czuł od siebie woń alkoholu, w rzeczywistości musiał cuchnąć jak gorzelnia. Upewnił się, że

piersiówka jest dobrze zakręcona, i przyglądził marynarkę. Nauczył się tak się poruszać, by nie było widać nawet jej zarysu.

Minął ostatnie drzewa i skrócił sobie drogę przez plac zabaw. Kilkoro dzieci oderwało się od trzepaków i piaskownic, obrzucając go zaciekawionymi spojrzeniami. Ich matki czujnie zmrużyły oczy. Czy naprawdę wyglądał jak jakiś cholerny pedofil? Miał ochotę podejść do pierwszej lepszej blondyny i pokazać jej, że woli dojrzałe. Jedynie roześmiał się pod nosem. Nie miał czasu nawet na wymianę drobnych złościwości.

Wiedział, że jest wrakiem...

Blok, w którym mieszkała kandydatka, znajdował się po drugiej stronie ulicy. Tam nie było już nic do roboty. Technicy zabezpieczyli ślady, śledczy rozpytali sąsiadów. Zganił się, że nie zajrzał jeszcze do raportów. Jeżeli Tumski naciskał, mogli mieć w dupie jego polecenia. A przecież musiał prosić nawet o debilne sprawdzenie śmieci. Szlag trafiał profesjonalną robotę. Za nadgorliwość prędzej można było dostać dyscyplinarkę niż pochwałę. A przecież najtrudniejsze śledztwa opierały się właśnie na nadgorliwości.

Zatrzymał się przy drzwiach do apteki. Znajdowała się dokładnie naprzeciwko bloku, którego wejście musiało być doskonale widoczne zza kasy. Pociągnął za klamkę i zaklął. Zgodnie z tabliczką była otwarta od poniedziałku do soboty, pomiędzy dziewiątą a siedemnastą.

Głazur zaklął pod nosem.

Nawet gdyby farmaceutka przez cały dyżur gapiła się w szybę i tak nic by nie zauważyła. Pieprzone lenie. Nic dziwnego, że w promieniu kilometra od swojego domu nie miał punktu całodobowego. Gdyby aspiryna była dostępna tylko na receptę, już dawno by wykitował.

Cofnął się, niemal wpadając na damulkę szorującą z rozdartą córką w stronę placu zabaw. Cholerne zombie. Przepuścił je i ruszył wzdłuż pasażu. Lokal obok apteki wyglądał na zamknięty od co najmniej kilku miesięcy. Szyldy zostały zdjęte, jedynie na oknach zostały ślady po wyklejanym napisie. Zakład fryzjerski. Pewnie splajtował.

Nadzieję na sens całej wycieczki przywrócił wielki baner z logo restauracji. Znajdowała się na parterze i z całą pewnością w chwili zdarzenia była otwarta. Zerknął na wywieszoną na zewnątrz kartę dań.



Kilka pozycji zostało napisanych we wszystkich językach świata – poza polskim. Czym do cholery było *Terrine de Foie Gras* albo *Sauerbraten*? Gdyby nie cena, pomyślałby, że to nazwa środka na przeczyszczenie.

Pchnął drzwi i z przyjemnością zaciągnął się aromatem kawy. Minał niewielki hol i wszedł na główną salę. Tak jak karta dań, wystrój stanowił istny miszmasz. Obok włoskiej flagi wisiał bawarski zegar, a kawałek dalej do ściany przybito kilka meksykańskich sombrer. Stoliki, podobnie jak nieliczni goście, były zupełnie bez wyrazu. Szare i przechodzone. Za kamiennym kontuarem stała zgrabna kobieta w czerwonym zakiecie. Kiedy się zbliżył, wyprostowała się i obrzuciła go lustrującym spojrzeniem.

– Proszę zająć miejsce, zaraz przyniosę menu – odezwała się.

Głazur zlekceważył jej słowa i zatrzymał się po drugiej stronie blatu.

– Chcę tylko piwo. Lane. Obojętnie jakie.

– Mamy warkę, żywca, ale też...

– Powiedziałem, że obojętne – przerwał jej. – Byle nie kosztowało fortuny.

– Zaraz przyniosę do stolika.

– Wypiję na miejscu. Tutaj.

– Proszę do stolika, tu tylko przyjmujemy zamówienia.

Głazur wyciągnął legitymację i położył ją przed sobą. Kobieta ledwo na nią zerknęła.

– Coś się stało? – zapytała dużo bardziej oschle. – Jakies zgłoszenie?

– Można tak powiedzieć – mruknął. – Najpierw, kurewsko miło, proszę to piwo.

Kobieta podłożyła pod kranik szklanke i bez słowa puściła złocistą ciecz. Po chwili obtarła pianę i dołała jeszcze trochę.

– Pracowała tu pani wczoraj wieczorem? – Głazur sięgnął po piwo. Nie zamierzał się wyklócać o kufel.

– Tak, jestem tu codziennie...

– Macie dobry widok. – Odwrócił się i skinął w stronę okien. – Czy nie zwróciła pani na coś uwagi około osiemnastej?

– Niby na co?

No tak. Sam nie wiedział, na co miałyby zwracać uwagę. Zupełnie jakby liczył, że morderca przeparaduje w stroju Batmana pod oknami

knajpy.

– Po drugiej stronie ulicy jest blok.

– Wiem, do czego pan zmierza. Przecież to miało być samobójstwo...

Miało być. Ale może nie było. Duszkciem opróżnił prawie pół szklanki. Nie sądził, że był aż tak spragniony.

– Zadałem pani pytanie – powiedział, odstawiając piwo. – Ale zapytam raz jeszcze. Czy zwróciła pani na coś uwagę?

– Kiedy pracuję, nie mam czasu na obserwowanie ulicy.

– To ledwie kilkadziesiąt metrów. Może coś sobie pani przypomni.

A może pani szef...

Tym razem nie pozwoliła mu dokończyć.

– Ja tu jestem szefem. To moja restauracja.

Glazur mlasnął, przelękając kolejny łyk piwa. Jego rozmówczyni poprawiła odruchowo kilka kart dań i westchnęła, jakby niepotrzebnie w ogóle zaczęła ten temat.

– Wczoraj mieliśmy wieczór włoski – odezwała się. – Jedna z kelnerek stała na zewnątrz lokalu, zapraszając przechodniów do środka.

– Niech ją pani poprosi.

– Dzisiaj nie pracuje.

Glazur dopił piwo i schował legitymację do kieszeni.

– W takim razie proszę o jej adres – powiedział zniecierpliwiony.

– Nie mam.

– Jak to pani nie ma?

– No nie mam. Czy jest obowiązek posiadania adresu domowego swoich pracowników?

Zacisnął zęby. Panienska, która bezproduktywnie wystawała pod restauracją, mogła na coś zwrócić uwagę.

– Kiedy ją zastanę?

– Będzie jutro od rana. Po nocnej zmianie daję ludziom odpocząć.

Mówiła tak, jakby on wyglądał na pastwiącego się nad otoczeniem.

– Co znaczy: od rana? – zapytał szorstko.

– Otwieramy o ósmej. Zapraszam na śniadanie. Ewentualnie mogę dać panu jej numer telefonu.

– A niech tam. – Glazur machnął ręką. – Niech sobie bidulka odpoczywa. Zjawię się jutro.

## 5.

Rozmowy z pracownikami sklepu mięsnego i warzywniaka były całkowicie bezproduktywne. Glazur stracił na nie kilkadziesiąt minut, do tego bez nadziei na choćby szklanekę piwa. Pot lał się mu po plecach strumieniem.

Poza utyskiwaniem na politykę, sens wyborów samorządowych i ciekawskim wypytywaniem o śledztwo nie usłyszał nic więcej. Nikt nic nie widział, nikt na nic nie zwrócił uwagi. Jak zwykle.

Glazur wyrzucał sobie złudny optymizm. Zresztą w dupie miał prawdę. Tym razem nie interesowały go rzetelne wyjaśnienie sprawy i dorwanie sprawcy. Jego jedyną pobudką stała się chęć dokopania prykom na górze. Tym, którzy poruszali sznurkami i rozgrywali swój teatrzyk lalek. Może jego mózg nie działał już, jak należy, ale gdyby trafił na coś konkretnego, za cholerę nie mogliby go wypieprzyć. A gdyby zrobił się odpowiedni szum, sprawą zainteresowałoby się pewnie nawet ministerstwo. Wtedy wizja awansu znowu stałaby się realna. Choć wciąż nie wiedział, czy nie bardziej kusila go perspektywa emerytury.

Było już popołudnie, więc zdecydował się wrócić na komisariat. Do tej pory powinny spłynąć pierwsze konkretne raporty. Skierował się na przystanek i schronił w cieniu wiaty. Na niebie nie było nawet najmniejszego obłoczka.

Z rozkładu wynikało, że musi poczekać niecały kwadrans. Usiadł na ławce i chusteczką otarł pot z czoła. Czuł, że piersiówka w kieszeni marynarki nagrzała się, a jej zawartość – niemal zagotowała. Nie było na co czekać. Wyciągnął ją i upił niewielki łyk, bo tylko tyle pozostało. Nie pamiętał, że już tyle wypił. Rzadko zdarzało się to o tak wczesnej porze. Rzadko też smak ciepłego alkoholu był mu tak obojętny.

Z autobusu wylała się chmara dzieciaków. Szczęśliwcy, skończyli lekcje i mieli perspektywę pięknego, wolnego popołudnia. Glazur spokojnie poczekał i usiadł na samym końcu. Przynajmniej było miejsce. Oparł głowę o szybę i przymknął oczy. Po chwili wibracja telefonu wyrwała go z krótkiego letargu.

Dzwonił Konera. Być może na komisariacie wreszcie spostrzegli jego nieobecność.

– Czego? – rzucił zamiast przywitania.

– Może pan rozmawiać, komisarzu?

Przymilny ton sierżanta świadczył o tym, że jeszcze nie było afery.

– Pytam się, czego?

– Właśnie dostaliśmy wyniki z laboratorium. – Konera zawiesił głos.

– I?

– Laboratorium potwierdziło, że ta sama substancja była w organizmie denatki i w szklance.

Glazur zacisnął dłoń na słuchawce.

– Co to za substancja?

– Metoheksital – przeliterował Konera. – To pochodna kwasu barbiturowego. W tej sytuacji sąd nie ma wyjścia, musiał przyklepać trzy miesiące aresztu, a poza tym...

Komisarz wiedział, dokąd zmierza ten wywód.

– Czyli są wyniki sekcji? – przerwał sierżantowi.

– Tak, dostaliśmy jedno i drugie.

– I jaka jest przyczyna?

– Czego przyczyna?

– Zgonu, do cholery!

Siedząca kilka miejsc dalej staruszka popatrzyła na niego z oburzeniem. Co mógł poradzić na to, że pracował z idiotami? W dodatku pnącymi się po ścieżkach kariery dwa razy szybciej od niego. Konera ledwo przekroczył trzydziestkę. Zachowując dotychczasowe tempo, koło czterdziestki obejmie jego stołek. Oczywiście, od dawna zajmowany przez kogoś innego.

– Napisali, że zapaść krążeniowa i porażenie ośrodka oddechowego. – Sierżant powoli odcyfrował raport. – Właśnie na skutek przedawkowania tej substancji.

Glazur wprost nie mógł uwierzyć w to, że na tej podstawie prokurator skierował wniosek o tymczasowe aresztowanie.

– Myślą, że ten bezdomny oszołom kupił to na targu? – Odwrócił się w stronę okna. – Znalazł to gównno pod pieprzonym mostem?

– Bielski twierdzi, że mógł zdobyć tę substancję w szpitalu.

– Co takiego?

– Dwa miesiące temu trafił na izbę przyjęć z rozwaloną głową – wyjaśnił spokojnie Konera. – Ktoś mu solidnie przetrącił kości, ale nie puścił pary z gęby kto. W sumie mógł nie pamiętać.

– Był nagrany?

– Mało powiedziane. Ponad trzy promile.

Glazur sam miał ochotę walić łbem w szybę. Cała sprawa była jednym wielkim nieporozumieniem. Przygłupi menel trafia do szpitala z rozwalonym łbem, ląduje na detoksie, włamuje się do zamkniętego składziku i niezauważony wynosi fiolkę jednego z najmocniejszych środków. Poza tym nie zgadzało się coś jeszcze. O ile pamiętał, od wielu lat w medycynie nie używało się barbituranów ze względu na ich silne właściwości toksyczne i uzależniające. Coś o tym wiedział...

– Ktoś sprawdził, czy ta substancja jest dostępna w szpitalu?

Konera nie odpowiadał. Glazur miał wrażenie, że przysłonił słuchawkę i z kimś rozmawia. Słyszał jedynie szum.

– Halo! – wrzasnął, nie zważając na to, że właśnie usiadła przy nim kobieta z dzieckiem na rękach.

Sierżant odezwał się dopiero po chwili.

– Przepraszam, panie komisarzu, jakieś zakłócenia na łączu.

– Pytałem, czy ta substancja w ogóle była w tym cholernym szpitalu.

– Ludzie Bielskiego już to zbadali. Rzeczywiście metoheksikalu od pewnego czasu się nie używa, ale mogło coś zostać. Co więcej, nie podlegał ewidencji.

– A ten czub wydukał, w jaki sposób go zdobył?

– Ani słowa. – Konera głośno westchnął. – Może nie chce wkopać współników.

– Lekarzy?

– Pielęgniarek, ratowników, kto wie?

Teraz Glazur był już pewien, że podsuwają mu gówno. Najlepszym sposobem rozmydlenia sprawy było dorobienie jej pobocznych wątków. Zajęcie się nieistotnymi szczegółami. Nie dość, że zaczynała wtedy wyglądać wiarygodniej, to jeszcze można było przeciągać procedowanie. W celu wszechstronnego wyjaśnienia okoliczności, jak to się mówiło.

Wiele postępowań szlag trafiał, kiedy prokuratura dorzucała udział w zorganizowanej grupie najdrobniejszym płotkom. Śledztwa wlekły się latami, a policja, zamiast łapać mózgi gangów, uganiała się za siedemdziesięciolatkami sprzedającymi lewe fajki na targu. I nie chodziło wcale o surowszy wymiar kary, a o szopkę medialną. Lepiej rozbić kilkudziesięciosobową grupę niż dorwać dwóch bossów. W tej sprawie cel był jednak zupełnie inny. Jeżeli na ruszt wrzucano historyjkę o lekarzu, który pomagał menelowi w kradzieży nieewidencjonowanego środka, istniały tylko dwa wytłumaczenia. Albo ktoś chciał kogoś zrobić, albo prawda miała zostać zatuszowana.

Sięgnął po piersiówkę. Dopiero kiedy dotknął jej palcami, przypomniał sobie, że jest pusta.

– Interesował się ktoś moją nieobecnością na komendzie? – zapytał.

– Powiedziałem Tumskiemu, że pan komisarz załatwia czynności w terenie. Olał to. Swoją drogą, gdzie pan w ogóle jest?

Konera dziecinnie łatwo spławił inspektora. Poza tym zadanie pytania dopiero teraz wskazywało, że nikogo to nie interesuje. Może się mylił, ale wydawało mu się, że wyczuł w głosie sierżanta ulgę. Nie wiedział tylko, z jakiego powodu. Mogła to być jednak po prostu paranoja...

– Jak słusznie powiedziałeś, jestem w terenie – odparł Glazur. – Co z Bielskim?

– Niedawno wrócił z prokuratury. Uważa, że z naszej strony sprawa będzie do zamknięcia.

– Złamany kutas.

Kobieta z dzieckiem ostentacyjnie przesiadła się na inne miejsce. Całkiem mu to odpowiadało.

– Ten menel jest już w areszcie?

– Zdaje się, że tak.

Glazur zerknął na zegarek. Służbę kończył za nieco ponad godzinę. Tego dnia nie musiał być pod telefonem, a skoro Bielski zajął się sprawą, będą dzwonić właśnie do niego. Znał treść raportów, więc na komendzie nie miał nic do roboty. Postanowił załatwić wszystko po swojemu. Wyjrzał za okno, sprawdzając, gdzie jest. Już dawno przejechał swój przystanek.

– Będę jutro – oznajmił, wstając. – Muszę coś załatwić.

## 6.

Wyłączył telefon. Dzięki temu był pewny, że nikt nie zawróci mu głowy. Doskonale wiedział, że nie ma nikogo, kto mógłby wpaść na taki pomysł, ale wolał wmawiać sobie co innego. Nie tęsknił za przyjaciółmi, jednak z próżności lubił czuć się potrzebny. Lubiał, gdy ludzie prosili go, aby załatwił to czy tamto. Poruszył znajomości, anulował mandat, przyspieszył jakąś sprawę. Jednak zauważył, że od pewnego czasu znajomi zaczęli się od niego odsuwać. Najwidoczniej radzili sobie bez jego pomocy. To tylko pogłębiało jego irytację i niechęć do utrzymywania kontaktów. Skoro nikomu nie był potrzebny, to tym bardziej sam nie potrzebował nikogo.

Odsunął od siebie te myśli. Niechętnie zakładał, że następny dzień będzie pracowity, a musiał nabrać sił i wszystko przemyśleć. W spelunie zjawił się wcześniej niż zwykle. Piekielnie głodny, zamówił zapiekankę i dwie pięćdziesiątki. Koniecznie zmrożone.

– To przez to wczorajsze piwo? – zażartował barman.

– Przez te kurwy i złodziei – odparł, sam nie wiedząc, co miał na myśli. Coraz częściej gadał, żeby gadać.

Nim zapiekanka była gotowa, opróżnił oba kieliszki. Momentalnie rozjaśniły mu umysł. Przestał się pocić, a drzenie dłoni zelżało. Kiedy się obrócił, hoker przeciągle zaskrzypiał.

– Mówiłem ci o tym, żebyś zbierał na odszkodowanie?

– Codziennie pan o tym mówi. – Barman postawił na kontuarze talerz z parującą bułką. – Trzeba go tylko naoliwić.

– Mechanik się, cholera, znalazł.

Glazur sprawdził godzinę. Do najbliższego programu informacyjnego zostało czterdzieści minut. Nie liczył na to, że drugi dzień z rzędu na wizję wejdzie czarnulka. Stacja dawała zarobić kilku prezenterkom na przemian. Albo to ich związki zawodowe wywalczyły taki rytm pracy. W końcu ze wszystkich medialnych szumowin te dziewczyny jako jedyne zasługiwały na sympatię. Robiły swoją robotę, uśmiechały się, czasem rzuciły jakiś dowcip i tyle. Same nie rozgrzebywały brudów, nie babrały

się w sensacyjnych aferach, nie mieszały w politykowanie. No, chociaż zdarzały się wyjątki. Ale nie czarnulka. Ta była subtelna.

Komisarz poślinił palec i powybierał z talerza okruchy. Zapiekanka nie była dobra, właściwie nie miała smaku, ale jego żołądek domagał się posiłku. Dla ważącego ponad osiemdziesiąt kilogramów mężczyzny bułka z pieczarkami i strzępkiem wyrobu szynkopodobnego była jedynie zakąską. Ilość wypitej wódki nie miała znaczenia. Glazur rozejrzał się za kartą dań, ale nigdzie jej nie znalazł. Być może w tej spelunie nigdy takowej nie było.

– Po ile te zapiekanki? – zapytał.

Barman podał piwo przyszczatemu nastolatkowi, który na pewno nie miał osiemnastki, i odwrócił się od komisarza.

– Dla pana po siódemce.

Glazur wyciągnął portfel i zerknął do przegródki z drobnymi. Przeliczył monety, a potem sprawdził banknoty. W sumie nie był aż tak głodny. Wolał mieć te parę złotych na awaryjne piwo. Albo dwa, gdyby kupował je w drodze do domu.

– W takim razie lej pięćdziesiątkę.

– Tego samego?

– A co, mam zamówić pierdolonego Dom Perignon?

Barman nalał czystej i podstawił kieliszek. Spojrzał na komisarza z poufałym uśmiechem.

– Coś mi przyszło do głowy – odezwał się. – Prowadzi pan tę głównianą sprawę z kandydatką na prezydenta? To dlatego wczoraj dzwoniли?

Glazur mlasnął. Nie było to ani potwierdzenie, ani zaprzeczenie.

– Ludzie gadają – ciągnął barman. – Pojawiają się różne plotki. To to, to tamto. Kiepski temat.

– Co niby gadają?

– Domysły. Szkoda gadać.

Komisarz wskazał na kieliszek, a barman natychmiast go uzupełnił. Nachylił się nad ladą.

– A gdyby tak pan zdradził cokolwiek ze śledztwa – szepnął – to może jedną zapiekanekę udałoby się zrobić gratis.

Glazur odsunął od siebie wódkę. Przez chwilę mierzył barmana wzrokiem.



– Za kogo ty mnie, kurwa, masz? – wycedził. – Za cholernego paplę czy co?

– Nie chciałem pana urazić... Ja...

– A czego chciałeś? Czego chciałeś, do cholery?

Barman nie odpowiedział. Odsunął się i założył ręce na piersi. Glazur ciężko podniósł się z hokera.

– Pójdę do kibla, a gdy wrócę, udamy, że nie było tematu.

Dopił wódkę i poszedł do łazienki. Kręciło mu się w głowie, lecz był przekonany, że idzie prosto. Ten dureń sądził, że po pijaku wyciągnie od niego szczegóły sprawy.

Może był podstawiony?

Może ktoś chciał w ten sposób go skompromitować?

Wykopać ostatni, najgłębszy dołek? Grób, do którego sam wskoczy?

Glazur zatrzymał się przed kabinami i oparł o umywalkę. Spojrzał na swoje odbicie w pękniętym lustrze. Zarost był coraz dłuższy, zakrywał zmarszczki i rozszerzone pory. Przekrwione oczy lśniły alkoholowym blaskiem. Widział to wszystko, ale dbałość o wygląd już dawno straciła dla niego znaczenie. Miał ochotę zapalić. Kilka wypalonych w gabinecie papierosów nasyciło organizm jedynie na krótki czas. Gdyby miał przy sobie paczkę, złamałby się. A później wyrzuciłby sobie tę słabość.

Dlaczego barman zapytał go o tę sprawę? Nie wierzył w przypadki. Przez setki godzin rozmów nie chciał wiedzieć o niczym związanym z jego służbą, a teraz...

Oplukał twarz zimną wodą. Nigdzie nie znalazł papierowego ręcznika, więc otarł ją rękawem marynarki. Wyszedł z łazienki i wrócił do kontuaru. Barman podawał właśnie butelkę piwa jakiemuś łysolowi w dresie. Zdawało mu się, że widział go tu też poprzedniego dnia. W sumie nic dziwnego. Lokal miał swoją klientelę. Ale dlaczego nie zwrócił na niego uwagi wcześniej?

Paranoja...

– Więc co ludzie gadają? – rzucił, siadając. – Co mówią?

Łysol wziął otwieracz i sam odkapsłował butelkę. Spojrzał na komisarza, a potem na barmana. Ten wzruszył ramionami.

– Mówiłem, że to tylko plotki...

– Chętnie o nich posłucham.

Łysol usiadł obok komisarza i przelał piwo do szklanki. Drugą dłonią wsparł się o kontuar.

– A co kogo interesują plotki? – zapytał.

– Komisarz prowadzi sprawę tego samobójstwa.

– Właśnie widzę, jak prowadzi – zarechotał tamten.

Glazur błyskawicznie poderwał się z miejsca.

– Do kurwy nędzy! – wrzasnął. – Ty śmieciu!

Zachwiał się, ale podtrzymał się o bar i zdołał nie upaść. Chwycił pusty kufel i z całej siły rąbnął nim w dłoń łysola. Ten, wyjąc z bólu, zwinął się nad kontuarem. Wtedy Glazur chwycił go za ucho i pchnął na ladę. Uderzył go łokciem w kark tak, że tamten walnął nosem w blat. Wyraźnie słyszał chrupnięcie kości.

– Może to nauczy cię cholernego szacunku, gnoju.

Nie było jeszcze siedemnastej, a był już kompletnie pijany.

## DZIEŃ TRZECI

### 1.

Niewiele pamiętał z poprzedniego wieczoru. Mógł się tylko domyślać, że znów pokłócił się z żoną i dał wykład synowi. Rano nie zamienił z nimi nawet słowa. Wszyscy wzajemnie obrzucali się ponurymi spojrzeniami, jakby trawiła ich ciężka choroba. Poniekąd była to prawda. Na przemian złościł się i żałował tej cholernej łajzy, ich syna. Może i nie był idiotą, uczył się całkiem nieźle, tyle że jego zaradność życiowa nie wykraczała ponad poziom ameby. Ewidentna wina rozpieszczającej matki. Czego Karolek sobie zażyczył, to zaraz dostawał. Krzyczenie na niego było nie do pojęcia, bo się stresował. Klaps świadczył o wychowawczej niemocy, a szlabany – o ułomności rodzica. Rozmowy i przytulanki pozwoliły im stworzyć własnego potwora Frankensteina. Zahukanego, niezaradnego i ofermowatego chłopczyka. Gdyby był dziewczynką, może byłoby w tym coś uroczego. Jako chłopiec prezentował wszystkie cechy, których Glazur nie trawił.

Tego ranka nie powiedział mu tego. Szybko się umył, uzupełnił piersiówkę i zjadł coś pozostałego zapewne z wczorajszego obiadu. Nim jego syn wyszedł do szkoły, a żona do pracy, siedział już w autobusie.

Do restauracji naprzeciwko mieszkania denatki dotarł tuż po ósmej. O tej porze zapach kawy był jeszcze intensywniejszy. Chyba każdy z kilkunastu gości przyszedł uraczyć się kofeiną. Przy niektórych stolikach siedziały po dwie osoby, ale większość rozbudzała się w pojedynkę. Kiedy wszedł, kelnerka w firmowym fartuchu niosła komuś talerz jajecznicy i okrągłych bułeczek. Uśmiechnęła się do niego

i skinęła mu głową. Miała ładne białe zęby i różową szminkę. Chociaż w kobiecej nomenklaturze na ten kolor znalazłoby się zapewne inne określenie. Malinowy? Majtkowy?

Glazur zatrzymał się przy barze.

– Zostałem szefową? – zagaił, kiedy kelnerka wracała z pustą tacą.

Spojrzała na niego niepewnie. Już się nie uśmiechała. Żaden pracownik żadnej firmy nie lubił tego pytania.

– Odbiera towar – odpowiedziała. – Będzie za kilka minut. Mogę w coś pomóc?

– Właściwie to tak.

Komisarz przegładził dłonią zarost.

– Mieliście tu przedwczoraj włoski wieczór, prawda?

– Tak, za dwa tygodnie robimy powtórkę. Chce pan zarezerwować stolik?

– Szukam kelnerki, która stała wtedy przed lokalem. Miała być dzisiaj od rana.

– Aha. – Kobieta odstawiła tacę na ladę i wyraźnie się uspokoiła. – Pomaga szefowej. Proszę poczekać te kilka minut.

Glazur wyjął legitymację i machnął nią przed jej twarzą. Kelnerka przestąpiła z nogi na nogę.

– Zawołam ją.

– Słusznie.

Kiedy kobieta zniknęła na zapleczu, Glazur wbił wzrok w kartę dań. Lista alkoholi znajdowała się na oddzielnej kartce. Poza piwem ceny były astronomiczne. Poczul się pewniej, myśląc o swojej piersiówce. Kupowana na bazarze ukraińska wódka smakowała lepiej od wykwinnych trunków. Gdyby dowiedział się, że ktoś namierzył przemysłowców, osobiście by ich ostrzegł. Myślał o tym niemal codziennie. Jego źródółko nie mogło wyschnąć.

Niemalże bezgłośnie podeszła do niego niska, drobna kobieta w takim samym fartuchu jak jej różowousta koleżanka. Miała co najwyżej dwadzieścia lat. Brak bioder, brak piersi i brak makijażu. Typowa szara myszka, która do studiów musiała dorabiać pracą w restauracji. Aż dziw, że to akurat ją szefowa ustawiła przed lokalem. Jej drobna sylwetka musiała się zlewać z fasadą.

– Pan jest z policji? – odezwała się nieco głośniej niż szeptem.

Glazur skinął głową. Przedstawił się i wyciągnął rękę. Kobieta uścisnęła ją.

– Ludmiła Kasprzykowska.

Omiał nie parsknął śmiechem. Jej rodzice musieli być sadystami, dając jej takie imię. Opanował się i rozejrzał, pokazując, że zależy mu na dyskrecji. Na całe szczęście, wszyscy goście byli nadal zajęci swoimi sprawami.

Paranoja, paranoja...

– Przedwczoraj wieczorem stała pani przed restauracją – odezwał się. – Od której?

Kelnerka zagryzła usta. Tik niepewnych siebie osób.

– Około piątej. Nie pamiętam dokładnie...

– Domyśla się pani, w jakiej sprawie przyszedłem?

– Tego samobójstwa?

Glazur rozłożył ręce, jakby chciał jej pokazać, że nie chce mieć z tym nic wspólnego. Zaobserwował, że ten gest zazwyczaj pozwala przesłuchiwanym się nieco rozluźnić. Odzierał go z nieludzkiej surowości służb państwowych.

– Czy coś zwróciło pani uwagę? – zapytał. – Była pani kilkadziesiąt metrów od wejścia do bloku... Po drugiej stronie ulicy.

– Widziałam, jak wysiada z taksówki. Przyjechała akurat wtedy, kiedy rozkładałam tablicę zapraszającą na nasz wieczór...

– Była sama?

– Tak.

Glazur się zasępił. Odsunął się, przepuszczając przygarbionego staruszka. Kelnerka przeprosiła go i podeszła do kasy. Była zdenerwowana. Kilkukrotnie nie mogła wydrukować rachunku. Wreszcie z przepaszającym uśmiechem wydała paragon i obeszła ladę. Ponownie stanęła tuż obok komisarza. Oczekali, aż staruszek zamknie portfel i wyjdzie z restauracji. Trwało to dobrych kilka minut.

– A później? – Glazur utkwiał w niej baczne spojrzenie. – Wchodził ktoś za nią?

– Kręciło się kilka osób, byłam zajęta ulotkami...

– Jest pani sobie w stanie przypomnieć te osoby?

– Raczej nie. – Kelnerka znowu na ułamek sekundy zagryzła usta. – Do pracy nie noszę okularów. Bez tego jestem ślepa jak kret. Nawet jakby tam wchodził Leonardo DiCaprio, tobym go nie poznała

Komisarz nie zareagował na tę uwagę. Nienoszenie przypisanych okularów pasowało mu do tej myszki jak ulał. To dlatego mrużyła oczy.

– Czyli nie zauważyła pani zupełnie nic ciekawego? – Niezadowolony, pokręcił głową. – Wie pani, że zatajanie prawdy to przestępstwo? Można za to trafić do paki...

Ta najbardziej tandetna z gróźb śledczych nadzwyczaj często odnosiła skutek. Kelnerka poczerwieniała i przymknęła oczy, najpewniej szperając w odmętach pamięci. W pewnym momencie, zrezygnowana, cmoknęła.

– Wszystko już pewnie wiadomo... – pisnęła. – Nie widziałam nic niezwykłego...

Glazur nachylił się nad nią.

– Co jest niby wiadome? – warknął. – Proszę mówić o wszystkim, co pani przyjdzie do głowy.

– No, że wcześniej było jakieś spotkanie czy coś.

– To znaczy?

Kelnerka splotła nerwowo dłonie.

– To pewnie bez znaczenia... Ale skoro mam mówić, to... – Dostrzegłszy spojrzenie komisarza, ucięła te usprawiedliwienia. – Widziałam, jak na rogu zatrzymuje się samochód z hasłami wyborczymi.

– Którego sztabu? – natychmiast dopytał Glazur.

## 2.

Glazur dotarł na komisariat tuż przed dziesiątą. Przez całą drogę obmyślał możliwe scenariusze. Każdy z nich przeradzał się ostatecznie w fabułę filmu sensacyjnego albo mrocznego thrillera. W zależności od wersji, bohaterowie działali z plugawych lub szlachetnych pobudek i tworzyli skomplikowane sieci spiskowców. Kiedy zaczął rozważać wątki romansowe, był już w holu głównym komendy. Dywagacje należało

poprzeć konkretnymi dowodami, a żeby je zdobyć, potrzebował zgody inspektora.

Opracował listę narzędzi, za pomocą których mógł odtworzyć tę historię. Billingi, podsłuch, zeznania świadków, najlepiej rodziny, a potem frontalny atak. Przesłuchanie podejrzanego. Jeżeli mieliby kilka choćby najgłupszych poszlak, z całą pewnością złamałyby się. Im ludzie są bardziej pewni siebie, tym łatwiej sprowadzić ich do parteru. Jeżeli ktoś jest pewny swoich możliwości, wystarczy mu pokazać, że nie ma ich zbyt wielu. To właśnie osoby zakompleksione bywają uparte i nieprzejednane, gdyż często jest im już wszystko jedno. Ale politycy nie mogli mieć przecież kompleksów.

Postanowił najpierw zorientować się w sytuacji. Podpytać Konerę, ewentualnie zagadać z Bielskim, a dopiero później iść do Tumskiego. Chciał być przygotowany na kontrargumenty. Nie wiedział, co mogą wyciągnąć tym razem. W raportach, o ile w ogóle coś trafiło na jego biurko, znalazłby tylko sztampe.

Pchnął drzwi do gabinetu sierżantów. W środku było kilka osób, ale jedynie Konera podniósł się i wybąkał powitanie. Z daleka było widać, że ma coś ważnego do powiedzenia. Głupkowato się uśmiechał i kiwał głową jak Żyd podczas modlitwy. Glazur postanowił kazać mu czekać. Nie wszedł do gabinetu, został na korytarzu. Oparł się o ścianę i pociągnął łyk z piersiówki. Dał znać, żeby sierżant jeszcze przez chwilę milczał. W końcu wypuścił powietrze i spojrzał na niego z ciekawością. Na razie nie zamierzał się dzielić swoim odkryciem.

– Hylewicza skierowano na czterotygodniową obserwację u czubków – natychmiast wypalił Konera. – Areszt przyklepany.

Komisarz sapnął. To żadna rewelacja. Tak jak się domyślał, nie było się czym przejmować.

– Wszyscy dalej o tym menelu? – zapytał, kierując się w głąb korytarza. – Cholerna szopka.

– Przyznał się...

– Tak, wiem. I ukradł ze szpitala środek, o którym nikt nie słyszał od dwudziestu lat.

– Czy to ważne?

– A czy ty jesteś idiotą?

Niezrażony Konera poczłapał korytarzem obok Glazura. Ten się nagle zatrzymał. Zauważył, że sierżant przygląda się jego marynarce. Piersiówka przekrzywiła się i uwydatniła w wewnętrznej kieszeni.

– Masz jakiś problem? – zapytał ostro. – Z tym, że mam od chuja wątpliwości? Albo z tym? – Naciągnął marynarkę.

Konera spuścił wzrok.

– Niech pan komisarz da już z tym spokój. Wszystko jest cacy. Sprawa do odłożenia. Poza tym nie warto drażnić inspektora.

– Drażnić?

– No, on chce to zamknąć.

– Wiesz co, Konera? – Glazur dźgnął go palcem w pierś. – Pierdol się, tchórze.

Odwrócił się i ruszył w stronę gabinetu Tumskiego. Odruchowo wyprostował się, przyglądając marynarkę. Piersiówka nadal stanowiła widoczne wybrzuszenie. Rozpiął guzik i wsunął ręce do kieszeni. Tak było lepiej. Zapukał. Nie czekając na pozwolenie, wszedł do środka. Inspektor siedział za biurkiem i przeglądał jakieś papiery. Na widok Glazura odsunął je na bok.

– Komisarz raczył się zjawić! – fuknął z ironią. – Nie dostałeś wypłaty czy co?

– Chodzi o ten zasiłek, który wpływa na moje konto?

– Nie wiem, jak ty to wszystko prze... – Tumski się uśmiechnął – ... jadasz.

Uszczypliwość godna pożałowania. Glazur upewnił się, że piersiówka jest niewidoczna. Nie miał pojęcia, dlaczego silił się na te pozory. Być może chodziło o szacunek wobec stanowiska. W końcu Tumski siedział w fotelu, w którym to on miał wygrzewać swój tyłek.

– Właśnie byłem w terenie – odezwał się rzeczowo. – Rozpytywałem w restauracji naprzeciwko bloku tej kandydatki...

Inspektor z irytacją machnął ręką. Glazur nie zwrócił na to uwagi.

– Niedługo przed jej śmiercią po okolicy kręcił się wóz ze sztabu wyborczego. Zgodnie z naszymi informacjami na tamten wieczór miała zaplanowane nieformalne spotkanie. Być może...

– Masz. – Inspektor podał mu plik kartek. – Zapoznaj się z tym.

Glazur zdębiał. Odruchowo wziął dokumenty i obrócił je w dłoni.



– Co to?

– A umiesz czytać?

Tumski wstał od biurka i podszedł do komisarza.

– To zeznania jakiegoś gówniarza. Twierdzi, że spod domu ukradziono mu nową brykę. Ale tak się składa, że niedawno kurewsko dobrze ją ubezpieczył... Wartość auta razy dwa. Nie ma co dodawać, że chłystek zadaje się z dołkowym towarzystwem i jest już notowany. Chłopaczki chyba wracają do starych, prostych metod...

Glazur wbił w inspektora pytające spojrzenie. Był zdezorientowany.

– Co to ma znaczyć?

– Że masz nie tracić czasu na sprawę tej polityk. – Tumski przyjacielsko położył mu dłoń na ramieniu. – Mamy winnego, więc rusz dupę i zajmij się inną robotą.

### 3.

Ciężko dysząc, Glazur poszedł do swojego gabinetu. Już na korytarzu wychylił połowę piersiówki. Nie zważał, że wypycha ona marynarę, a woń alkoholu niesie się za nim jak obłok dymu za starganym dieslem. Akta zrolował i trzymał niedbale pod pachą. Dlaczego Tumski go nie słuchał? Nie wierzył, że inspektor tak łatwo uległby politycznym naciskom, aby zamknąć sprawę. Chyba że tak zwani oni mieli na niego haki. Albo czymś dobitnie mu zagrozili.

Zawsze najskuteczniejsze były groźby wymierzone w rodzinę. O ile wiedział, Tumski był wdowcem, opiekującym się sporą gromadką podrastających dzieci. Czy to im grożono? Rozmowa, którą podsłuchał poprzedniego dnia, nie wyglądała na nerwową. Przypominała raczej wymianę opinii dobrych kumpli, omawiających plany na wakacje. O właśnie, plany. A gdyby to oni stali za awansem Tumskiego na inspektora? Gdyby tak było, mogliby go kusić dalszymi korzyściami. Scena polityczna stanowiła system naczyń połączonych. Samorządy, szczebel centralny, parlament, wszystko się przenikało.

Głupi był ten, kto wierzył w podziały na rządzących i opozycję. Czasy, kiedy będąc u koryta, należało się nakraść, aby mieć na później, już

minęły. Teraz można było się paść bez przerwy. Mniejsze ilości, ale pochłaniane w dłuższym czasie, mniej bulwersowały opinię publiczną. Środowisko scementowało się i wiedziało, że żyje w symbiozie. Kiedy zmieniali się u żłobu, ci drudzy również dostawali swoje skrawki. Tak naprawdę nikt nie chciał afer. Przynajmniej tych zbyt dużych. Kiedy trafiał się jakiś polityczny outsider i zaczynał węszyć, należało się go jak najszybciej pozbyć.

Paranoja, paranoja...

Komisarz wszedł do gabinetu i zatrzasnął za sobą drzwi. Okna były zamknięte, w środku panował okrutny zaduch. Podszedł do biurka i włączył maleńki wiatraczek. Nachylił się nad nim, ale ledwie czuł, że maszyna porusza powietrze. Wreszcie wziął ją do ręki. Kabel był zbyt krótki, aby z nią chodzić. Skierował powiew na kark, a potem wzdłuż pleców. Odsunął palcem kołnierz koszuli. Zamiast ulgi czuł jedynie nieprzyjemny dreszcz. Rzucił wiatraczek z powrotem na biurko i sięgnął po leżącą na blacie paczkę papierosów. Rozejrzał się za swoim plastikowym kubeczkiem, lecz sprzątaczką musiała go wreszcie wyrzucić. Zamiast uchylić okno, dezorganizowała mu pracę. Mogła się chociaż pofatygować do automatu po nowy.

W paczce zostały już tylko trzy papierosy. W którejś z szuflad miał upchnięty tytoń i bletki. Nie zwijał ich, odkąd zepsuł maszynkę do nabijania i uznał, że szkoda czasu na robienie tego ręcznie. W awaryjnej sytuacji nie miał jednak wyboru. Do kiosku postanowił zajść następnego dnia. Zanim odpalił viceroya, skręcił kilka papierosów i rozłożył je na biurku. W równym rzędku. Podszedł do okna i zdjął z parapetu doniczkę z okrągłym kaktusem. Z zadowoleniem zauważył, że w podstawce zebrało się trochę brudnej wody. Postawił ją na biurku i odpalił papierosa. Pierwszy kłęb dymu rytualnie wymierzył w sufit.

W sfatygowanym notesie wyszukał numer telefonu. Wiedział, że ma go zapisany, ale nie pamiętał, w jaki sposób. Szybko odnalazł hasło „wariatkowo”. Właściwie było jednym z pierwszych, które przyszły mu na myśl. Sięgnął po słuchawkę i wybrał numer.

– Oddział psychiatryczny – zaskrzeczał kobiecy głos.

Przez chwilę zastanowił się, czy nie podać fałszywych danych. Może zostali poinformowani, że będzie dzwonił. Może kazano im wpisać go na

czarną listę? Odsunął te myśli od siebie. Nie powinien wpadać w paranoję.

Jeszcze nie.

– Mówi komisarz Glazur, policja.

– W czym mogę pomóc, komisarzu?

Miły, podejrzenie miły ton.

– Przetransportowano dziś do was niejakiego Hylewicza. Na obserwację.

– Chwileczkę... – Kobieta zapewne sprawdzała to w systemie. Słyszał stukot klawiszy klawiatury. – Tak, został skierowany na oddział – odezwała się po chwili. – Ma już przydzielonego lekarza.

– Mógłbym z nim porozmawiać?

– Z Hylewiczem?

– Na początek z lekarzem.

– Chwileczkę. Przełączam.

W słuchawce rozległo się kliknięcie. Przez kilkadziesiąt sekund nikt się nie odezwał. Glazur miał już ponownie wybrać numer centrali, kiedy powitał go niski, tubalny głos.

– Janczewski, słucham?

Przedstawił się. Lekarz milczał. Czekał, aż komisarz wyłoży sprawę.

– Chciałbym się spotkać z niejakim Hylewiczem. Jest pod pańską opieką.

– Właśnie od niego wracam. – Psychiatra westchnął. – Obawiam się, że dzisiaj to nie będzie możliwe.

– Dlaczego? – Glazur się zaniepokoił. W jego głowie znów zakołatały teorie spiskowe. – Muszę zadać mu kilka pytań.

– Najwcześniej jutro.

– Do cholery, to pilne!

Lekarz zbył go kolejnym westchnięciem.

– Hylewicz dostał okazałą porcję leków – wyjaśnił. – Od rana był pobudzony.

– I co z tego?

– Proszę się zjawić jutro. Postaram się, żeby nadawał się do rozmowy.

Glazur przełknął ślinę. Dopalił papierosa i zgniótł kiepa w plastikowej podstawce. Awanturowanie się nie miało sensu.

– Panie doktorze – odezwał się ugodowym tonem. – Mam prośbę.

– Tak?

– Proszę nie mówić mu o tym, że się zjawię. I w ogóle proszę nikomu nie mówić o tej rozmowie. Oczywiście, dla dobra śledztwa.

– Załatwione.

Lekarz pożegnał się i odłożył słuchawkę. Glazur przez chwilę gapił się w telefon. Wreszcie poruszył się i sięgnął po kolejnego papierosa. Nim go odpalił, wyciągnął z kieszeni piersiówkę. Zerknął na rzucone na boku akta, po czym zepchnął je na podłogę. Kartki pofrunęły na wszystkie strony. Sprawa wyłudzenia odszkodowania nadawała się na piątkowe popołudnie dla Konery, ale nie dla niego. Skoro Tumski zarzucał go takimi śmieciami, musiał mieć w tym swój cel.

W jednej chwili podjął decyzję. Zmiał pustą paczkę i wyrzucił ją do kosza.

Chciał mieć ostateczny dowód. Jeżeli inspektor był czysty, powinien zgodzić się na jego prośbę. Niczym nie ryzykował i mógł mieć go z głowy. W przeciwnym razie jasne będzie, że coś ukrywa. Tym postanowił zająć się później. Do prawdy można było dojść wieloma ścieżkami. Tak samo przez Hylewicza, jak dobierając się do Tumskiego i badając jego rolę w sprawie. Po nitce do kłębka.

Wszystko, co mógł stracić, to posada płotki, której wydawało się, że będzie rekinem. Naiwne pierdolenie marzycieli. Dzieci, które chcą zostać policjantami, marzą o łapaniu przestępców. On marzył, żeby coś znaczyć. A na razie na każdym kroku robiono go na szaro.

Rzucił papierosa na biurko i wyszedł z pokoju. Kilkadziesiąt metrów do gabinetu inspektora pokonał niemalże biegiem. Tym razem nawet nie zapukał. Pchnął drzwi i wszedł do środka. Tumski, wyciągnięty w fotelu, czytał jakąś gazetę. Obrzucił komisarza wściekłym wzrokiem.

– Co ty sobie myślisz?! – wrzasnął, odwracając się w jego stronę. – Mam tolerować...

– Chciałbym spotkać się z tym kandydatem. – Glazur nie dał mu skończyć. – Zadam mu kilka pytań i to wszystko. Odchrzanię się i umyję ręce.

Tumski gwałtownie poczerwieniał. Nabrał głęboko powietrza i powoli je wypuścił. Pohamował pierwszą falę emocji, aby nie powiedzieć zbyt

wiele. Glazur był tego pewny.

– To wykluczone – odezwał się po chwili. – Nie ma takiej możliwości.

– Chciałbym coś wyjaśnić. Nie chcę tego załatwiać przez sztab wyborczy.

– Powiedziałem już. To wykluczone.

Glazur zrobił krok w stronę biurka.

– Dlaczego, inspektorze? Rozwiejemy wątpliwości. To będzie każdemu na rękę...

Tumski wyprostował się. Jego twarz wydała się nieco spokojniejsza. Musiał już opracować dobrą wymówkę.

– Tu nie ma wątpliwości. Nikt nie chce, żeby policja mieszała się do polityki – wycedził, odchylając się w fotelu. – Sprawa jest praktycznie zakończona. Nie będziemy babrać się w kampanii wyborczej, bo wezmą to za naciski.

– Niby czyje?

– MSW, grupy trzymającej władzę, kogokolwiek. Nie muszę ci tego tłumaczyć.

– Ale...

– Żadnego ale!

– Mam uzasadnione wątpliwości co do udziału...

Inspektor znowu poczerwieniał. Z każdą sekundą jego irytacja narastała.

– Nie rozumiesz, Glazur. – Walnął dłonią w biurko. – Jeżeli choćby prywatnie będziesz dalej drażył tę sprawę, wypieprzę cię. Pojąłeś? Po raz ostatni cię ostrzegam.

#### 4.

Tego popołudnia Glazur nie zaszedł do swojej spelunki. Po wybryku z poprzedniego dnia wolał odczekać. Pokiereszowana ręka łysego kutafona była ostatnim, co pamiętał. Niestety. Majaczyły mu się jeszcze wspomnienie opatrującego go barmana i jakiś problem z uregulowaniem rachunku. Ale to już mogła być nadinterpretacja otrzeźwiałego umysłu.

Nie chciał uzupełniać tego obrazu relacją innych. W sumie nie stało się nic nadzwyczajnego.

Pamiętał swojego ojca, który regularnie wracał poobijany, a kolejnego dnia wystawał z tymi samymi typkami. Wieczorem się lali, po południu godzili. I tak dzień w dzień. Nikt nie wzywał policji, nikt się nie obrażał, a jedynym, który tracił na tym zamieszaniu, był młody Glazur. I to tylko dlatego, że akurat jego ojciec był w stanie pokonać. Niepowodzenia na podwórkowym ringu odkupował krótkim pojedynkiem w domu. Nie szukał nawet pretekstu. Matka nigdy nie odezwała się słowem.

Jego niedługo już była żona stanowiła przeciwieństwo teściowej. Broniła syna, odpyskowywała i potrafiła postawić na swoim. Najgorsze, że się nie bała. Nie miała dla męża żadnego respektu, który się mu jako mężczyźnie należał. Podczas rozprawy rozwodowej również umiała wyszczekać swoje potrzeby. Po pierwsze: uzyskanie pełnej władzy rodzicielskiej nad synem. Gówniarz nieuchronnie by się wtedy stoczył i skończył jako wieczny bezrobotny. To Glazur jakoś by przeżył. Najgorsze, że dom, który budował z ojcem, stanowił również jej własność. Wszystko przez ostatni kaprys tatuśka. W testamencie chyba jedynie dla żartu wskazał, że mają go odziedziczyć po połowie. Adwokat twierdził, że nie ma szansy, żeby go z niego wyrzuciła. Spuścił jednak z tonu, kiedy do sprawy rozwodowej dołączono sprawę o znęcanie. Od tego czasu już tak nie szafował zapewnieniami.

W osiedlowym sklepie Glazur kupił papierosy i dwa piwa. W najbliższym czasie i tak musiał się udać na bazar. Kończyły się wódka i spirytus. Przy okazji zamierzał kupić karton białoruskich fajek. Smakowały znacznie gorzej, ale ostatnia podwyżka cen nakłaniała do poświęceń. Nawet jeżeli te kacapy dorzucały do tytoniu szczerze odchody i papier. Nie był smakoszem. Po cygarze wypalonym z okazji awansu na podkomisarza rzygał przez całą noc. Nikt mu nie powiedział, żeby się nie zaciągać. Tacy ludzie jak on nawet w chwilach największych sukcesów stanowili powód do drwin. Chamy i prostaki. Ludzie znikąd. Ludzkie śmieci.

Pomyślał, że kiedy zdechnie, powinien zostać wrzucony do zbiorowej, nieoznaczonej mogiły. Wiedział, że jego śmierć nikogo nie zainteresuje.

Szkoda by było zajmować miejsce na cmentarzu. Truchło rzucone do płytkiego dołu pod murem przynajmniej nie będzie zawadzało.

Mógłby sam zabrać się z tego świata. Przynajmniej raz pokazałby, że ma jaja i potrafi podjąć decyzję. Samobójcy rzadko bywali tchórzami. Zazwyczaj to najdzielniejsi z dzielnych, którzy chcieli po raz ostatni zagrać na nosie wszystkim wokół. Hitler, Göring, Himmler. Przykładowa trójka. Tylko poprawni politycznie imbecyle mogli mówić, że zabili się ze strachu. Czego niby mieli się bać? Tylko Boga? A jednak jak jeden mąż wybrali się do niego przed czasem. Choćby te kilka minut przed, jak Göring, aby jeszcze raz tupnąć nogą. Polska historia знаła równie spektakularne przypadki. Na przykład...

Myśl mu uciekła.

Kiedy przekręcił klucz w drzwiach, uświadomił sobie, że płacze. Łzy połaskotały jego policzki i zatrzymały się na zaroście. Zupełnie tego nie kontrolował. Poczł wściekłość i zawstyżenie. Nie mógł sobie przypomnieć, czy nie mijał przed chwilą któregoś z sąsiadów. Cholerne zero.

Odstawił butelki i zdjął marynarkę. Rzucił ją na krzesło. Piersiówka wypadła z kieszeni na podłogę. Nie podniósł jej. Zdał sobie sprawę, że w przedpokoju nie ma butów jego żony i syna.

Pośpiesznie otworzył szafę. Ze środka zniknęła większość ubrań. Zaklął. Wściekły, obiegł cały dół domu, ale poza nim nie było tam nikogo. Nagle dostrzegł kopertę leżącą na kuchennym stole. Rozdarł ją i wyszarpnął złożoną na pół kartkę.

*Proszę, nie szukaj nas. I tak byśmy się za kilka tygodni rozeszli, więc zróbmy to w spokoju. Dom jest twój. Dla dobra Karola.*

Czy to był jakiś prawniczy podstęp, czy jego żona naprawdę w ten sposób się z nim zegnała? Dwie linijki bazgrołów, nieokraszone choćby inicjałami. Ale na kopertę się wysiliła. Wyrafinowana jędza.

Głazur zmiął kartkę i cisnął nią do zlewu. Głośno dysząc, wrócił po piwo. Otworzył je i przeszedł do salonu. Dopiero teraz uświadomił sobie całą sytuację. Być może właśnie przehandlował dom za syna. W sumie miał to, czego chciał. Albo to, na co przynajmniej mu się wydawało, że jest gotowy. Mimo wszystko nie czuł ani radości, ani ulgi.

Bez problemu znalazłby gnoja. Wystarczyło pójść do szkoły albo...

Nie. Nie zamierzał tego robić.

Zerknął na zegarek. Rozkładając się na sofie, sięgnął po pilota i włączył telewizor. Kiedy stary grat się uruchamiał, wyciągnął paczkę papierosów. Skoro był wreszcie panem swojego domu, mógł sobie pozwolić na fajkę tam, gdzie miał na to ochotę. W końcu miał pewność, że nie usłyszy żadnego marudzenia.

Chrzanić ograniczanie się do gabinetu na komendzie.

W lokalnej emitowali program publicystyczny, który zawsze go nużył. Gdyby prowadziła go czarnulka, być może stałyby się jego wiernym widzem, ale gogusiowaty redaktor tylko go wkurwiał. Mimo to nie zmienił stacji. Goguś mówił o czymś, co go bardzo zaciekało.

*Najnowszy sondaż przeprowadzony na nasze zlecenie nie jest zaskoczeniem. Ostatnie wydarzenia przetasowały układ sił w wyborach samorządowych. Wydaje się, że już niewiele może się zmienić. Oczywiście, pod warunkiem, że nie wydarzy się nic nieoczekiwanego. Co pan o tym sądzi?*



## DZIEŃ CZWARTY

### 1.

Glazur obudził się na potwornym kacu. Odkąd codziennie pił, jeszcze nie czuł się tak okropnie. Przy łóżku leżały opróżniona butelka ukraińskiej wódki i stos petowanych o podłogę papierosów. To one musiały go tak załatwić. Dobrze, że nie puścił z dymem całego domu. Choć szkoda by było jedynie ojcowskiej roboty.

Otworzył okno i łapczywie zaczerpnął świeżego powietrza. Zapowiadał się kolejny dzień duchoty i potwornych upałów. Najgorzej, że nigdzie nie znalazł chociażby kropli piwa. Dwie butelki były całkowicie wyschnięte. Dopiero po obchodzie całego domu uświadomił sobie, że jego żona i syn nie wyszli rano, każde w swoją stronę, ale wczoraj definitywnie kopnęli go w dupę.

Nie miał ochoty na jedzenie. Wziął długi prysznic i z trudem utrzymując równowagę, ubrał się. Ból rozsadzał mu głowę. Miał wrażenie, że jego mózg szarpią rozpalone kleszcze, a gardło szoruje papier ścierny. Łyknął dwie aspiryny i zapił je kilkoma szklankami wody. Wreszcie, rozdrażniony jej nalewaniem, podłożył głowę pod kran i pił dalej. Nie mógł ugasić pragnienia.

Minęła ósma. Powinien już być na komisariacie, ale nie przejmował się tym. Miał inne plany. Wyczuwał, że Tumski z radością przyjmie jego spóźnienie. Nie był głupi i wiedział o jego przeciągającym się romansie z alkoholem. Po wczorajszym nie zaryzykowałby zbyt wiele, obstawiając, że Glazur porządnie się schleje. Ale był człowiekiem małej wiary. Z całą

pewnością nie spodziewał się, że komisarz zdoła wstać na kacu gigancie i robić swoje, na przekór żalonym pogrożkom.

Droga do zakładu psychiatrycznego nie była prosta i wymagała przesiadki. Dopiero w drugim autobusie Glazur zorientował się, że zapomniał piersiówki. Wpadł w panikę. Przez chwilę chciał wracać, ale w tym czasie Hylewicza mogliby znowu nafaszerować lekami. Przeliczył pieniądze w portfelu. Z zadowoleniem stwierdził, że powinno starczyć na kilka małek i może coś jeszcze. Nieważne, że na razie jego organizm domagał się przede wszystkim wody. Chodziło o samą świadomość bycia zabezpieczonym. Może dlatego nigdy nie rozumiał seksu przerywanego? Poza tym drzenie rąk wciąż się nasilało i nie była to kwestia kaca.

Nagle autobus przyhamował. Szarpnięcie wymieszało wszystko, co miał jeszcze w żołądku, i podepchnęło mu to pod gardło. Nie mógł tego powstrzymać. Zwymiotował prosto na siedzenie naprzeciwko. Na całe szczęście było puste. Rozłożył szeroko nogi, aby rzygowiny nie polały mu się po spodniach. Ludzie wokół odsunęli się zniesmaczeni.

Wbił wzrok w podłogę i wstał z miejsca. Podtrzymując się kolejnych oparć, przeszedł do wyjścia. Zostały mu jeszcze dwa albo trzy przystanki. Postanowił pokonać je na piechotę. Jak oparzony wyskoczył z autobusu, kiedy tylko rozsunęły się drzwi. Przy ulicy nie było żadnego kiosku, w którym mógłby kupić choćby gumę do żucia. Szkoła, boisko, a dalej tereny przykościelne. Czekają go dwadzieścia minut marszu w pełnym słońcu i temperaturze przypominającej sierpniowe upały w Afryce. Pochylił się, jakby walczył z burzą piaskową. Z zaciśniętymi zębami krok po kroku brnął do celu.

Kiedy znalazł się na miejscu, był doszczętnie zlany potem. W stróżówce ośrodka wartownik dwa razy sprawdzał jego legitymację, przenosząc wzrok z twarzy na zdjęcie. Wreszcie przepuścił go, obdarzając współczującym spojrzeniem.

Na oddziale obserwacyjnym wcześniej był kilka razy. Po drodze, o dziwo, nie zgubił się i wkrótce stanął przed wskazanym gabinetem. Zapukał. W tym samym momencie drzwi się otworzyły i na korytarz wyszedł wysoki, smagły mężczyzna. Bardziej przypominał Muhammada albo Abdullaha, ale plakietka stwierdzała jednoznacznie. Doktor Aleksander Janczewski.

– Glazur – przywitał się.

Lekarz obrzucił go badawczym spojrzeniem, jednak niczego nie skomentował. Również się przedstawił i ruszył wzdłuż szeregu pozamykanych sal. Po drodze obdarzył uśmiechem cycatą pielęgniarkę. Najwyraźniej komisarz miał iść za nim.

– Umyślnie go niczym nie szprycowałem – odezwał się, stając przed rozsuwanymi drzwiami. – Jest po nocy jedynie na lekkim uspokajającym. Ale to nie będzie miało wpływu na jego zachowanie.

– Pierwsze obserwacje?

– Po takim czasie?

Lekarz cmoknął, podkreślając, jak infantylne było pytanie komisarza. Ten nie miał nawet siły na ripostę.

– Proszę, jest w środku. – Przepuścił Glazura i stanął tuż obok drzwi.

– Kiedy już pan skończy, wystarczy nacisnąć dzwonek. Po chwili ktoś pana wypuści.

– Jasne.

– Nie został sklasyfikowany jako niebezpieczny – dorzucił Janczewski, wychodząc. – Przynajmniej na razie.

Glazur wszedł do środka. Cała sala miała kilka metrów kwadratowych, mieściły się w niej jednak kącik sanitarny i maleńkie, zakratowane okno. Hylewicz leżał na wąskiej prycy. Podniósł z zaciekawieniem głowę, ale się nie odezwał. Przypominał rzuconą w kąt, uszkodzoną marionetkę. Na tle białego prześcieradła jego rude włosy wydawały się niemal czerwone, a szczupła sylwetka przypominała poskręcane ciała ofiar obozów koncentracyjnych. Jednak spojrzenie miał czujne i przenikliwe.

– Pan komisarz! – odezwał się, kiedy Glazur usiłował wyciągnąć taboret zza szafki.

– Pamiętasz mnie?

– Oczywiście. – Hylewicz podciągnął się na łóżku i klepnął dłonią w materac. – Niech pan da spokój z tym krzesłem. Jest tam przytwierdzone na amen, na wypadek, gdyby ktoś chciał się wieszać. Ponad nim sufit jest pusty.

Komisarz zerknął w górę. Rzeczywiście, w pobliżu taboretu nie było niczego, za co można by przerzucić linę, pasek od spodni czy

prześcieradło. Tylko po co siadać bokiem do szafki? Otarł pot z czoła i usiadł na stołku okrakiem. Oparł rękę o zagłówek. Przez chwilę mierzył wzrokiem Hylewicza, starając się uspokoić gonitwę myśli. Miał ochotę napić się wody prosto z kranu.

Marzył o tym.

– Jesteś lewakiem czy po prostu komuchem? – zagaił. – A może faszystą? O związki z terrorystami cię nie podejrzewam, ale patrząc na personel...

Hylewicz przeciągnął się i usiadł na łóżku. Założył włosy za uszy.

– Myśli pan, że to takie proste?

– Nie wiem. Ty mi powiedz.

– Rozmowa na ty to jakaś technika śledcza czy po prostu tak pan ma?

Nim Glazur zdążył coś odpowiedzieć, rudzielec machnął od niechcienia ręką.

– Nie chodziło o konkretnego polityka – zaczął sam z siebie. – Otaczają nas zakłamanie i hipokryzja. Marność elit jest zatrwazająca. Wie pan, że jeden procent populacji ma więcej forsy niż pozostała jej część? To ten jeden procent decyduje, kto i kiedy wygra wybory. Nie tylko te najważniejsze, lecz także tak błahe jak te, które mają się odbyć. Chodzi o pewną koincydencję. Nie wiem, czy pan to rozumie. Ich macki można przerwać jedynie przez nieoczekiwane ciosy, zadawane w chwili, gdy myślą, że znowu wygrali. Tylko wtedy możliwe jest powstrzymanie ich planów.

Glazur z każdym słowem czuł narastającą irytację. Razem z bólem głowy rozsadały mu czaszkę, tym bardziej, że Hylewicz nie mówił jak menel spod budki z piwem, a raczej jak wykładowca akademicki. Filozofii albo innego gówna. Wreszcie, kiedy podejrzany przerwał, aby odetchnąć, komisarz wybuchnął.

– Co ty pierdolisz?! – Uderzył się palcem w czoło. – Sam w to nie wierzysz. Kto ci naopowiadał tych bzdur?

Hylewicz uśmiechnął się.

– Nie wygląda pan na takiego, który ma klapki na oczach, komisarzu – powiedział spokojnie. – Wszyscy wiedzą, że policjanci nie stronią od kieliszka. Ale pan jest na totalnym kacu w środku tygodnia. A może jest pan jeszcze pijany? Obstawiałbym to drugie. Na komisariacie sprawiał

pan wrażenie odseparowanego. Konwencje nie były dla pana żadną przeszkodą.

Glazur poderwał się z taboretu i podszedł w stronę łóżka. Nawet się nie zatoczył.

– Posłuchaj, świrze, co oni ci obiecali za takie gadanie? – parsknął. – Myślisz, że wyjdiesz za kilka lat i dostaniesz domek na Karaibach? Worek pieniędzy?

Hylewicz nie odpowiedział. Intensywnie, nerwowo zamrugął.

– Gównu dostaniesz – ciągnął Glazur. – Jeżeli orzekną, że rzeczywiście jesteś czubem, będziesz tu dogorywał. Jeżeli tylko udajesz, dostaniesz dożywocie i w najlepszym razie wyjdiesz za jakieś dwadzieścia lat. Ile masz teraz? Co?

– Trzydzieści siedem.

– Wyobrażasz sobie, że połowę z tego spędzasz w kiciu? Jako cwel szorujący językiem kible?

– Nie obchodzi mnie to.

– Myślisz, że napiszą o tobie w podręcznikach?

Hylewicz wydał wargi. Sprawiał wrażenie głęboko znudzonego.

– Wątpię. Nie mogłem nawet porozmawiać z dziennikarzami.

– Rozmawiasz ze mną. – Glazur intuicyjnie wyczuł szansę. – Twoja historia może jeszcze wyjść poza te cztery zafajdane ściany.

– Nie ma w niej nic ciekawego.

– Ale chciałeś ją opowiedzieć.

– To pana zżera ciekawość, komisarzu. Co chciałby pan wiedzieć?

– Jak to niby zrobiłeś? – Glazur natychmiast zaatakował. – Jak udało ci się wejść do tego mieszkania?

– Każdy polityk zaryzykuje życiem dla kilku procent poparcia.

– I tym ją zwiodłeś?

– Mhm.

Cierpliwie zastawiał swoją pułapkę. Czuł, że Hylewicz skusi się na ochłap rzuconego mięsa.

– Skąd wiedziałeś, że ten proszek nie wejdzie w reakcję z winem i nie zmieni koloru? – zapytał, splatając dłonie. – Albo chociaż się nie zapieni?

Podjezrzany wzruszył ramionami.

– Po prostu. Sprawdziłem to wcześniej.

Bingo! Sukinsyny nie nauczyły go takich szczegółów. Kazali mu mówić o barbituranach, ale nie powiedzieli, że rozpuszczono je w zwykłej wodzie. Uśmiechnął się tryumfalnie. Przeciągnął dłonią po zaroście i pokręcił głową.

– Jesteś idiotą – wyszeptał. – Cholernym, bezgranicznym idiotą.

Hylewicz domyślił się, że popełnił jakiś błąd. Poruszył się i przeczesał palcami włosy.

– Szybko klasyfikuje pan ludzi – mruknął. – Dopiero co byłem tylko świrem.

– Więc dlaczego dajesz się zrobić?

– Niech pan sobie daruje...

Głazur oparł się ręką o ścianę. Zerknął przez okno. Dostrzegł jedynie błękitne, bezchmurne niebo.

– Co może być ważniejsze od wolności? – zapytał, nie odwracając się.

– Nic – odparł Hylewicz. – Ale wolności nikt nie może mi zabrać.

– Powinien tu gnić ktoś inny.

Hylewicz wyciągnął się na łóżku. Oparł głowę na poduszce i zamknął oczy.

– Czy to ważne, czy to ja ją zabiłem? Nie powinno to pana w ogóle interesować. Sprawa trafi na półkę z innymi rozwiązanymi, a statystyka będzie się zgadzać. Powinien być pan nawet zadowolony.

– Interesują mnie fakty. Nie domysły.

– Może to byłem ja, a może ktoś inny. Może umyślnie wzbudzam w panu wątpliwości. Może, może... Ale powiem panu, co się z całą pewnością wydarzy.

Głazur sapnął. Spodziewał się kolejnego steku bzdur. Jednak z twarzy Hylewicza zniknął ironiczny uśmiezek, a zastąpiła go śmiertelna powaga. Otworzył oczy.

– Dzisiaj ktoś zginie – oznajmił. – Za kilka godzin.

## 2.

Hylewicz nie odezwał się więcej ani słowem. Ponownie zamknął oczy i zapadł w półsen. Prośby i groźby nie odniosły żadnego skutku.

Glazurowi nie pozostało nic innego jak wrócić na komisariat. Nie wiedział, co myśleć o całej rozmowie, ale przynajmniej już nie był taki pewny, że mężczyzna jest jedynie ofiarą szantażu lub manipulacji. Chciał sprawiać wrażenie, że wie znacznie więcej, niż zdradził. Jednakże jego słowa brzmiały też wystarczająco dwuznacznie, aby dorobić do nich niezwykłą otoczkę.

Ktoś zginie.

To było pewne. W wypadku drogowym, kąpiąc się po pijaku w Wiśle, rażony piorunem. Codziennie nienaturalną śmiercią ginęło kilkaset osób. Tylko znikomy ich procent na skutek morderstwa.

Ktoś zginie.

Ktoś związany ze śmiercią kandydatki? A może inny polityk? Hylewicz mógł go jedynie mamić, zaciemniać obraz sprawy i wzbudzać niepotrzebne domysły. Musiał dowiedzieć się o nim więcej. Wyglądał na opętanego masona lub innego świrniętego iluminatę, ale nie wydawał się groźny. Kiedy zobaczył go po raz pierwszy, błędnie wziął go za półgłówka. Może miał przed nim odegrać taką rolę?

Glazur porzucił te pytania, gdyż zobaczył szyld sklepu monopolowego. Czuł się już znacznie lepiej i potrzebował ostatecznej odtrutki. Kupił setkę porzeczkowej, ale nie wypił jej od razu. Schował do kieszeni, ciesząc się z krzepiącego towarzystwa buteleczki. Musiał oszczędzać.

Na komisariat dotarł tuż przed jedenastą. Dwa razy przemierzył główny korytarz, zastanawiając się, co robić. Gdyby tylko miał nagraną rozmowę z Hylewiczem, sprawa wyglądałaby całkowicie inaczej.

Swoim zwyczajem wywołał Konerę z gabinetu i poprowadził go w stronę klatki schodowej. Obawiał się, że w jego biurze mógł być podsłuch. Paranoja narastała w nim od lat. Zatrzymał się przy wielkiej donicy z juką. Przesunął ją i otworzył na oścież okno. Do środka wpadł powiew rozgrzanego powietrza.

– Co wiemy o tym Hylewiczu? – zapytał.

Sierżant włożył ręce do kieszeni. Nie ukrywał, że ten temat go drażni.

– Niewiele. Jest bezrobotny, żyje z zasiłku. Przez jakiś czas zajmował się fotografią i miał studio. Rzucił to i zamieszkał z chorą matką.

– Tylko tyle?

– Więcej jest w raporcie i danych osobowych.

Glazur zmrużył oczy.

– Obraziłeś się za tego tchórza, co? – zapytał z pogardą.

– Nie wiem, o czym pan komisarz mówi.

– Dobrze wiesz.

– Przepraszam, ale jestem zajęty. – Konera zrobił krok w stronę drzwi.

– Pieprzę się z tym wyłudzeniem ubezpieczenia.

– Przekazali ci to?

– Sam mi pan to dał. – Sierżant westchnął. – Wysłałem posterunkowego Olepę na wycieczkę po warsztatach...

Glazur zaczerpnął powietrza. Po raz kolejny nie pamiętał czegoś, co miało miejsce w komisariacie. Nie zamierzał zgłębiać tematu.

– Niech będzie. – Zamknął z trzaskiem okno. – Wracaj do roboty.

Kiedy tylko Konera odszedł, Glazur wyciągnął z kieszeni buteleczkę. Leżała w ręce lepiej niż piersiówka. Wychylił ją jednym haustem i odstawił na parapet. Powinien był to zrobić dużo wcześniej. Poczł natychmiastowy przypływ energii, a uczucie ciężkości w żołądku zniknęło. Jeżeli zwałił swoją robotę na sierżanta, to wszystko dobrze działało. Porzeczkowa ugasiła pragnienie i pozostawiła przyjemny posmak w ustach.

Ruszył w stronę swojego gabinetu. Postanowił wreszcie przejrzeć raporty.

Gdy minął windy, dogoniła go posterunkowa Szacka. Najwyraźniej Konera obwieścił wszem wobec, że Glazur jest na komisariacie. Szacka była jedną z tych kobiet, które powinny urodzić się mężczyzną. Krótkie nogi, szerokie ramiona i okrągła, wielka gęba. Włosy, oczywiście, ostrzyżone na krótko.

– Inspektor Tumski pana szuka – odezwała się niskim głosem.

– Jak widać, skutecznie – mruknął Glazur.

– Ma się komisarz stawić do jego gabinetu. Dzwoniliśmy na komórkę...

No tak. Od dwóch dni miał wyłączony telefon. Zresztą zostawił go w domu.

– Coś jeszcze?

Posterunkowa nie dawała za wygraną.

– To pilne. Kazał mi...



– No dobrze, już dobrze. – Glazur skręcił w stronę biura Tumskiego. – Możecie już iść, nie ucieknę.

Szacka odprowadziła go wzrokiem, jakby wcale nie była tego pewna. Komisarz zatrzymał się przed drzwiami szefa i poprawił marynarkę. Sprawdził, czy na butach nie ma resztek wymiocin. Na szczęście był względnie czysty. Czyżby Tumski dowiedział się o jego wizycie w szpitalu? Zaraz się o tym powinien przekonać.

Zapukał i wszedł do środka. Wszędzie unosił się gęsty, gryzący dym. Inspektor palił cygaro. Pewnie dostał je od delegacji, która jakiś czas temu była na Kubie. Jakby współpraca z tym krajem miała jakiegokolwiek znaczenie.

Odłożył je do popielniczki i wskazał Glazurowi krzesło. Nie wyglądał na wkurwionego, raczej na rozluźnionego i zadowolonego. Ile szczęścia potrafiło dać cygaro nawet największym bucom.

– To ty zajmowałeś się grupą Szrepskiego – odezwał się, kiedy komisarz usiadł. – Dobrze pamiętam?

Glazur skinął głową. Grupa Szrepskiego była niewielkim gangiem składającym się z kilkunastu Polaków, Ukraińców i Białorusinów. Działała na terenie całego kraju, specjalizowała się przede wszystkim w obrocie podrabianymi antykami. W fabrykach za wschodnią granicą powstawały mierne kopie zabytkowych zegarków, białej broni, a nawet mebli. Oblepiano je certyfikatami autentyczności wystawionymi przez nieistniejących specjalistów i sprzedawano w każdy możliwy sposób. Do kiepskich antykwariatów, na giełdach staroci, w internecie. Dziesiątki nowobogackich biznesmenów nabyło do swoich kolekcji nic niewarte podróbki. Oczywiście, sownie za nie płacąc.

– Wygląda na to, że część z tych gnojków wróciła na rynek – ciągnął Tumski. – Chłopaki z łódzkiej ich obserwują. A ty najlepiej orientujesz się, kto z kim i jak.

Glazur wiedział, do czego zmierza inspektor. Założył ręce pod pachy, ale nie odezwał się. Rybie oczka jego przełożonego zdradzały skrajne zadowolenie.

– Jeszcze dziś pojedziesz z Konerą do Łodzi. To rozkaz.

### 3.

Glazur nie był ani wściekły, ani choćby zdziwiony. Delegacja została zaplanowana na trzy dni, co nie było tragedią. Z dodatku wyjazdowego będzie mógł sobie kupić porządniejszą wóde. Albo nawet cygaro; takie, jakie palił Tumski. W końcu już wiedział, żeby się nie zaciągać. Do tego w pakiecie były niezły hotel i zapewne jedna lub dwie zakrapiane kolacje. Jeżeli inspektor myślał, że w ten sposób pozbędzie się problemu, tkwił w błędzie. Komisarz nie da sobie tak łatwo zamknąć ust. Naje się, pokorzysta na całego i wróci do sprawy. O ile Hylewicz nie ściemniał, do tego czasu będą mieli kolejnego trupa. To powinno wywołać kurewski burdel, a wtedy, miał nadzieję, sami zamarzą o jego powrocie. Wpadki podczas podobnych śledztw były bardzo medialne. Każdy błąd mógł kosztować głowę. W tym przypadku jako pierwszy na szafot trafiłby Tumski. A wówczas...

Glazur odsunął od siebie te myśli. Musiał spakować najważniejsze rzeczy, a za godzinę miał zjawić się Konera. Gówniany był z niego kierowca, ale chociaż trzeźwy. Nie miał smykałki do szybkiej jazdy, co komisarza niezmiennie nudziło. Przepisowa jazda pasowała do księdza, a nie do policjanta.

Odnalazł torbę podróżną i wrzucił do niej cały zapas zgromadzonego w domu alkoholu, nieotwierane pół litra spirytusu i resztkę wódki. Na wierzchu ułożył pustą piersiówkę.

Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że nikt go nie żegnał. Zostawiał całkiem pusty dom i wyjeżdżał. Nikt nie będzie na niego czekał, do niego dzwonił ani za nim tęsknił. Nikt nawet się nie dowie, że go tu nie ma. Nawet gdyby chciał skontaktować się z synem, nie miał pojęcia, gdzie zabrała go ta jędza. Pewnie do swojej matki-dewiantki albo Piździuni. Piździunia była jej jedyną przyjaciółką i dysponowała sporym mieszkaniem. Innych możliwości nie było. Odnalazłby ich w mgnieniu oka. Miał jednak wrażenie, że wrócą. A może była to tylko nadzieja?

Zaklął.

Wyciągnął z torby otwartą butelkę i pociągnął łyk. Za drugim podejściem opróżnił ją do końca.

Odszukał komórkę, włączył ją i schował do kieszeni. Zawsze mu przeszkadzała. Teraz wołał ją jednak mieć przy sobie. Może wrócą i będą chcieli się z nim skontaktować? Dlatego przezornie dorzucił do bagażu ładowarkę.

Kiedy usłyszał trąbienie, był już gotowy. Zarzucił torbę na ramię, zamknął starannie drzwi i ruszył w stronę nieoznakowanej alfy. Najnowszy nabytek komendy prezentował się całkiem imponująco. Co z tego, skoro Konera nie wykorzysta nawet połowy jego mocy?

– Tumski zgodził się, żebyśmy przekazali sprawę tych odszkodowań – powiedział sierżant na powitanie. – Mamy zająć się tylko tymi od Szrepskiego.

Glazur upchnął na tył torbę i rozłożył się w skórzanym fotelu.

– On jeszcze siedzi?

– Tak. Ubiega się o przedterminowe.

– A ten jego kuzyn?

– Lalek?

– Tak, Lalek.

Jak mógł być pomocny, skoro wszystko mu się myliło? Sprawę prowadził w trzeźwym okresie życia, lecz teraz pamiętał ją jak przez mgłę.

– Właśnie go obserwują. Mają podsłuchane rozmowy z kilkoma innymi, w tym z Ukraincami.

– Wystąpili do Rezunów o pomoc?

– Nie wiem, ale na granicy został zatrzymany transport, który jechał na zamówienie Lalka.

– I co w nim było? – Glazur skierował nadmuch na siebie. – Zegarki?

– Ikony – odparł Konera.

– Słucham?

– No, te wschodnie święte obrazki.

Komisarz zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

– Wiem, do cholery, co to są ikony – warknął. – Wcześniej się tym nie zajmowali.

– Albo o tym nie wiedzieliśmy...

Konera wyjechał na drogę krajową i przyspieszył. Przekroczył dopuszczalną prędkość o całe dziesięć lub piętnaście kilometrów.

Najwidoczniej tkwiła w nim głęboko ukryta żyłka rajdowca. Dobrze się skończyło, kiedy utkwili w gigantycznym korku. Mogli wcześniej sprawdzić, gdzie są roboty drogowe. Włączanie koguta nie miało sensu. I tak by się nie precyzyjnie. Mogli zjechać na wertepy, ale nisko zawieszona alfa zgubiłaby pewnie na nich podwozie. Nie spieszyło im się. Oddawali atmosferze wyziewy benzyny opłaconej z kieszeni podatnika.

Przez ponad godzinę jechali w milczeniu, metr po metrze. Na całe szczęście działała klimatyzacja, a fotele były anielsko wygodne. Może Włosi nie byli mistrzami mechaniki, ale na wygodzie ponad wszelką wątpliwość się znali.

Kiedy wreszcie ruch się upłynął, Glazur dostrzegł na poboczu niewielką knajpę.

– Zatrzymaj się – nakazał. – Muszę się wysikać.

Konera bez słowa zajechał na wyłożony kostką parking. Stały na nim jedynie dwa samochody. Lokal z zewnątrz prezentował się obskurnie i nie przyciągał klientów. Obłazące ze ścian płyty farby, wyblakłe od słońca banery reklamowe, wielka dziurawa parasolka z logo koncernu browarowego. W środku nie mogło być lepiej.

Glazur wiedział, że alkohol w takich miejscach nie był tani, lecz wolał mieć coś w zanadrzu. Gdyby po drodze nie trafili już na żadną stację, skończyłby z marnym zapasem. Na jeden wieczór, a może nawet i nie. Nie znał Łodzi i nie miał najmniejszej ochoty na nocne poszukiwania całodobowego monopolowego. Jego jedyna przygoda z tym miastem miała miejsce jakieś dwadzieścia lat temu. Wtedy nazwałby ją stolicą polskiego pijaństwa, ale ponoć czasy się zmieniały...

Najpierw skorzystał z toalety. Obmył twarz zimną wodą, zwilżył kark i się wysikał.

Kiedy tylko wyszedł z łazienki, poczuł wibrację telefonu. Czyżby jego żona już wróciła do domu? Uśmiechnął się, powoli wyciągając z kieszeni komórkę. Nie spieszył się. Był panem sytuacji. Jeżeli ta zołza się rozłączy, to od niego będzie zależało, czy łaskawie oddzwoni. Zerknął na wyświetlacz i, zaskoczony, westchnął. Posterunkowa Szacka. Nawet nie pamiętał, kiedy zapisał jej numer. Czego mogła chcieć? Jak na jeden dzień miał z nią aż nadto do czynienia.

– Słucham? – rzucił do aparatu.

Posterunkowa w kilku słowach przekazała mu wiadomość. Jej głos do takich informacji pasował jak ulał. Glazur oprzytomniał dopiero po chwili.

– Co, kurwa?! – wykrzyknął.

Nie sądził, że słowa Hylewicza spełnią się tak szybko.

#### 4.

– Hylewicz popełnił samobójstwo – powtórzyła Szacka.

Glazur z trudem złapał powietrze.

– Jakim sposobem, do diabła?

– Powiesił się. W swojej sali.

– Powiesił się?

– Powiesił.

Rozmowa przypominała głuchy telefon, ale komisarz nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Ktoś dowiedział się, że Hylewicz z nim rozmawiał, więc się go pozbyto. To było oczywiste.

– Kto pojechał na miejsce?

– Komisarz Bielski. Tylko on był na komendzie.

– Wspaniale...

– Słucham?

Nie odpowiedział. Bielski stał się człowiekiem Tumskiego od czarnej roboty. Jego natomiast umyślnie wysłano daleko od komendy. Musiał stanowić zagrożenie. Musieli się go obawiać. Nie wiedział tylko, czy we wszystko jest zamieszany Konera. Od kilku dni zachowywał się podejrzanie. W jego uległości kryło się coś podstępnego. Na przemian przymilał się i pyskował. Poza tym już na oględzinach mieszkania ofiary wydawał się jedynie znudzony. Gówniarz, który do tej pory żył każdą sprawą o byle kradzież. Najpierw święcie wierzył w wersję o samobójstwie, a później bezwarunkowo skazywał Hylewicza. A Szacka?

– Dlaczego do mnie z tym zadzwoniłyście? – zapytał podejrzliwie.

– To w końcu pańska sprawa, prawda? – odparła posterunkowa. – Uznałam, że powinien pan komisarz wiedzieć.

Brzmiała naturalnie, ale nie mógł jej wierzyć. Rozłączył się. Pobiegł na parking i dopadł do samochodu. Konera siedział przy otwartych drzwiach. Przełączał jakieś guziki na kierownicy.

– Kiedy dowiedziałeś się, że mamy jechać do Łodzi? – wysapał Glazur.  
– Kto ci o tym powiedział?

Sierżant spojrzał na niego zdziwiony.

– Od Tumskiego, a później pan komisarz...

– Kłamiesz!

– Co, proszę?

– Odwiozłeś mnie z komisariatu do domu, wróciłeś po niecałej godzinie! – Glazur wrzeszczał na cały parking. – Żeby dojechać ode mnie do twojego mieszkania potrzeba co najmniej dwudziestu minut. Były korki. Masz z tyłu wielką walizę. Kiedy niby zdążyłeś się spakować?

Konera wysiadł z auta i stanął naprzeciwko komisarza. Był od niego wyższy o głowę.

– Wszystko zajęło mi prawie dwie godziny – powiedział. – Spieszyłem się.

– Ty cholerny gnoju...

Glazur zerknął na zegarek. Starał się poskładać strzępki informacji. Byli w trasie od prawie dwóch godzin, a w domu załapał się na popołudniowe *Wiadomości*. Puścił je w tle, szukając zapasów alkoholu. W komisariacie tkwił jeszcze o czternastej trzydzieści, kiedy niektórzy policjanci udawali się na obiad. Minął ich, kierując się do wyjścia. Musiał mieć rację. Złapał sierżanta za koszulę i pchnął go na samochód.

– Dałeś im się w to wmanewrować – wysyczał. – Tobie też Tumski coś obiecał? A może ktoś jeszcze wyżej?

Konera podniósł ręce. Nie miał zamiaru się szarpać.

– Popada pan w paranoję. Niech mnie pan puści.

– Ty żałosny gnoju!

Glazur chciał go uderzyć, ale sierżant się uchylił. Odepchnął komisarza i podciął mu nogi. Ten z głuchym łoskotem wylądował na ziemi. Spowolniony refleks nie pozwolił mu w porę zamortyzować upadku. Rąbnął twarzą o betonową kostkę i poczuł, że momentalnie zalewa go krew. Zdołał się jedynie przekręcić na bok. Przed oczami zamajaczyły mu mroczki.

– Niech się pan pierdoli – warknął Konera. – Naprawdę. Niech pan skorzysta z terapii, a potem się pierdoli.

Sierżant odwrócił się i wsiadł do samochodu. Po chwili ze środka wyleciała torba Glazura.

## DZIEŃ PIĄTY

Leżał spętany. Przeguby rąk i kostki stóp miał skrępowane skórzanymi pasami. Nie mógł się poruszyć. Nie mógł nawet drgnąć ani wierzgać, jak zwierzę usidłone we wnykach.

Był całkowicie bezbronny.

Łapczywie zaczerpnął powietrza. Ruch klatki piersiowej stanowił największy gest swobody, na jaki był w stanie się zdobyć. Cienka biała koszula napięła się. Nawet ona ograniczała mu ruchy. Wrzynała się pod pachami i owijała wokół szyi. Nie mógł tego zobaczyć, ale czuł na niej węzeł. Czuł, że założono mu szorstką obrozę. Był niewolnikiem.

Szarpnął dłońmi. Nic. Napinając kark, uniósł głowę i przyjrzał się metalowym klamrom. W miejscu, gdzie były przymocowane do pasów, zgromadziła się rdza. Pot przyspieszała korozję. Dlatego kajdanki już kilkadziesiąt lat temu zaczęto pokrywać specjalnymi oksydami. Szarpnął jeszcze raz, ale klamry nie drgnęły. Były zbyt grube, aby niezauważenie przerdzewieć. Może za jakiś czas... Na pewno nie dożyje tej chwili.

W pomieszczeniu panował półmrok. Paliła się tylko jedna lampa z kilkoma jarzeniówkami. Dawała niewiele światła, skierowanego raczej na drzwi niż na niego. Ściany pomalowano białą farbą, która z upływem lat nabrała żółtawego odcienia. Sufit był natomiast monotonicznie szary, jakby pozostawiono na nim cementową zaprawę.

Kątem oka dostrzegł, że nad nim znajduje się okno. Odbijały się w nim światła i nic więcej. O szybę dudnił wiatr. Silne porywy co chwilę, jęcząc, przenikały przez stare uszczelki. Wzdłuż kręgosłupa przebiegły mu ciarki. Nie z zimna, ale ze strachu.

Chciał przełknąć ślinę. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że w ustach ma drewniany kołek. To przewiązany przez niego sznur obiegał szyję



i wżynał się w kark. Czuł jego chropowatą suchość. Bolała go szczęka. Przez wiele godzin musiał konwulsyjnie zaciskać na nim zęby.

Zza solidnych metalowych drzwi dobiegł go stłumiony głos. Wyteżył słuch, ale wokół znowu panowała grobowa cisza, przerywana miarowym zawodzeniem wiatru.

Nagle rozległo się metaliczne brzęknięcie. Zaświdrowało mu w uszach i rozpląnęło się po całym ciele, aż do palców stóp. Otworzyły się drzwi. Chwilę później do pomieszczenia weszło dwóch mężczyzn w białych kitlach. Obaj byli wysocy i mieli zarost, za to różnili się wiekiem. Młodszy mógłby być synem starszego. Miarowym krokiem zbliżyli się do łóżka, jakby podchodzili do katafalku, na którym położono nieboszczyka. Zatrzymali się obok niego i wymienili spojrzenia.

Młodszy mężczyzna sięgnął gdzieś za jego głowę. Ucisk wokół karku zelżał i wreszcie mógł wypluć knebel. Poruszył dla rozluźnienia szczęka. Była zdrewniała.

– Krzyczał pan przez całą noc, musieliśmy to założyć... – odezwał się starszy. – Raczej pan tego nie pamięta. Leki działają po czasie.

– Dla... Dlaczego?

Glazur przełknął w końcu ślinę.

– Pobił pan sanitariusza.

– Co wy opowiadacie? – Szarpnął się, a klamerki brzęknęły o łóżko. – Zdej... zdejmijcie ze mnie to kurewstwo!

– To dla bezpieczeństwa pańskiego i personelu.

– Nie możecie mnie tu przetrzymywać bez mojej woli. – Oblizał wargi. – Gdzie ja w ogóle jestem?

– Na oddziale dla psychicznie chorych. – Tym razem odezwał się starszy mężczyzna.

– Co takiego?

– Jest pan na oddziale dla psychicznie chorych. Cierpi pan na postępowe rozdwojenie jaźni. Po nocnej dawce leków spodziewaliśmy się chwilowej poprawy i powrotu świadomości. Jak widać słusznie.

– Skurwysyny! – Glazur wściekle wierzgnął nogami. – Chcę rozmawiać z waszym szefem.

– Jestem tu ordynatorem.

– W takim razie dawajcie dyrektora!

– Pańskie krzyki na nic się zdadzą – mruknął młodszy. – Za chwilę zaaplikujemy dawkę leku, który pana uspokoi, ale też otumani. Czekamy jedynie na pańską żonę i syna. Już są w szpitalu.

Glazur niczego nie rozumiał.

– A co to, pierdolona egzekucja?

– Chcieli być powiadomieni o tym, że odzyskał pan świadomość. Od dawna w ogóle nie mogli się z panem porozumieć.

– Jak to?

– Odpływa pan do drugiego świata i nie dopuszcza do niego nikogo. Spróbowaliśmy nowych środków...

Komisarz oddychał coraz szybciej. Czuł rytmiczne pulsowanie krwi w skroniach. Bez skrupułów faszerowali go jakimiś pieprzonymi środkami. W ten sposób pozbywali się problemu. Ale on wszystko pamiętał. Nie mogli wymazać mu wspomnień. Spojrzał na mężczyzn. Starł się uspokoić.

– Kto mnie tak udupił? – zapytał. – Uwierzyłem temu skurwysynowi Konerze, a on już w tym siedział. Gdzie jest ten złamas?

Starszy z mężczyzn pochylił się nad łóżkiem. Zaświecił mu latareczką w oczy.

– Obawiam się, że ktoś taki nie istnieje.

– Zabijcie mnie, do diabła. – Glazur odwrócił głowę. – Zabijcie mnie, ale nie trzymajcie mnie tutaj!

– Często pan o to prosi, ale choćbym chciał, nie mogę tego zrobić.

Zdawało mu się, że ordynator się uśmiecha. Ukradkiem i z satysfakcją.

– Możesz zaprosić rodzinę – odezwał się do młodszego. – Lepiej już nie będzie.

Glazur bez słowa obserwował, jak mężczyzna wychodzi z sali. Po chwili usłyszał na korytarzu głos żony. Nie mógł się pomylić. Z drugiego końca świata rozpoznałby ten skrzekot. Tym razem wydał mu się jednak melodyjny i przyjemny. Starł się wyłapać pojedyncze słowa, lecz ginęły, niesione echem. O czym, do cholery, rozmawiali?

Ktoś pchnął szerzej drzwi. Po chwili do pomieszczenia weszła jego żona. Zaraz za nią pojawił się Karol. Wyglądali inaczej niż ostatnim razem, kiedy ich widział. Byli starsi, jakby te kilka dni zmieniło się w całe lata. Karol stanowił niemalże jego kopię. Gdyby zapuścił brodę,

byliby prawie identyczni. Jego spojrzenie było tak samo mętne jak to, które codziennie widywał w lustrze.

Odsunął na bok te sentymenty.

Nie wiedział, kiedy znów zadziałają środki, którymi był faszerowany. Nie miał czasu do stracenia. Musiał mówić krótko a na temat, licząc, że go zrozumieją.

– Doskonale wiecie, że jestem zdrowy! – wykrzyczał. – Wyciągnijcie mnie stąd! To wszystko przez Tumskiego. Za dużo wiedziałem. Musieli się mnie pozbyć! Jestem faszerowany jakimś gównem, a nie chory. Wy to wiecie!

Karol zatrzymał się o kilka kroków od niego. Widać było, że czuje się niekomfortowo. Spuścił wzrok i nerwowo splótł dłonie. Zapewne przyszedł tu tylko na prośbę matki. Ta zatrzymała się przy samym łóżku, po czym oparła dłonie na poręczy.

– Czy to konieczne? – zapytała lekarzy, wskazując na pasy.

Obaj jedynie skinęli głowami. Glazur wbił w nią rozpaczliwe spojrzenie.

– Zaraz pewnie stracę przytomność. Przyznali się, że mnie czymś szprycują. Musisz dokładnie zapamiętać to, co powiedziałem.

– Zapamiętałam.

– Porozmawiaj z Tumskim. To wszystko przez sprawę, którą prowadzę. Wyczujesz, że będzie kłamał!

Żona delikatnie złapała go za rękę. Tak jak robiła to wiele lat temu.

– Nie ma kogoś takiego – powiedziała łagodnie. – Nigdy nie było.

Glazur poczuł zawrót głowy i osunął się w inną rzeczywistość.

## DZIEŃ SZÓSTY

### 1.

Otworzył oczy. Przez chwilę otaczała go tylko mglista biel. Stopniowo zaczął rozróżniać zarysy lampy, łóżka i metalowej szafki. Na podłodze leżała jego torba. Po pasach i kneblu nie było śladu. Ostrożnie poruszył nogami. Nic nie krępowało ruchów.

Do lewego nadgarstka miał przymocowaną kroplówkę. Na prawym nosił szpitalną opaskę. Powiódł spojrzeniem w górę, ku stojakowi. Woreczek był do połowy wypełniony bezbarwnym płynem. Wyglądało to na zwykłą sól fizjologiczną.

– Obudził się pan?

Odwrócił się w stronę, z której dobiegał głos. Zobaczył pielęgniarkę. Była niska i kształtna. Pasma czarnych włosów nosiła przerzucone przez ramię. Nieco brzydsza i sporo starsza wersja telewizyjnej prezenterki.

– Jest pan w szpitalu. Doznał pan wstrząśnienia mózgu.

– Kiedy?

– Dwa dni temu. – Pielęgniarka podeszła do jego łóżka i poprawiła mu poduszkę. – Wczoraj przez cały dzień pan majaczył. Zdarza się.

– Jaki to szpital?

– Łódzka klinika.

A więc nic związanego z czubkami. Glazur odetchnął.

– Tomografia jest czysta – kontynuowała kobieta. – Musimy potrzymać pana kilka dni na obserwacji.

W tym momencie na salę wszedł lekarz. Wyglądał tak samo jak ordynator ze snu. Wysoki, z siwą, równo przystrzyżoną brodą,

w okrągłych okularach. Najpierw skierował się do innego pacjenta, ale widząc, że Glazur jest przytomny, podszedł prosto do niego.

– Świadomy? – zapytał pielęgniarkę.

– Wreszcie tak – odparła. – Prawie czterdzieści godzin.

– Czas najwyższy.

Pielęgniarka odsunęła się od łóżka, robiąc lekarzowi miejsce.

– Będę panu potrzebna, doktorze?

– Nie, proszę iść do innych pacjentów.

Uśmiechnęła się do Glazura i opuściła salę. Doktor zerknął na kartę leczenia.

– Proszę się nie ruszać.

Nachylił się nad komisarzem, przytrzymał jego powieki i zaświecił latarką. Subtelniej niż we śnie.

– Proszę patrzeć za moimi palcami.

Glazur to zrobił.

Następnie lekarz dotknął jego stopy. Wygiął ją kilka razy, sprawdził drugą, a potem stuknął stalowym młoteczkim w kolano.

– Wszystko wydaje się w porządku – stwierdził. – Pamięta pan, jak się tu znalazł?

Glazur pokręcił głową. Paliło go w gardle.

– A chwilę, kiedy walnął pan głową o beton?

– Tak... Zdaje się, że tak.

– Który dzisiaj mamy?

Komisarz poruszył się nerwowo. Nawet gdyby nic się nie stało, gubił rachubę dni. Nie zwracał na to uwagi. Zlewały się w jedno.

– Połowę września – mruknął oględnie. – Czwartek lub piątek.

– Ma pan problemy z alkoholem? – zapytał doktor.

Glazur zamrugął.

– Nie, skąd to pytanie?

– W pańskiej torbie znaleźliśmy butelkę wódki. Nieotwieraną, a był pan pod wpływem...

– Czasem lubię sobie łyknąć. – Uśmiechnął się niepewnie. – Dla formy.

– Lepiej się w tym nie przetrenować. – Lekarz się wyprostował. – Dobrze, że pański podwładny od razu wezwał karetkę. Ludzie często

zwlekają. Myślą, że ktoś się potknie, walnie łbem o asfalt i zaraz się ocknie. A później pojawiają się problemy...

Czyli Konera go nie wystawił. Albo wystawił, ale nie z premedytacją. Glazur podciągnął się na łóżku i oparł się na łokciach.

– Niech się pan nie podnosi. – Lekarz podszedł już do kolejnego pacjenta. – Musi pan poleżeć dwa lub trzy dni. Jeżeli wszystko będzie w porządku, szybko wróci pan do domu.

Glazur posłusznie opadł na łóżko. Nie zamierzał gnić w szpitalu i bezwolnie poddawać się wydarzeniom. Musiał jak najszybciej działać. Koszmarny sen dał mu podwójnie do myślenia. Odczekał, aż lekarz wyjdzie z sali, i przekręcił się na bok. Przyciągnął do siebie torbę. Wyjął z niej spodnie i koszulę. Marynarka leżała złożona na szafce.

Dotknął dłonią butelki wódki, ale jej nie wyciągnął. Zamiast tego napił się wody ze stojącego na szafce plastikowego kubka. Zakrztusił się.

Chwilę majstrował przy wenflonie, a kiedy udało mu się go odczepić, z dziury popłynęła krew. Zaklął, tamując ją skrajem prześcieradła.

– Panie, co pan robisz? – Pacjent leżący na łóżku obok podniósł głowę.

Glazur się nie odezwał. Nie zważając na krwawienie, włożył spodnie i wstał z łóżka. Poczul intensywny zawrót głowy. Podparł się o szafkę, po chwili było lepiej.

– Nie rób pan cyrków.

Jeszcze słowo, a zadusi sukinsyna.

Włożył marynarkę, wziął torbę i skierował się do wyjścia. Pierwsze kroki stawiał niepewnie, nogi ugiwały się i plątały. Musiał podeprzeć się o ścianę. Po chwili nabrał jednak pewności i równowaga wróciła.

Wyjrzał na korytarz. Kilku pacjentów siedziało na ławeczkach, rozmawiając z rodzinami. Pielęgniarka była zajęta rozwożeniem leków. Glazur zdał z nadgarstka szpitalną opaskę i wsunął ją do kieszeni.

Wtedy społecznik z sąsiedztwa nacisnął zawieszony przy łóżku dzwonek.

Komisarz przyspieszył kroku i, nie odwracając się, dopadł do rozsuwanych drzwi. Nikt go nie ścigał. Wspierając się o poręcz, zszedł piętro niżej i wyjrzał przez okno. Był na parterze. Za wydeptanym trawnikiem rozciągał się parking. Starał się skupić, ale myśli kotłowały mu się w głowie. Pojawiały się i zaraz umykały.

Pociągnął za klamkę i otworzył okno. Na szczęście nie było zablokowane. Z trudem podciągnął się, przełożył przez nie nogi i skoczył. Poślizgnął się na kępce trawy, ale nie upadł. Jak w transie ruszył w stronę samochodów. Leciwa kobieta właśnie wsiadała do zdezelowanej hondy. Glazur sięgnął do kieszeni i z ulgą wyczuł palcami legitymację. Na szczęście mu jej nie zabrano.

– Policja! – Zamachał nią, podchodząc do staruszki. – Proszę natychmiast oddać mi kluczek.

Kobieta zdębiała. Poprawiła okulary, rzuciła okiem na policyjną legitymację i rozejrzała się wokół. Kluczyki wciąż tkwiły w drzwiach.

– O co chodzi? – zapytała. – Nic nie zrobiłam.

– Proszę odsunąć się od samochodu.

– Niby dlaczego?

Glazur, sztywno stawiając kroki, zbliżył się do niej.

– Wypierdalaj! – wrzasnął.

Cofnęła się. Wiedział, że zaraz zacznie wzywać pomocy. Wyszarpał z drzwi kluczek i wskoczył do hondy. Nim zdążyła zareagować, odpalił silnik. Ruszył z piskiem opon.

## 2.

Schowana w torbie butelka nie dawała o sobie zapomnieć. Brzęczała i stukała, rozpraszając uwagę Glazura. Przez cały czas powstrzymywał się przed zerknięciem na siedzenie pasażera. Zacisnął dłonie na kierownicy i utkwiał wzrok w drodze. Ból głowy minął już całkowicie. Pozostało po nim nieprzyjemne uczucie pulsowania gałek ocznych, tak jakby mózg wypychał je od środka. Co jakiś czas pojawiały się też kolorowe mroczki. Ale o tym potrafił nie myśleć.

Przekreślił lusterko, aby zobaczyć swoje odbicie. Nie było źle. Gdyby nie plaster naklejony na skroni, wyglądałby tak samo, jak przed paroma dniami. I parunastoma.

Auto podskoczyło na wyboju, wywołując tępe brzęknięcie butelki.

Glazur podgłośnił radio. Szumiący ryk głośników zagłuszył myśli.

Pocił się. Miał wrażenie, że się rozpuszcza, zmieniając się w mokrą plamę na siedzeniu. Otworzył okno i pozwolił, aby wiatr owiewał mu twarz. Tak było lepiej.

Jechał jak szalony, wyprzedzając wszystkie samochody. Honda miała mały, ale dynamiczny silnik. Dobrze trzymała się na zakrętach i sprawnie przyspieszała. Szkoda, że nie miała klimatyzacji. Zrobiłby sobie w środku kriokomorę i wtedy na pewno poczułby się lepiej.

Zdał sobie sprawę, że od kilku minut lecą już wiadomości. Jego umysł jak przez mgłę wyłapał komunikat.

*...odbędzie się pilna konferencja prasowa. Na razie nie mamy informacji, jaki będzie jej główny temat. Przypuszcza się, że zaprezentowane zostanie stanowisko sztabu wyborczego w sprawie...*

Glazura interesowały wyłącznie miejsce i godzina spotkania. Kiedy tylko prezenterka je podała, spojrział na zegarek. Jeżeli był nastawiony poprawnie, miał nieco ponad czterdzieści minut.

Przyspieszył.

Na chwilę brzęczenie butelki ustało.

\* \* \*

Kiedy przybył na miejsce, konferencja musiała właśnie się skończyć. Dziennikarze kłębili się na korytarzu. Wymieniali uwagi i komentarze. Kiedy z dużego pomieszczenia wyszedł dobrze zbudowany, elegancki mężczyzna, skupili na nim wzrok, jednak bez nadziei na uzyskanie dalszych informacji. Taki był protokół. A być może nawet umowa zawarta ze sztabem wyborczym.

Glazur ruszył w jego kierunku. Uważając na kable, przepchnął się pomiędzy członkami ekipy telewizyjnej. Znana mu z ekranu żoźła zrobiła obruszoną minę. Na wizji nigdy by sobie na to nie pozwoliła. Zawsze była pogodna i uśmiechnięta. Ale on już dawno ją wyczuł. Nie to, co naturalnie sympatyczna czarnulka. Jego ideał.

Dopał do polityka i złapał go za ramię.

– Co pan? – Mężczyzna drgnął, nie zwalniając kroku. – Nie udzielam wywiadów poza konferencją.



Misiowaty facet już zmierzał w ich stronę. Robił pewnie za członka komitetu i ochroniarza. Musiał go ubiec, nim zrobi się z tego afera.

– Komisarz Glazur, policja. – Wyciągnął legitymację i machnął nią. – Muszę zadać panu kilka pytań. Poza konferencją.

Polityk obrzucił go nienawistnym spojrzeniem. Był zły, ale nie przestraszony.

– Tu i teraz?

– Ewentualnie na komisariacie – zablefował Glazur. – To chyba mniej przyjemna opcja.

– Dopiero złożyłem ważne oświadczenie... Mam jeszcze parę spraw na głowie. Czy to naprawdę nie może poczekać?

– Naprawdę nie.

Polityk nieco zwolnił. Coś kalkulował. Wreszcie odwrócił się w stronę komisarza i zrezygnowany wskazał, aby skręcili za róg

– Przejdźmy do mojego biura – powiedział.

W ich stronę natychmiast skierowało się kilka kamer i mikrofonów. Dziennikarze mieli słuch doskonały. Tak doskonały, że nietoperze były przy nich niemalże głuche. Ruszyli hurmem za Glazurem, ale błyskawicznie zatrzymał ich misiwaty mężczyzna. Znajdowali się na terenie prywatnym. Nie mogli się tu snuć jak po korytarzach sejmowych, wtykając nosy w każdą dziurę. Komisarz zdziwił się, słysząc, jak wiele łagodnych synonimów ma proste „won”. W odpowiednich ustach brzmiało niczym poezja. Obłudnicy.

Szedł obok polityka, starając się zastanowić nad taktyką. Przygwoździć go do muru czy próbować podejść? Mógł to przemyśleć wcześniej. Trzęsły mu się dłonie i czuł, że jest zlany potem. Powinien był napić się wódki. Chociaż trochę, aby zachować jasność umysłu. Miał przecież prawo być zmęczony.

Kiedy skręcili w boczny korytarz, polityk sięgnął do kieszeni marynarki i coś wyciągnął.

– Mam potworne bóle głowy – powiedział, jakby chciał usprawiedliwić ten ruch. – Znajomy polecił mi żucie tego świństwa...

Glazur dopiero po chwili zrozumiał, o jakim świństwie mowa.

Odgryzł kawałek korzenia imbiru.

### 3.

Nie dał poznać po sobie zaskoczenia. Pytania stały się nieistotne. Zadał tylko kilka, starając się nie wzbudzić w polityku żadnych podejrzeń. Ot, zwykła, rutynowa rozmowa, o której nikt nie powinien się dowiedzieć. Najgorzej, że dziennikarze zwietrzyli temat. Chociaż nie sądził, aby zdołali usłyszeć, kim jest i czego chce, mimo swych mikrofonów i kamer. I doskonałego słuchu.

Jeżeli wszystko przebiegło tak, jak myślał, to był w niebezpieczeństwie. Nie miał już wątpliwości, że Hylewicz robił za kozła ofiarnego. Pozbyli się go bez mrugnięcia okiem, wcześniej czymś zastrasząc. Teraz będą chcieli wyeliminować właśnie jego. Tym razem na amen. Polityk na pewno poskarżył się innym wpływowym ludziom, a ci kolejnym, i wszyscy już wiedzieli, że on, nic nieznaczący Feliks Glazur, może im zaszkodzić.

Jedyna szansa to być od nich szybszym. Twardy dowód powinien pozbawić ich woli walki. Bojąc się o własne dupy, odsuną się od podejrzanego i sami rzucą go na pożarcie. Całkowite rozbitcie układów było niemożliwe. W chwilach zagrożenia one wręcz ewoluowały i oplatały kolejne osoby, a pozbywały się niewygodnych elementów. Były wieczne, od czasów, kiedy człowiek skakał jeszcze po drzewach.

Póki co, miał tylko swoje domysły. W dowodach rzeczowych jak byk powinna być wymieniona laska imbiru znaleziona w koszu na śmieci zamordowanej. Powinna, co nie znaczyło, że jest. Postanowił, że zleci badanie śladów DNA, choćby Tumski ciskał gromami. Zorganizuje formalne przesłuchanie polityka i wyciągnie z niego, co robił w mieszkaniu kontrkandydatki. Tylko w ten sposób mógł zapewnić sobie nietykalność. A w perspektywie – nawet awans.

Do tego czasu miał jedno zadanie. Nie dać się zabić.

Silnik hondy rzeził, co tworzyło kakofonię z brzęczeniem butelki. Trzymając kierownicę lewą dłonią, Glazur otworzył zamek torby. Była tam. Na samym wierzchu. Wyciągnął ją i opuścił do końca szybę. Gwałtowny powiew powietrza owiał mu twarz. Przełożył butelkę do drugiej ręki i wystawił ją za drzwi samochodu. Chciał puścić, ale nie

mógł. Dłoń zacisnęła się na krótkiej szyjce i odmówiła posłuszeństwa. Gdyby szkło było cieńsze, pękłoby na kawałki. Ze łzami w oczach wrzucił butelkę z powrotem do torby. Nie odkręcił korka i nie napił się. To też było zwycięstwo.

Ocierając oponami o brzeg chodnika, zatrzymał się przed domem. Zerknął na torbę, ale nie wziął jej ze sobą. Truchtem przebiegł przez podjazd. Otworzył drzwi i wpadł do środka. Jego żona i syn nadal nie wrócili. Już kiedyś tak było. Wtedy wyprowadzili się na dwa dni, a później miłość cudownie się odrodziła. Tyle że w tle nie było ani papierów rozwodowych, ani sprawy o znęcanie. Czy mógł to jeszcze cofnąć?

Przeszedł do garderoby i zapalił światło. Pomieszczenie było zagracone mnóstwem rupieci. W topornej szafie trzymali ubrania na inny sezon. Nie chciał sprawdzać, czy one również zniknęły.

Stanął przy poobijanej komodzie, na której ustawiona była niewielka metalowa szafka. Wiele lat temu przytwierdził ją do blatu mebla i ściany. Takie były wytyczne w rozporządzeniu. Sięgnął za niedziałający zegar i wyjął klucz. Tandetna kryjówka, lecz nigdy nie miał lepszego pomysłu. Otworzył kluczem drzwi szafki. W środku znajdował się tylko jeden przedmiot.

Jego służbowy walther P99.

Naładowany.

\* \* \*

Niecałą godzinę później Glazur był już w komisariacie. Na jego widok strażnik zrobił zdziwioną minę, ale nic nie powiedział. Pewnie wszyscy trąbili o tym, że wylądował w szpitalu. Konera przedstawił swoją wersję i beztrąbnie bawił się w Łodzi. Komisarz nie sądził, żeby szpital był skory od razu informować o jego przedwczesnym wyjściu. Jednak mijani policjanci nie byli zdziwieni, że wrócił. Widział to. W ich spojrzeniach wyczuwał niechęć i drwinę.

Nawet posterunkowi nie schodzili mu z drogi, a zatrzymywali się, żeby to on musiał ich ominąć. Za plecami słyszał żarty i śmiechy. A wśród nich nieustannie przewijało się jego nazwisko. Zupełnie jakby wszyscy

poza nim byli w zмовie. Jakby wiedzieli, co odkrył, i mieli ubaw z tego, że starał się dociec prawdy. Wytykali go palcami. Szydzili.

Magazyn z zebranymi przez techników dowodami znajdował się w tylnej części budynku. Gromadzono w nim wszystko, co dało się upchnąć do szaf albo szuflad i położyć na metalowych półkach. Nie znalazłby tu tylko dwóch typów rzeczy. Wraków aut, które brały udział w wypadkach, bo te przechowywano na zewnętrznym, wynajmowanym przez komendę parkingu. I ciała. Ciała leżące w kostnicach również często bywały niczym więcej niż dowodami.

Zamek do pomieszczenia był kodowany. Szyfr powinni znać tylko kadra kierownicza i oficerowie delegowani do samodzielnego prowadzenia spraw. W rzeczywistości znali go prawie wszyscy. W razie potrzeby wygodniej było wysłać po foliową torebkę podwładnego, niż fatygować się osobiście na drugi koniec komendy.

Glazur wpisał numer i drzwi odskoczyły. Poczłł przyjemny chłód utrzymywany przez specjalne klimatyzatory. Dowody dotyczące aktualnie prowadzonych spraw grupowano w tak zwanym zbiorze podręcznym. Nigdy nie było wiadomo, kiedy wystąpi o nie prokuratura, sąd albo biegli. Była to wielka metalowa szafa stojąca przy samym wejściu. Od reszty pomieszczenia oddzielała ją ceglana ścianka. Od lat miała być wyburzona jako całkowicie niepotrzebna i od lat niezmiennie tkwiła w tym samym miejscu.

Żeby cokolwiek zobaczyć, Glazur musiał zapalić dodatkowe światło, podłużną jarzeniówkę zawieszoną tuż nad szafką. Nim nacisnął kontakt, stanął na dolnej półce i dotknął żarówki wierzchem dłoni. Była gorąca. Najwidoczniej zgaszono ją całkiem niedawno. Oczywiście, spraw w toku były dziesiątki, ale raz odłożone dowody potrafiły leżeć długimi miesiącami. Ruch w magazynie przypominał raczej ten na opuszczonym cmentarzu niż hali dworca.

Zaniepokojony, włączył jarzeniówkę. Ta kilka razy mrugnęła i po chwili zaczęła rzucać intensywne białe światło. Przebiegł wzrokiem po kolejnych półkach, uważnie lustrując karteczki z podpisami. Nic. Przygryzając wargi, skupił się na szufladach. Przez kolejnych kilkadziesiąt sekund jak oszalały chwytal kolejne karteczki, nie mogąc znaleźć właściwej. Wreszcie trafił.

Wyszarpnął szufladę i zajrzał do środka. Błyskawicznie przebrał jej zawartość. Raporty, raporty i jeszcze raz raporty. Fiolka z pobranym barbituranem, próbki zabezpieczonych śladów daktyloskopijnych i jeszcze jedna torebka. Pusta. Wyciągnął listę, ale nie było na niej wyszczególnionych rzeczy wyciągniętych ze śmietnika. Tak jakby nigdy nie istniały. Możliwa była ich utylizacja, ale powinna być chociaż lista. Jego jedyna poszlaka.

Nie gasząc światła, wybiegł z magazynu. Skierował się prosto na górę. Zaschło mu w ustach, wrócił ćmiący ból głowy. Zataczał się, podpierał o ścianę. Nie mógł się teraz poddać. Przebiegł przeszklonym łącznikiem i znalazł się w głównej części komendy. Zatrzymał się przy swoim gabinecie. Z drzwi zdjęto tabliczkę z jego nazwiskiem. Pozostała po niej jedynie wyblakła plama. Rozejrzał się po korytarzu, sprawdzając, że nie pomylił pomieszczeń.

Nacisnął klamkę, lecz zamek był zatrzaśnięty. Nie miał przy sobie klucza.

Na sztywnych nogach ruszył w głąb korytarza. Z trudem łapał powietrze. Nie miał pojęcia, co się stało. Biuro Tumskiego wydawało się oddalone o całe kilometry. Kiedy oszalały wparował do środka, inspektor ledwie na niego spojrział.

– Nie będę z tobą rozmawiał, Glazur – wycedził. – Naczelnik wypierzył cię w trybie natychmiastowym. Wiesz, gdzie kierować zażalenia.

Komisarz stanął jak wryty. To musiała być jakaś pomyłka.

– Wiem, kto to zrobił – zipnął. – Mogę mieć dowód... Potrzebna mi tylko analiza...

– Ufoludki? Marsjanie? – Tumski odwrócił się w jego stronę. – Odbiło ci, Glazur. Pojechało ci się w głowie.

A więc sen nie był tylko nocnym mirażem. Podświadomie wiedział, do czego zmierzają. Wiedział, jak będą rozgrywać sprawę, kiedy poczują się zagrożeni.

Podszedł do biurka.

– Usunęliście dowody. – Przyłożył drżącą dłoń do ust. – Ukartowaliście to wszystko.

– Niby co?

– Kazałem sprawdzić śmietnik w mieszkaniu ofiary. Gośka wszystko przetrząsnęła. Nie ma po tym nawet śladu, choćby protokołu. Ktoś wyrzucił cały ten materiał!

Tumski nerwowo poruszył się w fotelu.

– Czyś ty oszalał? – zapytał, odsuwając filiżankę po kawie. – Od kiedy trzymamy zawartość śmietnika każdego trupa? Chciałbyś tu mieć pierdolone wysypisko?

– Ukartowaliście to...

– Już to mówiłeś. Zdaj swoją broń i opuść budynek komendy.

– Kto za tym stoi? – Glazur cały dygotał. – Boże! Kto was zmusił?!

Inspektor poderwał się z fotela, którego oparcie z impetem uderzyło o ścianę.

– Wypierdalaj stąd! – wrzasnął, wskazując drzwi. – Rozumiesz? Jesteś zasranym zerem, Glazur. Jesteś i zawsze byłeś. Gdybyś miał trochę oleju we łbie, siedziałbyś teraz na moim miejscu. Ale ty nadajesz się tylko do odwalania roboty za innych. Myślisz, że masz od tego Konerę? – Zaśmiał się nerwowo, odsłaniając białe zęby. – Sam zapierdalasz, żeby on mógł piąć się po twoich plecach. Wszyscy mają cię w dupie. Nie trawią cię i jednocześnie żałują. Ale trzymałem cię tutaj, bo nawet na bani jesteś niezły. Myślisz, że ktoś chciał udupić tę sprawę? Udupiony miałeś być tylko ty, Glazur.

Komisarz podparł się lewą dłonią o blat biurka. Świat dookoła zawirował. Tumski mówił coś jeszcze, lecz jego słowa zlały się w jednolity krzyk oszczerstw. Nie zrobią z niego szaleńca. Nie wmówią mu, że sam był pionkiem na szachownicy.

Nim Tumski zdołał się poruszyć, wyszarpnął z kabury pistolet.

Odbezpieczył go i wymierzył.

# **CZEŚĆ TRZECIA**

**DIANA ELERT**

# DZIEŃ PIERWSZY

## 1.

Diana Elert próbowała ustanowić nowy rekord w Snake'a. Za każdym razem, kiedy zbliżała się do magicznej granicy, wąż na jej telefonie połykał swój ogon albo walił łbem w jedną ze ścian. Irytująca gierka. Stanowiła jednak jej sprawdzony sposób na uspokojenie. Od dwóch kwadransów niecierpliwie czekała, aż otworzą się drzwi gabinetu redaktora Manowskiego. Była umówiona na konkretną godzinę, ale jak zwykle kazano jej warować na korytarzu. Dodatkowa porcja upokorzenia, aby pamiętała, gdzie jest jej miejsce.

Tekst, nad którym pracowała przez kilka tygodni, wegetował na zbiorowym mailu. Przypuszczała, że nikt go jeszcze nie przejrzał. Nie znajdowała innego uzasadnienia dla tego, że ciągle się z nią nie skontaktowano. Za blisko dziesięć tysięcy znaków mogła dostać kilka stówek, góra tysiaka. W sam raz na ostatnie rachunki.

W tym miesiącu fatalnie skalkulowała swój budżet. Hurraoptymistycznie wydała wszystkie oszczędności na wymarzonego, czternastoletniego volkswagena new beetle'a, oczywiście w wersji kabrio. Handlarz zszedł z ceny, udobruchany proszeniem, uzupełnionym dziesiątkami zalotnych spojrzeń. Końcówkę dorzucił jej ojciec. Nie mogła się teraz do niego zwrócić o pomoc w zapłacie czynszu. Wziąłby ją za nienormalną.

Najgorzej, że wydawnictwo, z którym negocjowała publikację książki, również milczało. Po tym, jak napisała, że prowadzi rozmowy z jego konkurencją, nabrało wody w usta. Fortel, który miał jej zapewnić



lepszą pozycję przetargową, nie wypalił. Być może w jakiś sposób ją przejrzeni? Wierzyła w potężne afery i spiski. Na co dzień zajmowała się reportażem sensacyjnym, więc widziała naprawdę wiele. Jeszcze więcej słyszała i przeczytała.

Wystarczyło sześć jabłek i będzie rekord. Przygryzając wargę, naciskała guziki telefonu. Z bębniącym sercem kontrolowała ruchy sunącego ekranem węża. Pięć, cztery...

Drzwi obok otworzyły się.

– Wejdz, Diano – rozległ się tubalny głos. – Przepraszam, że musiaś czekać...

I rekord poszedł do diabła. Zaskoczona drgnęła i wcisnęła przycisk zbyt późno. Wąż rytmicznie zamrugał na ekranie i zniknął.

*Game over.*

Schowała telefon, przyglądała sukienkę i weszła do gabinetu. Manowski przytrzymał jej drzwi. Sapał przy tym jak buldog wachający kość. Nawet go trochę przypominał. Niski, z krótkim karkiem i szerokimi barkami. Nie pasowała do tego pociągła, elegancka twarz z brwiami połączonymi w jedną linię.

– Siadaj. – Wskazał na krzesło obrotowe.

Sam rzucił się na skórzane fotelisko, ledwie mieszczące się za drewnianym biurkiem. Na jego blacie stały jedynie kubek z długopisami i zamknięty laptop. Nic więcej, jakby dosłownie przed chwilą je posprzątało.

– Przeczytałem twój tekst – odezwał się, splatając ręce na karku. – Naprawdę znowu się babrasz w tych przetargach?

– Skoro czytałeś – odparła zaczepnie – to wiesz, w czym się babram.

– Diana, to już, do cholery, było!

Co z tego, że było, skoro stanowiło niewyczerpany materiał.

– Dotarłam do nowych źródeł...

– Tak, wiem. Rozmawiałaś z tajemniczym informatorem.

– To coś złego?

– Kiedy się nauczysz nie rzucać oskarżeń, jeżeli nie masz solidnych pleców?

– Wszystko zostało solidnie uargumentowane. Żadnej ściemy. Jeszcze trochę i urobię tego człowieka, żeby wystąpił oficjalnie.

– Jeszcze trochę, jeszcze trochę – zakpił Manowski. – Wiesz, kogo można pozwać za naruszenie dóbr osobistych?

Pewnie ją i gazetę. Żeby dać temu plugawemu redaktorzynie satysfakcję, pokręciła głową.

– No właśnie. Nie wiesz, dlatego wymyślasz takie rzeczy... – Manowski przegładził włosy. – Zapamiętaj sobie raz na zawsze, że można pozwać autora tekstu, wydawcę, a co najważniejsze – redaktora naczelnego, który za ten bubel odpowiada. Udupiłabyś mnie!

No tak, czyli trząś portkami, bo nie chciał niczym ryzykować. Spróbowała przemówić do jego poczucia sprawiedliwości społecznej i obowiązku zawodowego.

– Ale te przetargi zostały ustawione...

Wydał jedynie wargi i spojrzał na nią z politowaniem.

– No i? – bąknął. – Wszyscy o tym wiedzą. A co więcej, nikogo to już nie interesuje.

– Nawet gdyby dowieść, że w przekrętach maczali palce pracownicy urzędu marszałkowskiego? A potem dobrać się do samego marszałka?

– Masz jakąś misję?

– Nie – odparła szczerze. – Potrzebuję forsy, więc chodzę tam, gdzie leży na ziemi.

– To przynajmniej zdrowe podejście.

Diana nie uśmiechnęła się. Rozmowa zmierzała w złym kierunku, a Manowski poświęcał jej te kilka minut tylko dlatego, że miała ładną buzię. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

– Kupujesz to? – zapytała, powoli wstając. – Tak czy nie?

– Już ci odpowiedziałem.

– Dałabym ci wyłączność dla wszystkich swoich tekstów na temat przetargów. A wiesz, że ja nie odpuszczam.

To było żalosne. Od razu sobie obiecała, że ostatni raz go o coś prosi. Kolejnym razem sam przyjdzie, błagając, żeby to u nich publikowała.

– Nie, nie i jeszcze raz nie. – Manowski otworzył laptopa, dając jej znać, że audycja dobiegła końca. – Przyjdź z czymś, na co będziesz miała dowody. Solidniejsze od słów anonimowego informatora.

Cholera. Zalotnie założyła włosy za ucho, ale nie dało to żadnego efektu. Przypomniała sobie jeszcze o jednym tekście, na który nie

dostała żadnej odpowiedzi.

– Wysyłałam relację z rozprawy bossów Pruszkowa.

– I? – Redaktor już nawet na nią nie patrzył. – To jest dziennik. Rozprawa była kilka dni temu, więc pozamiatane. Nasi czytelnicy już o nich zapomnieli.

No tak. Dlaczego więc nie przeczytali tego w dniu, w którym im to przesłała? Właśnie przez takich ludzi prasa papierowa upadała pod naporem mediów internetowych i telewizji. Skostniały system oparty na ludziach, którzy nie rozumieli współczesnego świata.

Zarzuciła torebkę na ramię i wyszła bez pożegnania. Gdy wychodziła, czuła na sobie wzrok Manowskiego. Trzasnęła drzwiami, odbierając mu tę przyjemność. Szybkim krokiem przemierzyła korytarz redakcji i wydostała się na skąpaną w słońcu ulicę. Czerwony new beetle stał zaparkowany kilkadziesiąt metrów dalej, bezpośrednio pod parkomatem. Pomiedzy wycieraczki a szybę wsunięto niewielką karteczkę.

Sprawdziła na komórce godzinę i cicho zaklęła. Chcąc zaoszczędzić, wzięła półgodzinny bilet, a minęła już prawie godzina. Pięknie, teraz doszedł jej jeszcze mandat. Wzięła go i niedbale wrzuciła do kieszeni.

Była splukana. I gotowa zdobyć dobry temat za wszelką cenę.

## 2.

Całe popołudnie spędziła na lekturze internetowych tekstów dotyczących ostatnich przetargów. Rozbudowa szpitala wojewódzkiego, przebudowa mostu Siekierkowskiego, modernizacja trakcji tramwajowej... Wszystkie wygrane przez jednego wykonawcę, który minimalnie przebijał inne, też powtarzające się oferty. Po uważnym prześledzeniu rejestrów sądowych nasuwały się kolejne podobieństwa. Nazwiska członków rad nadzorczych, zarządów, czasem – prokurentów. Wszystko zazębiało się w ciekawą układankę, którą należało rozłożyć na części pierwsze. Nie miała jednak pomysłu, od czego zacząć.

Informator, o którym wspominała w artykule, był niestety postacią równie fikcyjną jak Fox Mulder czy doktor House. Włożyła w jego usta wypowiedzi pracowników spółek, plotki i swoje własne domysły, tworząc

całkiem plastycznego bohatera. Mogła sobie nawet wyobrazić, jak ten ktoś by wyglądał. Nosiłby długie, sięgające kostek płaszcze, a na głowie miałby kapelusz z rondem chowającym większą część jego twarzy w cieniu. Paliłby zapewne cygara. Albo papierosy, czerwone setki.

Z zamyślenia wyrwała ją wibracja telefonu. Wygrzebała go spod sterty gazet i odczytała krótkiego esemesa.

*Przypomnij mi numer mieszkania.*

Jasna cholera! Facet poznany kilka dni wcześniej na serwisie randkowym był naprawdę uparty. Po katastrofalnym spotkaniu w restauracji liczyła, że się odczepi. Bombardował ją wiadomościami, więc zgodziła się wyskoczyć na kawę. Ostatecznie, nie chcąc tracić czasu na włóczenie się po mieście, zaprosiła go do siebie. Totalnie głupio i nieodpowiedzialnie. Wydawał się jednak całkiem zrównoważony i porządny, szkoda go było spławiać.

Wychodziła z założenia, że pierwsza randka mogła oznaczać złe dobre początki. Nie wahała się zaryzykować. Jeżeli okaże się polskim Hannibalem Lecterem, to pretensje będzie miała tylko do siebie. O ile zdąży.

*Znasz numer bloku. Pokaż, na co cię stać.*

Nie zastanawiając się, wysłała wiadomość. Dzięki temu powinna zyskać trochę czasu.

Pobiegła do łazienki, poprawiła makijaż i włożyła tę samą sukienkę, w której pojawiła się w redakcji. Nie była przesadna. Ledwie zdążyła się przebrać, a rozległ się dzwonek do drzwi. Facet szybko się uwinął, nie ma co. Psiknęła dwa razy perfumami w swoją stronę, kolejne kilka w stronę korytarza. Flakonik wsunęła do kieszeni wiszącego w przedpokoju płaszcza i przekręciła zamek.

– Cześć, Daniel – rzuciła. – Wejdz.

Przed nią elegancko ubrany mężczyzna. Był kilka lat starszy od niej, nosił równo przyciętą brodę i hipsterskie okulary. Niemal odepchnął ją bukietem fioletowych róż. Przynajmniej nie była to czerwona sztampa. Ani butelka tandetnego wina musującego.

– Dziękuję.

Usiłował pocałować ją w policzek, lecz się odsunęła.

– Rozgość się.

Stała chwilę w przedpokoju, jakby oczekiwała, że zdejmie marynarkę. Albo jeszcze więcej. W rzeczywistości chodziło jej tylko o buty. Była bałaganiarą, ale nie znosiła chrupotania piasku pod kapciami albo na gołych stopach. Kiedy mężczyzna w końcu zsunął modne mokasyny, zaprosiła go do salonu gabinetu i sypialni w jednym. Wyłączyła laptopa.

– Siadaj. – Skinęła w stronę zielonej pluszowej kanapy. – Przepraszam za bałagan, ale miałam dziś dużo pracy.

– Nie szkodzi. – Daniel uśmiechnął się wyrozumiale. – Fajne mieszkanko.

Nie dość, że nie zanegował braku porządku, to jeszcze nazywał fajnym mieszkankiem zrujnowaną, czterdziestoletnią klitkę, do tego nieremontowaną od upadku komunizmu.

– Mocną czy może jakąś smakową?

– He?

Spojrzał na nią, zsuwając niżej okulary. Nie wiedziała, czy to tik, czy umyślnie chciał wyglądać jak męska wersja sekretarki z pornoli.

– Zaprosiłam cię na kawę. – Posłała mu strofujący uśmiezek. – Mam kilka rodzajów.

Najbardziej lubiła cynamonową. Kiedy w sklepach pojawiały się świąteczne mieszanki, kupowała zapas na cały rok.

– Nie, tylko nie smakową. Zwykła czarna.

– Świetnie. Wstawię kwiaty do wody i zaraz wracam.

Poszła do kuchni i wsypała do kawiarki cztery łyżeczki jacobsa. Nie opłacało się robić dwóch różnych kaw, a poczęstowanie gościa rozpuszczalną lurą było poniżej jej godności. Wyciągnęła duży kubek, naląła do niego wody i wstawiła róże. Na parapecie prezentowały się całkiem ładnie.

Po chwili kawiarka zabulgotała.

– Z mlekiem? – krzyknęła w stronę salono-gabineto-sypialni.

– Bez.

– A cukier?

– Poproszę!

Nie dorobiła się jeszcze cukiernicy, więc zdobyła się na ordynarne pytanie.

– Ile?

– Mogą być dwie łyżeczki.

Słodki chłoptaş. Przygotowała dwie kawy i wzięła je, uważając, aby nie rozlać. Kiedy wróciła, Daniel stał przy regale z książkami, uważnie lustrując ich tytuły.

– Fanka kryminałów? – zapytał, pomagając jej położyć spodeczki na stole.

– Można tak powiedzieć. Poza tym thrillera, sensacji i wątków szpiegowskich.

– A horroru?

– Mniej. Lubię czytać prawdopodobne historie.

Z uznaniem pokiwał głową. Wziął filiżankę i usiadł na kanapie.

– Agatha Christie? Coben?

– Raczej Brudnik, Rogoziński, czasem Chmielewska. Rządziej Czornyj.

– Patriotka.

– Lepiej zapamiętuję polskie nazwiska. No i łatwiej poczuć mi klimat.

Daniel uśmiechnął się.

– Nie wiem, czy nie za późno na kawę – zmienił temat, przeciągając palcem po brzegu filiżanki. – Ale może zbytnio mnie nie rozbudzi.

Sam wybrał porę. Chciała się spotkać dwie godziny wcześniej.

– Mam jeszcze wodę i sok jabłkowy.

– Może później.

Zupełnie jakby miał nadzieję zostać do rana. Zerknęła na zegar ścienny. Wskazywał dwadzieścia trzy minuty po osiemnastej. Od wiosny zapominała go przestawić, więc automatycznie dodała godzinę.

– Przepraszam, zawsze o tej porze oglądam *Wiadomości*. To mój mały rytuał.

Daniel skwitował jej słowa wzruszeniem ramion. Sięgnęła po pilota i włączyła telewizor. W sam raz, aby zdążyć na przedinformacyjne pasmo reklamowe. Usiadła na kanapie, zachowując bezpieczną odległość. Mężczyzna upił łyk kawy i ostrożnie się do niej przysunął. Nim zorientowała się, co robi, pocałował ją w kark. Chwilę potem jego ręce wylądowały na jej piersiach. Zacisnęły się na nich mocno.

– Zostaw mnie, do cholery! – Z odrazą zdjęła jego dłoń ze swojego ciała.

– Przestań!

Nie zareagował, coraz mocniej na nią napierał. Jak zza grubego muru docierały do niej pierwsze słowa prezentera.

*Policja nie ujawnia żadnych szczegółów dotyczących śmierci kandydatki w wyborach na prezydenta stolicy. Rzecznik komendy uzasadnił to tajemnicą toczącego się śledztwa...*

Chciał wsunąć dłoń w jej spodnie. Odskoczyła jak oparzona.

– Wypierdalaj stąd! – wrzasnęła. – Słyszałeś?

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Przecież też tego chcesz...

– Zaproszenie na kawę to nie od razu zaproszenie do bzykania. Nikt cię tego nie nauczył?

Z walącym w piersiach sercem pobiegła do przedpokoju i szeroko otworzyła drzwi.

– Wynocha!

Daniel posłusznie poszedł za nią. Włożył buty i minął ją, ocierając się o jej ramię. Zatrzymał się w progu, jakby chciał się jeszcze upewnić, że nie żartuje. Wzrok napalonego kundla. Miał pewnie nadzieję, że lubi jakieś pokręcone gierki. Niedoczekanie.

Kiedy wyszedł, natychmiast pogłośniła telewizor. Słuchała z zapartym tchem.

## DZIEŃ DRUGI

### 1.

Diana Elert zamówiła tylko wodę gazowaną z cytryną. Najtańszy napój, który można było siorbać przez pół godziny. Do tego łatwo go usprawiedliwić dietą, niegasnącym pragnieniem czy po prostu kacem. Sama przyjemność dla kogoś, kto zjadł symboliczne śniadanie w swojej kuchni. Jej przyjaciółka, Ilona Pycka, była znacznie bardziej rozrzutna. Oprócz naleśników, zwanych w karcie dań *pancake'ami*, poprosiła o mus ze świeżych owoców i bułeczki z otrębami. Sycąco i zdrowo.

Usiadły w samym kącie kawiarni, przy oknie z widokiem na Wisłę. Zanim na ich stoliku stanęły zamówione dania, Diana zrelacjonowała wydarzenia poprzedniego wieczoru.

– Twoja głupota mnie przeraża. – Pycka z apetytem zabrała się do naleśnika. – Skończ z tym zapraszaniem do domu, bo w końcu trafisz na psychopatę...

– Może to nie byłoby takie złe.

– Jak chcesz się pobawić, to masz auto. Albo idźcie do hotelu.

– Jakby miejsce miało znaczenie. – Diana niedbale machnęła ręką i zmieniła temat. – Co sądzisz o tym, co się stało Skawińskiej?

– A co mam sądzić?

– No nie wiem, może w prokuraturze krążą jakieś plotki.

Pycka była asystentką prokuratora rejonowego, ale nie oznaczało to, że wie więcej niż ktokolwiek inny. Przynajmniej nie przed rozpoczęciem pracy.



– Pewnie się modlą, żeby to naprawdę było samobójstwo. Odpadnie im mnóstwo roboty.

– Nie zostałyaby raczej prezydentem, ale to nie powód, żeby się zaraz zabijać.

– Ludzie mają różne problemy.

– Oglądam wiadomości. – Diana zadumała się. – Widziałam jej ostatnie wypowiedzi, nie wyglądała na osobę w depresji. Wręcz przeciwnie. Rzucała dowcipami na lewo i prawo.

– Niektórzy doskonale maskują emocje.

– Snuła plany...

– Nic nadzwyczajnego.

– Była gotowa na porażkę.

– Diana! – Pycka pokręciła głową. – Na siłę doszukujesz się jakiejś sensacji. Nawet jeżeli Skawińska została zamordowana, policja do tego dojdzie. Nie wyprzedzisz ich.

– Zawsze warto próbować.

– I tracić czas?

Elert nachyliła się nad stolikiem.

– Wspomniałaś kiedyś o znajomym w prokuraturze okręgowej...

– Znowu z tym zaczynasz. Mówiłam ci, że nie mogę.

– Umów mnie z nim.

– Nie mogę.

– Jestem splukana, potrzebuję materiału. – Wyciągnęła z torebki szczotkę i przeczesała włosy. – Cokolwiek, żeby zainteresować tego dupka Manowskiego. Mam swoje źródła, ale to wszystko płotki.

– Do tej pory z nich korzystałaś.

– Muszę skończyć z rzeźbieniem w gównie. Za gówniane tekściki dostaję gówniane wynagrodzenie. O ile w ogóle jakieś.

Pycka sprawdziła na telefonie godzinę. Za niecałe trzydzieści minut musiała być w pracy.

– Mogłabym mieć nieprzyjemności.

– Jakże? Pracujesz w rejonie... A to twój znajomy.

– Ale znam też ciebie. Wywracasz ludziom życie do góry nogami.

– Jezus Maria, Ilona, umów mnie albo daj mi jego pieprzony numer. – Diana odsunęła od siebie szklanekę. – Nie proszę cię o zorganizowanie

audiencji w Watykanie.

Pycka z ociąganiem wybrała spis kontaktów i wyszukała odpowiednią pozycję.

– Powtarzam, że to mój dobry znajomy... – Podniosła wzrok i spojrzała na nią błagalnie. – Nie narób wielkiego burdelu. Tylko o to proszę.

– Umów mnie z nim. I to jak najszybciej.

## 2.

Prokurator Igor Darski uległ namowom Pyckiej i zgodził się na spotkanie. Diana została przedstawiona jako wschodząca gwiazda stołecznych mediów, która doskonale wie, jak zachować dane informatorów w tajemnicy. Mężczyzna najwyraźniej nie wyczuł atmosfery konspiracji, bo kazał jej podjechać pod sam budynek prokuratury. Zapytał o markę pojazdu i numer rejestracyjny, po czym rzucił konkretną godzinę. Nie chciał wiedzieć niczego więcej.

Niecałe trzy kwadranse po wyjściu z kawiarni Diana Elert zatrzymała czerwonego new beetle'a za rzędem zaparkowanych prostopadle aut. Nie było ani jednego wolnego miejsca, więc włączyła światła awaryjne i czekała. Zabębniła palcami w kierownicę. Nie miała jeszcze żadnych informacji, wobec czego musiała grać całkiem w ciemno. O ile Darski będzie cokolwiek wiedział o sprawie. W końcu mógł być w zupełnie innym wydziale.

Zdejmowanie dachu w taki upał miało też swoje słabe strony. Wnętrze samochodu nagrzewało się w zastraszającym tempie. Nienabita klimatyzacja zamiast chłodem zionęła smrodem zagrzybionych przewodów.

Diana wyciągnęła telefon i włączyła Snake'a.

W tym samym momencie ktoś zapukał w szybę volkswagena. Drgnęła. Wpatrywał się w nią wąsaty mężczyzna po sześćdziesiątce. Miał ogorzałą, pomarszczoną twarz i wydatny nos.

– Tu nie można się zatrzymywać – rzucił, zaglądając do środka wozu. – Proszę natychmiast odjechać.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że ubrany jest w uniform strażnika.

– Ja tylko na sekundę...

– Stoi tu pani od kilku minut.

– Nie widzi pan świateł awaryjnych?

Ciągle nie opuściła szyby, więc mężczyzna podszedł do samych drzwi i spojrzał na nią z góry. Kolejny minus kabrioletów.

– Zaraz zadzwonię po policję. – Był to najmocniejszy argument w ustach strażnika. – Jest pani nagrana na monitoringu.

– Mogę być nagrana nawet na dyktafonie. Zepsuł mi się samochód.

Utarczkę słowną przerwał szpakowaty chudzielec, wciśnięty w drogi garnitur. Niósł pod pachą złożoną togę.

– Już w porządku – rzucił do strażnika. – Ta pani miała mnie podwieźć do sądu.

Bez pytania otworzył drzwi i wsiadł do środka. Spojrzał na Dianę ciemnymi, figlarnymi oczami.

– Darski. Igor Darski. – Wyciągnął dłoń.

– Elert. Diana Elert – odparła, naśladując jego ton. – Dziękuję za spotkanie.

– Podziękuję pani, podrzucając mnie pod sąd okręgowy.

Był bezpośredni i konkretny. Kogoś takiego potrzebowała.

– Czerniakowska? – zapytała, włączając silnik.

Zerknęła jeszcze na odchodzącego strażnika.

– Nie, na Solidarności. Niewiele osób kojarzy sąd gospodarczy.

– Mam to traktować jako komplement?

– Mogłem powiedzieć, że ma pani fajną brykę.

Uśmiechnęła się.

– Chyba przedstawiliśmy się wystarczająco dawno temu, aby być na ty.

– Okej, Ana.

– Nienawidzę tego zdrobnienia.

– Lepiej Dajana?

Żartowniś jeden. Powoli wytoczyła się na główną ulicę i wcisnęła w sznur pojazdów.

– Zawsze przed większymi sprawami mam przyływ euforii – wytłumaczył się, jakby czytał jej w myślach. – Potem, na sali sądowej,

i normalnie jestem już strasznym gburem.

– Ponoć grubiaństwo to choroba zawodowa prokuratorów.

Igor roześmiał się. Poprawił rozłożoną na kolanach togę i spojrzał w niebo.

– No dobrze. – Przysłonił sobie dłonią oczy. – Przejdźmy do rzeczy. Jesteś dziennikarką i z jakichś powodów wolisz rozmawiać ze mną, a nie z rzecznikiem. Przypuszczam, że szukasz sensacyjnego przecieku i chcesz mnie wykorzystać. Skoro najświeższą medialną sprawą jest śmierć tej kandydatki na prezydenta, to pewnie o to chodzi.

– Nie tylko sposób przedstawiania się, lecz także dedukcja godna agenta Jej Królewskiej Mości.

– Teraz to ty mi pochlebiasz.

Diana gwałtownie przyhamowała, wpuszczając przed siebie motocyklistę.

– Przepraszam – bąknęła, ponownie przyspieszając. – Oczywiście, źródło informacji pozostanie w ścisłej tajemnicy. Mogę się odplacić w przyszłości jakimś pochlebnym tekstem. Mam kontakty w wielu redakcjach...

– Jestem urzędnikiem. Działam w imieniu prokuratury.

– Powinno ci więc zależeć na przedstawianiu jej w jak najbardziej korzystnym świetle.

– Zgodziłem się spotkać, bo twoja koleżanka była przekonująca – odwrócił się w stronę Diany. – Ale, niestety, muszę cię rozczarować.

Zacisnęła usta, czując zbliżającą się gorycz porażki.

– Rozczarować? – powtórzyła. – Dlaczego?

– Po pierwsze, nie prowadzę tej sprawy. Po drugie, obowiązuje mnie tajemnica.

– I tyle?

– Myślałem, że to dobre wytłumaczenie.

– Nie wierzę, że w prokuraturze nie huczy od przecieków i domysłów.

– Ależ oczywiście, to będzie priorytetowe śledztwo. Zatrzymaj się tutaj.

– Wskazał na zatoczkę autobusową. – Przynajmniej nie ma żadnych strażników.

– Naprawdę nic mi nie powiesz? Nic w zamian za spaloną benzynę i wiatr we włosach?

Liczyła na cokolwiek, a władowała się w ślepy zaułek. Znowu zostawała z niczym. Zatrzymała samochód, upewniając się, że za nią nie wjeżdża autobus.

– Gdybym słyszał, że wszystko wskazuje, że to zabójstwo, to i tak bym ci o tym nie powiedział.

Zrozumiała aluzję. Uśmiechnęła się z wdzięcznością, mając nadzieję, że prokurator będzie kontynuował temat. Ten jednak otworzył drzwi i wysiadł.

– Musisz poszukać sama – rzucił na odchodne. – Dziękuję za podwózkę, Dajano!

### 3.

Mogła wrócić do mieszkania i czekać na maila od Manowskiego albo zająć się czymkolwiek. „Cokolwiek” oznaczało dalsze drażnienie sprawy, ale nie miała pojęcia, jak ją ugryźć. Zdecydowałyby się na pierwszą opcję, gdyby nie sugestia Darskiego. Skoro to było zabójstwo, będzie wybuchowo.

Sprawdziła w internecie najświeższe wiadomości, ale od rana nic się nie zmieniło. Jedyne doniesienia o Skawińskiej mówiły ciągle to samo. Sprawę badała policja pod nadzorem prokuratury, sprawdzana była przyczyna śmierci, na razie nie pojawiły się jednak jakiegokolwiek informacje na temat udziału osób trzecich. Do tego podawano życiorys kandydatki i zastanawiano się nad wpływem jej śmierci na wynik wyborów. Żadnych plotek ani przecieków. Służby musiały działać wyjątkowo dyskretnie, obawiając się najmniejszej choćby wpadki.

Tuż przed dwunastą zaparkowała samochód, złożyła dach i wzięła bilet, tym razem na dwie godziny. Równie dobrze mogła wrócić za kilka minut, ale wołała nie dostać kolejnego mandatu.

Przebiegła na drugą stronę ulicy i weszła na klatkę peerelowskiego klocka. Dziesiątki szyldów i plakatów potwierdzały, że nie pomyliła adresu. Bez pukania pchnęła pomalowane farbą olejną drzwi, mijając się w progu ze znanym dziennikarzem.

Niezrażona podeszła do niewielkiej, wręcz symbolicznej recepcji. Drobną brunetką dała jej znak, żeby poczekała. Rozmawiała przez telefon, jednocześnie wystukując coś na laptopie. Po chwili odłożyła słuchawkę i znużona popatrzyła na Dianę.

– Tak? – Zagadała w najmniej elokwentny sposób, jaki istniał.

– Nie? – Elert nie mogła się powstrzymać.

Taka zagrywka zadziałałaby na każdego z odrobiną poczucia humoru, ale usta brunetki jedynie się zacisnęły. Niedobrze. Właśnie zraziła do siebie najważniejszą osobę w każdym biurze – ubranego w owcze szaty wilka, który strzegł dostępu na salony.

– Chciałabym rozmawiać z osobistą sekretarką pani Skawińskiej.

Wiedziała, że w kampanii wyborczej szefem sztabu i prawą ręką kandydatki była jej sekretarka. Zasuszona siedemdziesięcioparolatka o ładnej dykcji i pofarbowanej na fioletowo trwałej. Jeżeli to miał być chwyt marketingowy, to raczej się nie udał.

– Z panią Halicką? – dopytała brunetka.

– Dokładnie.

– Kim pani jest?

– Diana Elert – przedstawiła się niskim tonem, licząc, że sprawi poważne wrażenie. – Mam kilka pytań.

Brunetka nie dała się nabrać.

– Za kontakty z prasą odpowiedzialny jest rzecznik. Teraz go nie ma, ale można próbować później. Zdaje sobie chyba pani sprawę, że...

– Mam pytania do kogo innego.

– Trudno.

Jak trudno, to trudno. Diana szybkim krokiem ruszyła w głąb biura. Nie zważając na krzyki brunetki, lustrowała tabliczki na drzwiach mijanych gabinetów.

– Wzywam ochronę!

Po raz kolejny tego dnia straszono ją oddziałami wsparcia. Nawet nie zwróciła na to uwagi. Ze smutkiem utwierdzała się w przekonaniu, jak rozbudowanym organizmem bywają partie. Sekcja administracyjna, sekcja skarbową, dział kadr, wiceprezes, drugi wiceprezes... A wszystko to w ugrupowaniu, które z pewnością nie dominowało na scenie

politycznej. Niekończący się korytarz zakręcał przy oknach. Biuro musiało zajmować całe piętro.

Na tym odcinku liczba plakatów wyraźnie się zwiększyła. To dobry znak. W chwili, kiedy dostrzegła tabliczkę z napisem „Biuro wyborcze”, już wiedziała, że trafiła w dobre miejsce. Zapukała. Nie chciała przyprowadzić Halickiej o zawał. Poza tym musiała się jej podlizać.

Kiedy nacisnęła klamkę, na korytarzu rozległy się głośne, przyspieszone kroki. Ledwie uchyliła drzwi i zobaczyła imponującą trwałą, silne ręce chwyciły ją za boki.

– Wyjdzie pani sama czy mam wyprowadzić panią siłą?

Kwadratowy tępak pociągnął ją na korytarz. Halicka zapewne nawet nie zdążyła odnotować jej wejścia.

– Puść mnie, idioto!

Wyrwała dłoń i nie odwracając się, ruszyła z powrotem do wyjścia. Skoro sekretarka Skawińskiej była w biurze, musiała je też kiedyś opuścić. Plan B był prosty, ale przynajmniej istniał. Elert, odprowadzona nienawistnymi spojrzeniami brunetki i ochroniarza, usiadła na klatce schodowej. Stąd już nie mogli jej wyrzucić.

Postanowiła czekać tak długo, aż dopadnie Halicką. Jednak znacznie szybciej to ją dopadły głód i znużenie. Co gorsza, pasmo porażek w sięgnięciu po nowy rekord Snake’a spotęgowało rozdrażnienie. Po godzinie była wściekła, a po półtorej – gotowa przeprowadzić samobójczy atak na siedzibę partii. Zamiast tego musiała przedłużyć bilet parkingowy.

Wrzuciła telefon do torebki i, otrzepawszy sukienkę, wstała. Wtedy, jak na zawołanie, drzwi biura się otworzyły. Na widok imponującej trwałej Diana miała ochotę podskoczyć z radości. Nie miała tylko pojęcia, z czego miałyby się cieszyć...

– Przepraszam! – Podbiegła do Halickiej. – Chciałabym zamienić z panią kilka słów.

– To pani? Panią wyprowadziła ochrona?

Kobieta ruszyła szybciej w stronę wyjścia na ulicę.

– Niestety, niefortunny początek...

– Wy, dziennikarze, nie macie już żadnych standardów.

Diana z godnością przyjęła jej pogardliwe spojrzenie.

– Nie jestem dziennikarką – skłamała gładko. – Jestem wynajętym przez rodzinę detektywem.

Twarz Halickiej jakby nagle złagodniała.

– Przez kogo konkretnie? – zapytała, wychodząc z klatki. – Kto panią opłaca?

– Niestety, nie mogę tego ujawnić.

– Wygląda pani na gwiazdeczkę z mediów, a nie na detektywa.

– Dlatego jestem taka dobra. Poza tym dzisiaj było za ciepło na skórzany płaszcz.

Uśmiechnęła się, a Halicka zwolniła kroku. Szły wąskim chodnikiem pomiędzy kamienicami i nieprzebrany szereg zaparkowanych na chodniku aut. Dopiero teraz Diana zauważyła, że kobieta w klapę garsonki miała wpięty partyjny znaczek. Ugrupowanie Skawińskiej sympatyzowało z dawnym systemem, stanowiąc jednocześnie specyficzną mieszkankę lewicowców. A oni wszyscy mieli swoje demony. Czemu miałyby ich nie obudzić?

– Służby obsadzone są przez tych szalonych faszystów. – Niemal przyłgnęła do ramienia Halickiej i zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu. – Od czterech lat mają urząd miasta, a do tego większość w parlamencie. Skutecznie pozajmowali stołki swoimi. Doskonale pani wie, jak mocno trzymają w garści najcieplejsze posadki.

– Coś niecoś.

– I to, że za tymi sympatycznymi uśmiezkami kryją się ludzie zdolni do wszystkiego.

– Do czego pani zmierza?

Chyba połknęła haczyk. Diana niemalże się zatrzymała, szepcząc w jej stronę.

– Mam pewne przypuszczenia, że w sprawę mogą być zamieszani funkcjonariusze służb. To bardzo delikatny temat...

– Policja nie potwierdziła udziału osób trzecich.

– Ale go też nie wykluczyła. Nie zastanowiło to pani? Zazwyczaj już po paru godzinach od odnalezienia zwłok mają swoje teorie. A tym razem nabrali wody w usta. Cicho sza. Żadnego dementi.

– Prowadzący śledztwo wydawali się rzetelni... Zadawali mnóstwo pytań.



Diana musiała przejść do ataku. Poufale złapała Halicką pod ramię.

– Kiedy panią przesłuchiwali, nie odniosła pani wrażenia, że coś ukrywają? Że nie chcą, żeby się pani domyśliła prawdy? Oni są do tego szkoleni.

Ostatnie słowo niemal przesylibizowała. Sekretarka słuchała z rosnącym zainteresowaniem. Najwyraźniej Elert poruszyła jej czułą strunę. Czułą strunę znacznej części lewicowców, dla których najzagorzalszym wrogiem byli niejasno zdefiniowani faszyci. Nieważne, że ich program często bywał zbieżny. Ci okrutni faszyci stanowili ucieleśnienie zła. A jeżeli mieli przy tym jakąkolwiek władzę, musiały stać za nimi najprzeraźliwsze zbrodnie.

Halicka westchnęła, jakby potwierdzając, że wszystko, o czym mówiła Diana, było prawdą.

– Co chce pani wiedzieć? Proszę szybko, mam niebawem spotkanie.

Elert miała ochotę zaklaskać.

– Interesuje mnie wszystko, co mogło się pani wydać dziwne w ostatnich dniach. Zauważyła pani coś takiego?

– Raczej nie.

– Proszę się zastanowić.

– Już to zrobiłam, zanim odpowiedziałam na pytania policji.

– Pani Skawińska nie wydawała się w ostatnich dniach smutna czy przygnębiona?

Halicka dotknęła włosów, jakby chciała uklepać fryzurę. Nie drgnął nawet jej najdrobniejszy kosmyk.

– Wręcz przeciwnie. Była w dobrym humorze. Dlatego to samobójstwo to... – Pierwszy raz załamał się jej głos. Wyciągnęła chusteczkę, ale nie użyła jej. – Po prostu nie wierzę. To była dobra osoba, znałam ją prawie jak córkę, więc zauważyłabym, jeśliby coś się z nią działo.

Diana skinęła głową. Nadszedł czas, aby przejść do najważniejszego pytania. Miała nadzieję, że poruszona kobieta będzie chciała odpowiedzieć. I że będzie umiała.

– Czy pani kandydat miała jakieś nieoficjalne plany na wieczór, kiedy zginęła? – zagadnęła troskliwym tonem. – Wie pani, takie, o których nie mówi się w informacji prasowej.

– Codziennie przeglądałam jej prywatny kalendarz. – Halicka ukradkiem wytarła oko. – Wiedziała o tym. Musiałam to robić, bo często wpisywała tam rzeczy, o których zapominała. Przedwczoraj zwróciłam uwagę na to, że dopisała coś nowego...

Zamilkła, powstrzymując płacz. Elert taktownie odczekała kilka sekund.

– Co to był za dopisek?

– Patrycja zanotowała, że ma się z kimś spotkać. To znaczy, trudno mi powiedzieć, czy na pewno chodziło o spotkanie. Obok godziny widniało jedno słowo. Dowód.

#### 4.

Kiedy Diana wróciła do domu, od razu uruchomiła laptopa. Wzięła z lodówki jabłkowego radlera i kawałek pizzy sprzed paru dni. Wrzuciła go na chwilę do mikrofalówki. Czekając, aż się odgrzeje, przeszła do przedpokoju, sprawdzając telefon stacjonarny. Już dawno miała go zlikwidować, lecz ojciec utrzymywał, że jest niezbędny. Skoro za to płacił, nie protestowała.

Na automatycznej sekretarce zostały nagrane dwie wiadomości. Pierwsza stanowiła kilkusekundowe pasmo szumów i trzasków. Pewnie ojciec nie wiedział, że już powinien się odezwać. Na drugiej, zgodnie z przewidywaniem, usłyszała jego głos.

– Jak się miewasz? – pytał jak zwykle służbowym tonem. – Nie oddzwoniłaś do mnie, mogłabyś dać znać, że żyjesz. Jak samochód? Cały czas myślę, że te składane dachy to same problemy. Mam nadzieję, że nie okaże się jeżdżącą skarbonką. Rozmawiałem ze znajomymi i...

Skasowała wiadomość. W tym momencie ojciec przechodził na ton profetyczny, który mógł oznaczać tylko jedno. Zamierzał krytykować jej wybór. Miał pewnie przygotowany cały stos argumentów, że powinna była wybrać inny model, inną markę, a najlepiej w ogóle rolki. Były w końcu bezpieczniejsze od roweru, bo na nim jeszcze przyszłoby jej do głowy jeździć po ulicy. Cały on.

Kiedy dobrze zdała maturę, od razu roztoczył przed nią szczegółową wizję jej przyszłości. Jak przystało na prezesa małomiasteczkowego banku, optował za bezpiecznymi inwestycjami. Kiedy zamiast na prawo złożyła papiery na dziennikarstwo i filologię polską, wpadł w furję.

Nie po raz pierwszy przeciwstawiła się jego woli, ale tym razem jej decyzja miała rzutować na całe jej życie. Na całe zmarnowane życie – jak mówił. Przez pierwszy rok spędzony w stolicy musiała utrzymywać się sama. Nie przesłał jej nawet złotówki, z trudem zdobywając się na rozmowę telefoniczną co kilka tygodni.

Po roku uświadomił sobie, że takimi gierkami nie wymusi na Dianie zmiany decyzji. Zdobyła stypendium, wrosła w nową rzeczywistość i nie zważała na sarkastyczne utyskiwania. Wymuszony kurs samodzielności dał jej pancerz niezależności. Z zahukanej, prowincjonalnej dziewczynki zmieniła się w pewną siebie, ogólnie lubianą kobietę.

Po licencjacie zatrudniła się w lokalnej szmatławej gazecie. Dostała się do działu plotek i skandali z nadzieją, że pozna życie wielkich gwiazd. Rzeczywistość okazała się bardziej prozaiczna. Spędzała całe godziny, śledząc największe portale internetowe i przeredagowując publikowane w nich newsy. Została korektorką.

Po niecałym roku miała serdecznie dość. Przepisywanie tekstów o romansach, wakacjach w ciepłych krajach i nowych tatuażach sprawiało, że jej życie wydawało się koszmarnie nudne. Któregoś razu miała dopaść pod salą sądową rozwodzących się celebrytów. Awans na pracownika terenowego podobał się jej tylko przez chwilę.

Pojechała na miejsce z fotoreporterem, ale na jednej z wokand dostrzegła sprawę o usiłowanie zabójstwa. W przeciwieństwie do rozwodu rozprawa była jawna, więc usiadła na publiczności. Chciała zobaczyć na żywo kogoś, kto był zdolny odebrać życie innej osobie. Spodziewała się wątków gangsterskich, może nawet kogoś będącego namiastką uroczego Teda Bundy'ego, ale sprawcą okazał się zdegenerowany menel. Po pijaku chciał dać upust emocjom i wdał się w awanturę z kolegą od kieliszka. Jako argumentu siłowego użył młotka. Tłukł ofiarę jego zaostrzonym końcem.

Nie zniechęciła się. Być może ojciec miał jednak rację co do jej przyszłości? Mogła przecież być na sali sądowej nie w charakterze

adwokata albo prokuratora. Potem wybierała już ciekawsze sprawy, przekuwając je w sensacyjne artykuły. To nimi zainteresował się redaktor Manowski, wtedy początkujący szef rubryki sensacyjno-kryminalnej. Po trzech latach niezmiennie oczekiwała od niego maila akceptującego przesłany tekst. Ostatnio jednak współpraca zaczęła układać się znacznie gorzej, jej artykuły publikowano tylko sporadycznie, głównie w sieciowym wydaniu gazety.

Wyjęła z mikrofalówki pizzę i wróciła do laptopa. Najpierw przejrzała najświeższe informacje, potem weszła na stronę partii Skawińskiej, która zmieniła layout na czarno-szary, wreszcie uruchomiła pocztę.

Nic od Manowskiego.

Nadawcą jedynej wiadomości był Alan Krall. Nie znała nikogo o takim imieniu. Brzmiało jak pseudonim albo nick internetowego trolla. Poza tym nie wpisano żadnego tytułu. Jej program antyspamowy filtrował większość niepożądanych treści, więc na skrzynkę trafiały tylko faktycznie kierowane do niej maile. Dziwne. Po chwili wahania otworzyła wiadomość.

Na ekranie pojawiły się dwa zdania, rozbite na osobne linijki. Po jej karku przebiegł dreszcz.

*Odpuść sobie.*

*Szkoda twojego życia.*

## DZIEŃ TRZECI

### 1.

Pogróżki podziały na nią jak płachta na byka. Oznaczały, że coś jest na rzeczy. Brała pod uwagę, że mail mógł napisać któryś z dziennikarzy, aby zniechęcić ją do badania materiału, którym sam się zajmował. Słyszała o takich zagrywkach.

Tyle że o jej śledztwie mogła wiedzieć tylko jedna osoba. Czarek Bukowiecki, którego minęła, wchodząc do siedziby partii Skawińskiej. Był reporterem emitowanego w wieczornym paśmie programu *Sekretne historie*. Tandetnego kiczu, w którym spisek gonił spisek, ale zrealizowanego błyskotliwie i z rozmachem. Miał doskonałą oglądalność.

Jeżeli to on do niej napisał, musiał wyniuchać ciekawy materiał. Być może dowiedział się o zapisku w notatniku kandydatki. Nie wątpiła, że ma znacznie szersze możliwości działania niż ona.

Wstała skoro świt, wcześniej co chwilę zerkając na zegarek. Kilka minut po siódmej wybrała numer. Anna Skoczylas-Mirun odebrała już po pierwszym sygnale.

– Zostałaś skowronkiem? – zapytała bez przywitania. – Czy zaczęłaś pracować jak każdy sumienny człowiek?

– Zatrudniłam się jako budzik na żądanie.

Anna zachichotała.

– Żadnego nie zamawiałam. Czego ci trzeba?

No tak, bodaj od roku nie zadzwoniła do niej bez powodu. Anna pracowała w firmie zajmującej się zewnętrzną obsługą operatorów

telefonicznych. Kilkukrotnie pomagała jej w uzyskaniu billingów, i to często szybciej, niż otrzymywała je policja.

– Tego, co zawsze. Będę dozgonnie wdzięczna.

– Masz numer?

– Nie. Mam tylko imię i nazwisko.

– Mhm... A adres? Albo jakiegokolwiek inne dane?

– Chodzi mi o Patrycję Skawińską. Tę kandydatkę w wyborach samorządowych.

– O! To inna sprawa. – Anna wyraźnie się ożywiła, przyciszając jednocześnie głos. – Babrasz się w tym? – Nie czekała na odpowiedź. – Wczoraj rano wysyłaliśmy listę do prokuratury. Powinnam ją szybko znaleźć.

– Przywracasz mi nadzieję. – Diana zalała torebkę herbaty wrzątkiem.

– A z jej numeru biurowego? Może też masz go pod ręką?

– Będę musiała sprawdzić, ale prawdopodobnie jest objęty klauzulą.

– To znaczy?

– Że będę miała do niego dostęp za jakiś rok. – Anna wymownie westchnęła. – O ile mnie wcześniej nie wyleją.

– Ciebie? Najlepszą pracownicę?

– Muszę kończyć. – Nie podjęła tematu. – Wyślę wszystko na wiadomego maila.

Diana trzymała słuchawkę przy uchu jeszcze przez chwilę, ale towarzyszył jej jedynie sygnał zakończonego połączenia. Odłożyła telefon i nie wyjmując torebki, napiła się herbaty. Uruchomiła „wiadomego maila”, którym była jej standardowa skrzynka pocztowa założona na jednym z zagranicznych portali, ponoć gwarantowała dyskrecję i bezpieczeństwo przechowywanych treści. Szacowano, że za jej pośrednictwem przesyłana jest lwia część materiałów pornograficznych. I nikt nie mógł z tym niczego zrobić. Koncern, który ją stworzył, konsekwentnie odmawiał ujawnienia jakichkolwiek danych swoich klientów.

Nim Diana zdążyła dopić herbatę, wyświetliło się powiadomienie o nowej wiadomości. Przez chwilę zatrzymała wzrok na linijce informującej o mailu od Alana Kralla, ale postanowiła to olać. Otworzyła wiadomość od Anny.

Na ekranie wyświetliła się tabelka podzielona na kolumnę wskazującą godziny przeprowadzonych połączeń, ich czas i numer, z którym je nawiązano. Dane obejmowały ostatni tydzień, jednak liczba pozycji była zaskakująco uboga. Zgodnie z treścią maila Annie nie udało się uzyskać billingów z numeru urzędowego. A kandydatka w czasie kampanii zapewne nie miała zbyt wiele czasu na prywatne pogaduchy.

Diana wstukała w wyszukiwarkę kolejne pozycje. Szybko wyszukała dwie pizzerie, bank i urząd pocztowy. Wykreśliła też numer sztabu wyborczego i kolejny, różniący się jedynie ostatnią cyfrą. Pozostały jeszcze tylko dwa nieznane kontakty, z których jeden powtarzał się trzykrotnie, a drugi występował tylko raz, dzień przed śmiercią Skawińskiej. To od niego postanowiła zacząć.

Wcześniej jeszcze raz prześledziła wszystkie życiorysy kandydatki. W nocy skupiła się na dotyczących jej artykułach, przede wszystkim tych z prasy brukowej. Rozwódka, nastoletni syn, brak informacji o nowych partnerach, brak kontaktów z byłym mężem, który wyjechał za granicę. Na zdjęciu z dzieciństwa pozowała w grubym, zimowym stroju razem z podobną do siebie, starszą dziewczynką. Można było w ciemno obstawiać, że to siostry. Fotografie podpisano: Patrycja i Ewa.

Pierwszy numer okazał się skuchą. Już po starannie, melodyjnie wypowiedzianym „słucham”, wiedziała, że dodzwoniła się do sekretarki Skawińskiej. Nawet się nie odezwała, nie chcąc zostać posądzoną o nagabywanie. Kobieta mogła żałować wczorajszego przyływu szczerości.

W sumie nie powinna się wiele spodziewać po tych telefonach. Nie wiedziała, na co liczyła. Przecież nikt nie podniesie słuchawki i nie rzuci na powitanie „Cześć, jestem Cztery Iks, to ja zamordowałem kandydatkę na prezydenta”. Należało jednak spróbować. Kiedy po pięciu czy sześciu sygnałach nikt się nie odezwał, była gotowa się rozłączyć.

– Halo?

Usłyszała smutny kobiecy głos. Czyżby miała fart?

– Dzień dobry, mówi Diana Elert. Czy mam przyjemność z panią Ewą?

Nie знаła nazwiska siostry Skawińskiej. Zapomniała nawet sprawdzić, czy Skawińska było jej rodzowym nazwiskiem.

– Tak. O co chodzi?

Prawdziwy strzał w dziesiątkę. Teraz przyszła pora na najtrudniejsze.

– Czy mogłabym zadać pani kilka pytań? – zapytała przeproszającym tonem. – Obiecuję, że to zajmie tylko chwilę.

– Kim pani jest?

– Zajmuję się... To znaczy prowadzę prywatne śledztwo, tak to nazwijmy..

– Nie potrafi pani uszanować żałoby? – Słuchawka telefonu aż zatrzeszczała. – Pieprzona hiena! Moja siostra zginęła przez takich jak pani!

Kobieta się rozłączyła. Diana nie chciała zrozumieć, co miała na myśli.

## 2.

Przez kolejne godziny Diana przekopywała przepastne głębie Internetu, nie mając pojęcia, czego szuka. Przecierając zmęczone oczy, analizowała wywiady i sondaże, wreszcie obejrzała jedyną jak dotąd debatę wszystkich kandydatów. Skawińska wypadła na niej przeciętnie, zakrzyczana przez swoich rywali. Mimo to, kiedy dochodziła do głosu, mówiła grzecznie i klarownie. Nie rzucała frazesami, skupiała się na punktach swojego programu. Gdyby wyborcy oceniali kulturę i merytoryczność wypowiedzi, wygrałaby. W oczach większości musiała jednak wypaść po prostu nijako. Polityk nieszastający dowcipami i przytykami był niewiarygodny. Zahukanie w debacie mogła oznaczać, że nie będzie w stanie przeforsować najpiękniejszych nawet wizji w życiu publicznym. Dlatego wygrywali clowni i showmani, obiecujący cuda na kiju.

Pod odtworzonym filmikiem wyświetliły się materiały powiązane. Diana przejrzała ich listę. Najświeższy z nich został dodany wczoraj i uzbierał kilka tysięcy wyświetleń.

*Spotkanie Bernarda Szajera ze studentami.*

Tytuł nie brzmiał zachęcająco, ale nie miała pomysłu na dalsze poszukiwania. Zaparzyła sobie kolejną *five o'clock* i wzięła ostatniego, zachomikowanego snickersa. Nie została jej nawet żadna zupka chińska.



Szafka i lodówka zionęły pustką. Może właśnie przez to dopadł ją intelektualny marazm?

Z powrotem rozsiadła się przy laptopie i włączyła nagranie. Jak za czasów dzieciństwa maczała batona w herbacie, obcmokując rozpuszczoną czekoladę. Robiła tak zawsze, gdy była sama.

Skupiła wzrok na filmiku. Został nagrany telefonem komórkowym albo tabletem, a jego jakość pozostawiała wiele do życzenia. Przede wszystkim rozchodzący się po auli głos łamał się, a słowa kandydata były czasem trudne do zrozumienia. Jednak nie dało się nie zauważyć, że jak na przerwę międzysemestralną publika dopisała.

W pewnym momencie Szajer podszedł do krawędzi sceny i utkwiał wzrok gdzieś w publiczności. Nagranie nie obejmowało miejsca, na które spoglądał. Dziwne. Podczas debat czy publicznych występów przemawiający zazwyczaj zwracają się do ogółu zebranych, ewentualnie do kamer, ale rzadko kiedy obierają konkretnego adresata wypowiedzi. Do tego polityk był wyraźnie zaskoczony. Jego mikrofon tracił w tym miejscu zasięg, a on przez kilka sekund bez słowa wpatrywał się w jakieś miejsce na sali.

Diana cofnęła nagranie. Odtworzyła kilkadziesiąt ostatnich sekund, ale nie dostrzegła niczego nowego. Szajer gubił wątek, podchodził do brzegu podestu, gapił się i wracał z rozkojarzoną miną na środek katedry. Nic więcej. Ktoś musiał przykuć jego uwagę i tyle z wielkiej tajemnicy. Kolejne stracone minuty.

Zamknęła laptopa i położyła na nim pusty papierek po batoniku. Starła się poukładać w głowie wszystkie fakty, lecz nie było ich wiele. Nawet gdyby słowa siostry Skawińskiej kryły jakiś podtekst, nie miała jak go znaleźć. Nie liczyła, że odbierze kolejny jej telefon. Dzwonienie z innego numeru było równie słabym pomysłem. „Pieprzona hiena” mogłaby się wtedy okazać najłagodniejszą z padających inwektyw.

Musiała znaleźć inny sposób, aby dowiedzieć się więcej o prywatnym życiu kandydatki. To w nim powinien tkwić klucz do rozwiązania sprawy. Jeżeli została zamordowana, musiał istnieć motyw. Ostatnimi czasy lansowano tezę, że nawet afekt jest swego rodzaju motywem. Złość, furia, nagła chęć zemsty, to wszystko zawsze zostało czymś wywołane. Tak samo jak planowane z zimną krwią morderstwo, miało swoją

przyczynę. Jedynym wyjątkiem byli sprawcy działający pod wpływem choroby psychicznej, jednak takie przypadki stanowiły margines. Swoją drogą, gdyby zabójca miał ją za wcielenie Lenina albo szatana, to również można było mówić o motywie. Szaleńcym, ale zawsze.

Znała kogoś, kto z całą pewnością dokładnie prześwietlił już życiorys Skawińskiej. Tomasz Wilczek. Redaktor działu plotek w pierwszej gazecie, w której pracowała. Zakończyli współpracę w całkiem przyjaznej atmosferze i długo utrzymywali kontakt. Dopiero kiedy Diana zorientowała się, że podstarzały, żonaty dziennikarz chce czegoś więcej, wycofała się. Zaczęła go unikać, a on łatwo odpuścił. Teraz stanowił jej ostatnie źródło informacji.

– Redaktor Wilczek, słucham? – odebrał w swoim stylu.

Diana położyła się, opierając głowę na dłoni.

– Przecież wyświetla ci się, kto dzwoni – zagaiła zaczepnie. – Żadnego „jak miło cię słyszeć”?

– Jak miło cię słyszeć.

– Okej, w porządku. Wiem, kiedy mnie nie chcą.

– To chyba było na odwrót.

– Było, minęło.

Wilczek westchnął.

– Czym mogę służyć? – zapytał.

Kolejne osoba, która zdawała sobie sprawę, że dzwoni do niej tylko po pomoc.

– Możesz zaoszczędzić mi wiele czasu. – Gdyby rozmawiali twarzą w twarz, właśnie okręciłaby kosmyk włosów wokół palca. – Masz zapewne potrzebne mi informacje...

– Aż kipię wiedzą.

– Nie chodzi mi o to, który piosenkarz lubi orgie ze świnkami morskimi czy ...

– Nie spłycaj obyczajów seksualnych naszych gwiazdorów! To były nutrie!

Zachichotała.

– Piszę tekst o tej zmarłej kandydatce – odezwała się po chwili. – Jestem pewna, że już o niej wszystko wiesz...

Wilczek zagwizdał, ale nie odezwał się.

– Nie bój się, nie interesują mnie plotki. O zmarłych źle się nie mówi, więc wyszedł mi z tego cholerny panegiryk. Szef mnie zamorduje, jeśli za miesiąc czy dwa okaże się, że była wredną babą. Jak nas wezmą w okresie wyborów za tubę propagandową jakiejś partii...

– Dla kogo pracujesz? – przerwał jej wywód. – Istnieje jakaś gazeta, która nie jest tubą propagandową?

Poczuła, że wyczuł jej drobne oszustwo. Musiała jednak brnąć w nie dalej.

– To jeszcze nieformalna współpraca.

– Mnie możesz powiedzieć. Pytam z ciekawości.

– Wolałabym i ciebie zaskoczyć. Jeśli wszystko się uda i zobaczysz mój tekst w tej gazecie, ze zdziwienia opadnie ci kopara. Słowo harcerza.

– I przez tydzień będę rozpaczał, że pozwoliłem ci odejść?

– Żartujesz? Ty nigdy sobie tego nie wybaczysz.

– Co chciałabyś wiedzieć? – zapytał z niechęcią, urywając tę wymianę zdań.

– Co na nią masz. Daję słowo, że nie wykorzystam tego w swoim tekście.

– Daję słowo, że zupełnie nic. Po prostu zero.

Powiedział to poważnie. Nie droczył się.

– Jak to? – zapytała Elert, zaskoczona. – Ty? Wielki redaktor Wilczek?

– Wiesz, że szukaliśmy haków na większość kandydatów... – Oczywiście, zdawała sobie sprawę, że preferowali pewne partie. – Ale na nią nie znalazłem dosłownie niczego.

– Nie jarała trawki, przynajmniej bez zaciągania?

– Ona nawet nie zaciągała zupy.

– A rozwód?

– Nic specjalnego. To jej mąż znalazł sobie kobitkę na boku. Pewnie taką, która idąc do łóżka, nie gasiła światła i zdejmowała więcej niż dół piżamy.

– Sprawdzałeś jej znajomych? – zapytała z naciskiem. – Nie miała żadnego kiwanego kumpla? Żadnego kolegi ze studiów, który się stoczył?

Wilczek sapnął.

– Diana, ona była czysta jak łąza. Nie potrafiła nawet atakować oponentów.

- Chcesz powiedzieć, że nie mogła mieć wrogów?
  - Nie do końca – wydusił w końcu. – Tego nie powiedziałem.
- Diana Elert mocniej przycisnęła słuchawkę do ucha.
- To znaczy?
  - Jedynym jej wrogiem mógł być ktoś, komu zależało na przejęciu jej elektoratu. Ale to przecież *science fiction*, no nie?

### 3.

- Cześć, z tej strony...
  - Dajana! – Prokurator Darski nie wydawał się zaskoczony. – Czekałem, aż zadzwonisz!
- Brzmiał to tak, jakby to była prawda. I wbrew swoim wcześniejszym zapewnieniom nie miał gburowatego tonu. Wręcz przeciwnie.
- Aż tak się stęskniłeś?
  - Odrobinę.
  - W takim razie.... – Elert zaczęła ostrożnie, lecz zaraz przeszła do sedna. – Moglibyśmy się spotkać?
  - Chciałabyś mnie znowu przewieźć autem bez dachu?
  - Chciałabym porozmawiać.
  - Wychodzę z prokuratury o siedemnastej – oznajmił Darski. – Uprzedzę strażnika, żeby się nie fatygował, gdybyś znowu nie mogła znaleźć miejsca.
- Zanim się rozłączył, usłyszała, że chichocze.
- Nie miała zbyt wiele czasu. O tej porze korki osiągały apogeum, co gwarantowało jazdę we wlokącym się tłumie wśród przekleństw. Zebrała się więc błyskawicznie i już po kwadransie była w samochodzie.
- Spojrzała w niebo. Pojedyncze chmurki nie zapowiadały opadów, a termometr wskazywał dwadzieścia jeden stopni w cieniu. To było naprawdę przyjemne popołudnie. Przynajmniej pod względem aury. Złożyła dach, obejrzała się w lusterku, wydymając wargi, i włączyła silnik.
- Kiedy po niespełna półgodzinie znalazła się przy budynku prokuratury, parking był prawie pusty. Mogła zatrzymać się pod samym

wejściem, nie obawiając się interwencji strażnika. Chyba że miejsca były numerowane.

Nie zdążyła rozegrać nawet jednej partii Snake'a, gdy zdała sobie sprawę, że minęła siedemnasta. Wybrała RMF FM i podgłosiła radio. Informacje już trwały.

*...natomiast Bernard Szajer pozostawał dzisiaj całkowicie nieuchwytny. – Prezenterka dramatycznie zawiesiła głos. – Członkowie jego komitetu usprawiedliwiali to uszanowaniem żałoby i chwilowym zawieszeniem kampanii wyborczej. Z całą pewnością, pomimo rozbieżności programowych, będą starali się pozyskać jak największą część elektoratu zmarłej kandydatki. W sondażach...*

Zobaczyła, że Darski wychodzi z prokuratury razem z elegancką kobietą. Zatrzymali się przed wejściem, zamienili kilka zdań i rozeszli każde w swoją stronę. Mężczyzna energicznym krokiem podszedł do new beetle'a.

– Jadłeś coś? – zapytał, wsiadając. – Bo ja umieram z głodu.

Poza snickersem cały dzień wypełniała żołądek jedynie herbatą. Dopiero teraz poczuła, że organizm domaga się dostawy kalorii. I to pożywniejszych od czekolady.

– Co proponujesz?

– Lubisz sushi?

– Od czasu do czasu...

– Świetnie, bo ja nie znoszę. – Darski zapiął pas. – Pojedźmy do Pożywnego Gospodarza. Marzę o polskiej klasyce.

Diana ochoczo przystała na ten pomysł. Uwielbiała tamtejsze pierogi oraz żurek serwowany w bochnie chleba. Co najważniejsze, za jakością nie szły horrendalne ceny. No i nie było to sushi, którego, prawdę mówiąc, też nie znosiła.

Rozglądając się, wycofała samochód.

– Jak sprawa?

Darski uniósł brwi.

– No, wiozłam cię wczoraj na jakąś sprawę.

– Aaa! – Klepnął dłonią w kolano. – Skończona! Gdybyś tylko słyszała moją mowę!

– A efekt?

– Oczywiście, za dwa tygodnie.

– To właśnie psuło dramatyzm moich relacji. – Diana strąbiła samochód próbujący wepchnąć się jej przed maskę. – Streszczenie kwiecistych wystąpień obrony i oskarżenia, a później bęc. Wydanie wyroku zostało odroczone.

– Profesjonalnie to się chyba nazywa *cliffhanger*.

– W przypadku dzienników to się nazywa „masz przesrane”. Jaki czytelnik zapamięta, o co chodziło w sprawie relacjonowanej pół miesiąca wcześniej?

Darski cmoknął.

– Będę to podnosił w kolejnym wystąpieniu – zapewnił z uśmiechem. – W końcu społeczna funkcja systemu karnego zasługuje na uwagę.

– Dlatego w Stanach gazety i sądy nadal zatrudniają rysowników. Komiksowo informują obywateli o najważniejszych procesach.

– Chyba nie o to chodzi, ale skoro to nisza...

– W Polsce, zamiast poważnych komiksów, ludzie wolą satyrę. Andrzej Rysuje, Okiem Temidy i te sprawy.

Darski wyciągnął dłoń, wskazując w stronę zakrętu.

– Pojedź tędy. Będzie szybciej.

Diana zmieniła pas, domyślając się, jaką trasę proponował. Był to dobry wybór. Po kwadransie siedzieli już przy stoliku w rustykalnie urządzonym wnętrzu restauracji. Po kolejnych dziesięciu minutach mieli wybrane dania.

Kiedy kelnerka przyjęła zamówienie, Darski poprawił się w krześle i odchrząknął.

– Jeżeli zaraz nie zapytasz mnie o plotki z prokuratury, pomyślę, że to randka.

Diana przekornie założyła za ucho kosmyk włosów.

– A więc jakie to plotki? – zapytała.

– Nie ma żadnych. – Prokurator z uśmiechem rozłożył dłonie. – Z mojej strony to randka.

– Przypominam, że to ja zadzwoniłam do ciebie.

– A ja się zgodziłem.

Diana oparła podbródek na dłoni.

– Jeżeli cię o coś zapytam, całkiem prywatnie, mogę spodziewać się szczerzej odpowiedzi?

– Wal śmiało.

– Myślisz, że sztab Szajera mógł maczać w tym palce?

Darski odchylił się na krześle, jakby chciał się jej przyjrzeć z dystansu. Pytanie wyraźnie go zaskoczyło.

– Skąd ten pomysł?

– Nie wiem, analizuję różne scenariusze. To jeden z nich.

– Przez prokuraturę z całą pewnością nie jest brany pod uwagę.

– Jesteś tego pewny? – Diana utkwiała w nim przenikliwe spojrzenie. – Policja nie ma żadnego tropu?

– Taaa – wycedził. – Jestem praktycznie pewny.

Przez chwilę zastanawiała się, czy może mu powiedzieć o mailu. Nie znalazła żadnych przeciwwskazań.

– Ktoś wysłał mi pogrózkę – wypaliła. – Żebym sobie odpuściła, bo szkoda mojego życia. Jakoś tak.

Darski dotknął dłonią wargi. Uchwycił ją między dwa palce i zacisnął.

– Jesteś przekonana, że chodzi właśnie o tę sprawę? – zapytał po chwili.

– To jasne jak słońce. Nie zajmuję się niczym innym.

– Powinnaś zgłosić to na policję.

– Wiesz, że to umorzą.

Prokurator zastanowił się.

– Albo nawet nie rozpoczną dochodzenia – westchnął. – Trudno z tego wyczytać groźbę.

– Ktoś sformułował to umyślnie właśnie w ten sposób.

– Tyle że tą sprawą zajmuje się mnóstwo dziennikarzy. Z całym szacunkiem, ale dlaczego ktoś miałby obawiać się właśnie ciebie?

Diana miała gotową odpowiedź.

– Może dlatego, że nie mam nic do stracenia. Nie pracuję dla żadnej gazety, nie można mną manipulować... Jako jedna z nielicznych zrobię, co zechcę. Ktoś musiał mnie skądś wyhaczyć.

Kelnerka przyniosła napoje i sztucce. Zamilkli, czekając, aż ustawi je na stoliku. Kiedy tylko odeszła, Darski poprawił serwetkę, po czym ułożył na niej nóż i widelec.

– Dlaczego powiązałaś to z Szajerem? – zapytał. – Ja nie widzę związku.

– Raczej z kimś z jego sztabu.

Diana streściła swoje dotychczasowe obserwacje, nie wspominając jedynie o rozmowie z siostrą Skawińskiej. Nie mogła się pochwalić, że dysponowała zdobytymi nielegalnie billingami. Opisała wszystko, włącznie z dziwnym zachowaniem Szajera na spotkaniu w auli oraz wpisem w notatniku Skawińskiej. Darski słuchał uważnie, od czasu do czasu przerywając pytaniami. Nie był przekonany do wagi tych rewelacji.

– Z tego nic nie wynika – mruknął, kiedy Diana zamilkła. – Nawet gdyby analizować potencjalne motywy, kto zyskałby na wygranej Szajera?

– Członkowie jego komitetu, którzy startują do rady miasta...

– I ktokolwiek ryzykowałby dożywotnią odsiadką? W zamian mając perspektywę zdobycia stołka na parę lat? – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Za dużo filmów, Dajana. Za dużo filmów!

Pomasowała palcem skroń.

– Dziwnym trafem wszystko kręci się wokół kampanii – powiedziała po chwili.

– Zginęła kandydatka. To dlatego jako dziennikarka łączysz różne nieistotne tropy.

– Coś insynuujesz?

– Po prostu wiem, że policja zrobi swoje. I ma do tego narzędzia.

Gdzieś spod stolika dobiegła jazzowa muzyczka. Prokurator wyciągnął telefon i zerknął na wyświetlacz. Przepraszającym gestem pokazał, że musi odebrać. Przyłożył słuchawkę do ucha i przez chwilę milczał.

– Co takiego?! – krzyknął nagle, rozglądając się wokół.

#### 4.

Diana nie wiedziała, co się stało. Darski w jednej chwili zrobił się purpurowy. Opuścił ramiona, a twarz nabrała ostrych rysów.

– Wejdz na Twittera.

Wybrała aplikację i położyła smartfon na stole.



– I co teraz?

– Znajdź nick, konto czy jak to się nazywa... „tropimyafery”.

Zdziwiona wyszukała stronę i odczekała, aż się załaduje. Od razu zrozumiała przyczynę reakcji Darskiego. Na szeregu zdjęć uwieczniono, jak wychodzi z budynku prokuratury i wsiada do jej samochodu.

Kolejne dwie fotografie przedstawiały Dianę pod siedzibą partii Patrycji Skawińskiej. Sensacyjne wpisy miały krótki przekaz:

**ALIANŚ POLITYKI I MEDIÓW!  
ZMOWA MILCZENIA!  
DZIENNIKARKA ŚLEDZCZA UCISZONA!**

Darski przyciągnął telefon na środek stołu, aby lepiej widzieć zdjęcia.

– Ktoś chce narobić mi problemów – wycedził przez zęby. – Jakiś gnój chce wywołać aferę wokół prokuratury.

Diana nie była przekonana.

– Przecież możesz spędzać wolny czas, z kim chcesz.

– A to?

Prokurator przesunął palcem po ekranie, wyświetlając kolejne zdjęcie. Uchwycono na nim, jak wsiada z togą do new beetle’a.

– Możesz mieć przez to kłopoty?

– Nie wiem.

– Jestem praktycznie nieznaną freelancerką.

– Byłaś. – Prokurator nerwowo przeczesał palcami włosy. – Jeżeli ludzie zwietrzą aferę, zrobią z ciebie drugiego Wildsteina.

Wyprostował się, aby kelnerka mogła postawić talerze. Aromatyczna porcja pierogów polanych okrasą nie zrobiła na nim wrażenia. Przed Dianą wylądował kawał grillowanego mięsa z frytkami.

– Prowadzisz teraz jakąś medialną sprawę? – zapytała, sięgając po widelec. – Przecież tylko z tym mogą cię połączyć.

Pokręcił głową.

– W takim razie nie powinniśmy się niczym przejmować.

– Nie rozumiesz. – Odsunął talerz od siebie. – Prokuratura potrzebuje spokoju. Jeżeli pojawią się podejrzenia, że współpracuję z mediami, wyleją na mnie wiadro pomyj. Za sam fakt, że niepotrzebnie przyciągam

uwagę. To czysta kalkulacja, bo ludzie bardziej wierzą w naciski urzędników na media niż mediów na urzędników. Co jest wierutną bzdurą.

Zastukał rączką noża w blat stołu. Tym razem rozległa się wibracja telefonu Diany. Przeżuwając, zerknęła na wyświetlacz. Dzwonił Manowski.

– Tak? – odebrała, nie zważając na reakcję Darskiego.

– Czyżby twoim tajemniczym informatorem był prokurator? – Redaktor nie owijał w bawełnę. – Mów szczerze i patrz mi prosto w oczy.

To drugie było utrudnione, a nad szczerością musiała się chwilę zastanowić.

– A gdyby tak było? – zapytała.

– Wiesz o zdjęciach na Twitterze? – Manowski odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Tak, co z nimi?

Parsknął do słuchawki.

– Teraz twój materiał to faktycznie bomba!

– Nie rozumiem, co się zmieniło.

– Nie udawaj niewiniątka – odezwał się cierpko. – Jeżeli piszesz o przetargach, rzucasz rewelacjami, za którymi nic nie stoi, to gówno. Ale jeżeli okazuje się, że randkujesz z prokuratorem, który się tym zajmuje... To mamy aferę.

Diana odsunęła telefon od ucha i się rozłączyła. Nie mogła w to uwierzyć. Darski utkwiał w niej pytające spojrzenie. Jego twarz powracała do normalnych kolorów, jednak rysy pozostały napięte.

– Nadzorowałeś dochodzenie w sprawie ostatnich przetargów?

– Tak – odparł zdziwiony. – Osobiście zatwierdziłem jego umorzenie.

– W sprawie szpitala wojewódzkiego i trakcji tramwajowej?

– Dzięki Bogu, nie było tego wiele więcej.

Przez mózg Diany przebiegało tysiące myśli. Zderzały się i na siebie nachodziły, tworząc dziesiątki teorii. Tylko jedna była prawdopodobna. Abstrakcyjna, ale prawdopodobna.

– Jak dobrze znasz Ilonę Pycką? – zapytała po chwili.

Darski uniósł brwi.

– To ta, która nas umówiła?

– Tak.

– Widziałem ją kilka razy w życiu. Kiedy zadzwoniła, ledwo ją skojarzyłem – mruknął. – Przyjaźnię się z prokuratorem, przy którym pracuje. Ponoć to on mnie polecił... na randkę.

Dlatego był taki dowcipny i miły.

– Ale nie jesteście choćby znajomymi?

– Przecież mówię, że widziałem ją kilka razy w życiu...

Diana odłożyła sztucce. Abstrakcja zbliżyła się do rzeczywistości.

– Pisałam o tym artykuły – szepnęła. – Moje najlepsze, najpopularniejsze teksty. Na ich podstawie nakręcono reportaż dla TVN-u...

– Co takiego? To byłaś ty? Mieliśmy przez to w wydziale cholerny sajgon!

Darski podniósł się z krzesła. Wyciągnął portfel i położył na stole pieniądze.

– Zrobiłaś ze mnie zabawkę. – Z trudem hamował przekleństwa. – Chciałaś dorobić lipne drugie dno dla swoich sensacyjnych historyjek!

Nim zdążyła zaprotestować, gniewnym krokiem ruszył do wyjścia. Była zbyt zaskoczona, aby go zatrzymać. Obserwowała, jak wsiada do zaparkowanej pod lokalem taksówki i odjeżdża.

Było jasne, że Ilona ukartowała ich spotkanie. Darski nie był tym prokuratorem, o którym często wspominała. Być może to ona odpowiadała również za zdjęcia, które pojawiły się w internecie. W końcu jako jedyna mogła wiedzieć o tym, że się umówili.

Wszystko pasowało do siebie jak ulał. Pozostawało jednak jedno zasadnicze pytanie. Jaki miała motyw?

## DZIEŃ CZWARTY

### 1.

Przez cały wieczór Ilona nie odebrała telefonu od Diany. Kiedy zadzwonił nieznany numer, miała nadzieję, że to ona. Okazało się, że dziennikarz z jednej z ogólnopolskich stacji chciał przeprowadzić krótki wywiad. Wywiad dziennikarza z dziennikarką. Nie miała mu nic do powiedzenia.

Nie mogła brnąć w to, że jej tajemniczym informatorem był Darski. Oczywiście, w mediach pojawiły się już stosowne domysły i przypomnienia o jej artykułach. Olała to. Dementując, zrobiłaby kolejny krok w kierunku szamba wypełnionego sensacyjną aferą. Zamiast tego w osiedlowym sklepiku kupiła kilka mrożonek i zgrzewkę piwa. Ukołysana procentami, zasnęła przed północą.

Miała intensywne i nieprzyjemne sny. Obudziła się z bólem głowy i pytaniami, na które nadal nie знаła odpowiedzi. Na telefonie wyświetliła jej się lista nieodebranych połączeń od Manowskiego. Nagle, kiedy zwietrzył interes, przypomniał sobie o jej istnieniu. Kuszącym wyjściem było powiedzenie, że informatorem był prokurator, ale nie mogła tego zrobić. Zniszczyłaby zapewne jego karierę, a kłamstwo w końcu i tak by się wydało. Wielu cwaniaków spróbowałoby na tym wypłynąć, nie myśląc o przyszłości. Dla chwili sławy podpisałiby cyrograf z diabłem, wierząc, że do końca życia będą od tego odcinać profity. Ojciec wychował ją jednak na zbyt roztrofną, aby dała się omamić. A przede wszystkim sprawił, że miała osobliwy kręgosłup moralny. Z mocną skoliozą, lecz zawsze.

Zdała sobie sprawę, że zapomniała kupić pieczywa na śniadanie. Musiała się przez to zadowolić rozmrażaną w mikrofalówce zapiekanką z pieczarkami.

Kiedy zjadła, ponowiła rytuał z poprzedniego wieczoru. Snując się po mieszkaniu, co kilka minut wybierała numer Ilony. Tylko po to, by zaraz usłyszeć, że po sygnale powinna zostawić wiadomość. Po godzinie zmieniła taktykę. Wyszukała w internecie kontakt do wydziału prokuratury, w którym pracowała jej przyjaciółka. A raczej „przyjaciółka”.

Poszło zaskakująco łatwo. Odczekała na swoją kolej, przedstawiła się jako adwokat i bez problemu została przekierowana. Ilona odebrała niemal natychmiast.

– No proszę, jednak żyjesz!

Po drugiej stronie słuchawki panowało pełne napięcia milczenie. Musiała dostać mikrozawału.

– Możesz mi wyjaśnić, coś ty zrobiła? – Diana nie zamierzała pytać, dlaczego nie odbierała od niej telefonu. – Do cholery, odezwij się!

– Cześć. – Głos Ilony brzmiał grobowo. – Mam mnóstwo pracy, dlatego nie oddzwoniłam...

– Odpowiedz na moje pytanie.

– Nie rozumiem.

– Doskonale rozumiesz! – Diana była coraz bardziej rozjuszona. – Nie rób ze mnie idiotki!

– O co ci chodzi?

– Niech będzie. Inaczej sformułuję pytanie. Dlaczego umówiłaś mnie właśnie z Darskim?

Słyszała, jak Ilona przełyka ślinę.

– Chciałaś się spotkać z kimś z prokuratury, to ci pomogłam.

– Akurat wynajdując takiego, z którym przez miesiące szukałam kontaktu?

– Myślałam, że się ucieszysz...

Skoro była taka oporna, należało jej wyłożyć kawę na ławę. Diana miała nadzieję, że może wtedy się przyzna i wytłumaczy. Może.

– Wiedziałaś, na jakie tematy pisałam. – Przełożyła słuchawkę do drugiej ręki. – Wiedziałaś, że jeśli umówisz mnie z tym prokuratorem, to

zrobi się z tego afera i wszyscy go wezmą za źródło moich informacji.

– Chciałam ci pomóc.

– I niby to ja robię bajzel w życiu innych ludzi?

– Diana...

Najwyraźniej chciała z nią dalej pogrywać.

– A zdjęcia? – Nie ustępowała. – To też twoja robota? W ten sposób chciałaś mi pomóc?

Ilona głośno wypuściła powietrze.

– Nie mam czasu na twoje teorie spiskowe. Przepraszam, ale jest tu straszny bajzel. Zdzwonimy się niebawem.

– Czekaaj, do cholery!

Jednak połączenie już zostało przerwane.

Diana rzuciła komórkę na łóżko. Jedyna osoba, z którą dzieliła sekrety, zrobiła ją w chuja. Nie znajdowała na to łagodniejszego określenia. Chociaż... Została wydymana i zrobiona w chuja w jednym. To lepiej oddawało tę sytuację.

Nawet jeśli Ilona kierowała się szlachetnymi pobudkami, powinna była zapytać ją o zdanie. Nie zrobiła tego, bo znała jej zdanie. Jednak to byłaby w stanie przecierpieć i puścić w niepamięć. Zagrywka z fotografiami była poniżej pasa.

Chciała przeprosić Darskiego. Z całą pewnością obwiniał ją o wszystko i uważał za dziennikarską dziwkę. Poza tym mógł mieć spore problemy. Ewentualne postępowanie dyscyplinarne zostałyby w końcu umorzone, ale jego reputacja ucierpiałaby na zawsze. O posadzie w prokuraturze regionalnej mógł przez najbliższe lata pomarzyć. Będzie miał fart, jeżeli nie zostanie przesunięty z powrotem do rejonowej. Wszyscy wiedzieli, że minister miał ostatnio zapędy do roszad i wysyłania w upokarzające delegacje. A w takiej sprawie jego działanie na pewno zyskałoby społeczną aprobatę.

Wybrała numer Darskiego, ale nie odebrał. Miał znacznie lepsze powody niż Ilona. Elert mogła powtórzyć fortel z wydzwanianiem do prokuratury, lecz pewnie natychmiast by się rozłączył. A gdyby jeszcze ktoś skojarzył numer jej telefonu...

Nigdy nic nie wiadomo. Wewnętrzne dochodzenia bywały bardzo dokładne.

Pozmywała naczynia i włączyła telewizor. Jak zwykle ustawiony na stację informacyjną. Na pasku widniał sensacyjny komunikat.

*Policja oficjalnie potwierdza, że Patrycja Skawińska została zamordowana.*

## 2.

Śledczy musieli mieć sporo dowodów, bo rzecznik komendy puszył się jak paw, wychwalając pracę techników. Zapewniał, że ujęcie sprawcy to tylko kwestia czasu, a sprawą zajmują się najlepsi specjaliści w tej części Europy. Odmówił jednak odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania. Najwidoczniej nie było tak pięknie, jak starał się to przedstawić.

Sprawa wywoływała ogromne społeczne emocje, a presja na policję rosła z godziny na godzinę. Po ujawnieniu informacji o zabójstwie ta lawina musiała jeszcze przyspieszyć. Jeżeli nie ustalą sprawcy w ciągu kilku dni, zostaną uznani za nieudolnych. Po kilku kolejnych polecą głowy. Tak to działało od zawsze.

W jednej chwili Diana zapomniała o Ilonie. Dawniej miała problemy ze skupieniem się na jednym temacie, jednak z czasem nauczyła się, że nie da się złapać kilku srok za ogon. Od samego próbowania można było dostać schizofrenii.

Bez problemu ustaliła, że ani rzecznik, ani najbliżsi współpracownicy Bernarda Szajera nie będą tego dnia w siedzibie komitetu. Przynajmniej tej oficjalnej. Tajemnicą poliszynela było ich przywiązanie do pracy w High Heelu. Nigdy nie odbywały się tam konferencje prasowe, ale członkowie partii, z którą współpracował, obradowali tam regularnie.

Swego czasu szykowała się do napisania artykułu o luksusowym miejscu pracy polityków. Po pobieżnym zbadaniu sprawy nie doszukała się jednak niczego sensacyjnego. To właśnie w trakcie weryfikowania rozmaitych materiałów do tego tekstu pojawił się temat ustawianych przetargów. Tam oszustwa były znacznie bardziej wyraźne i na znacznie większą skalę. Teraz jak bumerang powrócił do niej wątek Szajera. W ciągu ostatnich dni to on stał się priorytetem. Tym bardziej, że sprawa przetargów wychodziła już jej bokiem. Skoro nie mogła

przeprosić Darskiego, wołała nie brać udziału w przybijaniu go do krzyża. Nieważne, czy kierowała nią ponadprzeciętna sympatia, odruch humanitaryzmu, czy też moralność.

Uważnie przeszukała notki prasowe komitetu Szajera i wyłączyła laptop. Skoro nie informowano o konferencjach, wyjazdach ani oficjalnych spotkaniach, jego bossowie musieli być w High Heelu. Bajeczki o zawieszeniu kampanii na czas żałoby po Skawińskiej mogli sprzedawać dzieciom. Na półmetku nikt nie mógł sobie odpuścić.

Szumienie w jej głowie już dawno ustało, ale i tak żałowała, że nie ma alkomatu. Przezorny zawsze zabezpieczony. Czy jakoś tak. Aplikacja na komórce po wpisaniu do niej szczegółowych danych wskazała, że Diana jest trzeźwa od co najmniej trzech godzin. Nieźle. Jednak jednocześnie informowała, że stanowi wyłącznie narzędzie edukacyjne i nie może być traktowana jako wiarygodne urządzenie pomiarowe. W domyśle: nie mogła konkurować z policyjnym balonikiem.

Diana upewniła się, że w lodówce zostało jeszcze półtorej butelki piwa. A skoro kupiła czteropak, to tak naprawdę wypija niewiele. Bardziej wykończyły ją stres i zmęczenie.

Umyła starannie zęby, potem przebrała się i zeszła do samochodu. O tej porze na parkingu było niewiele aut. Większość ludzi od kilku godzin pracowała, a nieliczni emeryci poruszali się komunikacją miejską. Nawet niebieskie ptaszki, takie jak ona, wyleciały na łono natury korzystać z ładnej pogody. Kobiety na macierzyńskim wyruszyły do parków, a studenci biwakowali nad Wisłą albo Zalewem Zegrzyńskim. Freelancerów w swojej okolicy nie znała.

Kiedy pół godziny później stanęła pod High Heelem, czuła się, jakby trafiła do innej rzeczywistości. Tłumy ludzi galopowały jak konie z klapkami na oczach. Adwokaci z togami do sądów, biznesmeni – do luksusowych aut albo taksówek, a wycieczki szkolne i grupki turystów – do Złotych Tarasów. Przybytek komercji od wielu lat odciągał ich od Pałacu Kultury.

Diana weszła przez rozsuwane drzwi i znalazła się w przestronnym holu. Obcasy zastukały o marmurową podłogę, obwieszając jej przybycie.



Mężczyzna w uniformie ochroniarza zerknął na nią zza biurka. Jego wzrok nie pozostawiał złudzeń, że jeżeli chce dostać się dalej, musi do niego podejść. Na ścianie obok mrugał szereg monitorów. Zapewne przekazywały obraz tylko z tego piętra, bo tuż za nim znajdowało się wejście do „głównego biura ochrony”, jak informowała tabliczka.

– W czym mogę pomóc? – zapytał służbowym tonem.

– Jestem umówiona na spotkanie. – Diana ukradkiem zerknęła na szyldy firm mających siedzibę w budynku. – Miałam przyjść kilka minut temu...

– Gdzie?

– Ósme piętro. Doradztwo biznesowe SafeLife'a.

Ochroniarz obrócił się na fotelu.

– Ma pani pecha – oznajmił z pogardliwym uśmiechem. – Ta firma zmieniła siedzibę jakieś trzy miesiące temu.

Cholera. Starła się opanować rumieniec i na oczekaniu wymyślała głupią historyjkę.

– Jeden z ich menagerów miał tu dzisiaj być. – Zerknęła na torebkę. – Muszę tylko przekazać dokumenty.

– Skoro nie mają siedziby, nie mogę pani przepuścić.

– Ale ja...

– Może pani zaczekać w holu. Tu jest jak w akademiku. Nie ma pani w kajecie, ja nie mam nadzwyczajnych poleceń, więc wstęp wzbroniony.

Dalsze przekonywanie go nie miało sensu. Próba ominięcia ochroniarza i dopadnięcia do windy też była skazana na niepowodzenie. Zapewne o wiele bardziej spektakularne niż w siedzibie partii Skawińskiej. Bez wątplenia skończyłaby na komisariacie, oskarżona o próbę wtargnięcia na teren prywatny.

Zrezygnowana usiadła na jednej z eleganckich kanap i postanowiła czekać. Tak długo, aż zobaczy kogoś z partii Szajera. Choćby do wieczora.

Wyciągnęła telefon, gotowa podjąć kolejną próbę ustanowienia węzowego rekordu. Idąc na studia, nie sądziła, że dziennikarstwo może polegać głównie na traceniu czasu. Czy to na konferencjach prasowych, czy przy pisaniu bzdurnych artykułów, czy wreszcie w czasie urządzania zasadzki na obraną ofiarę.

Przez Halicką straciła prawie dwie godziny. Tym razem szczęście uśmiechnęło się do niej znacznie szybciej. Ledwie rozegrała rundę, drzwi jednej z wind otworzyły się. Wyszło z niej kilku mężczyzn, którzy rozeszli się w różnych kierunkach. Nie kojarzyła spośród nich nikogo poza jedną korpulentną postacią z rozwichrzonymi włosami i okularami głęboko osadzonymi na płaskim nosie. Gdyby nie grzebała w temacie, nie znałaby ani jego nazwiska, ani funkcji, jaką pełnił. Odgrywał rolę człowieka od brudnej roboty i pojawiał się czasem w tle występów Szajera.

Wykorzystała moment, kiedy mężczyzna, przechodząc obok niej, rzucił jej krótkie, obojętne spojrzenie.

– Pan Michał Rapacki! – Zerwała się z kanapy, wyciągając dłoń. – Dzień dobry!

Mężczyzna bardziej z grzeczności niż z sympatii odwzajemnił jej delikatny uścisk. Kątem oka zauważyła, że ochroniarz pochylił się nad biurkiem.

– Kim pani jest?

– Diana Elert, miło mi.

Rapacki nie dał się zbić z tonu.

– Nie pytałem o pani imię, tylko o to, kim pani jest.

– Zajmuję się sprawą świętej pamięci Skawińskiej – powiedziała możliwie najogólniej. – Chciałabym z panem pomówić o...

– Nie odpowiadam na pytania.

– Jako szef kampanii kandydata mógłby pan...

– Już nim nie jestem – przerwał jej Rapacki z cierpkim uśmiechem. – Proszę zwrócić się do rzecznika.

– Wszyscy odsyłacie media do rzeczników.

– Taka ich rola, kontaktować się z dziennikarzami.

Ominął Dianę i skierował się w stronę wyjścia. Od razu ruszyła za nim.

– Nie jest pan już szefem kampanii?

– Proszę dać mi święty spokój!

– Zrezygnował pan? Widzę, że macie spore problemy.

To stwierdzenie podziałało na Rapackiego jak brykająca mysz na kota. Odwrócił się z zainteresowaniem.

- Być może wie pani więcej niż ja – stwierdził.
- Dość wnikliwie obserwuję waszą kampanię.
- I co pani odkryła?

Był wyraźnie zaintrygowany. Sprawiał wrażenie, że to on oczekuje informacji od Elert, a nie na odwrót. W ten sposób działali najwytrawniejsi politycy.

- Wiem, że jest pan prywatnie przyjacielem Bernarda Szajera.
- To bez znaczenia.
- Czy wie pan, gdzie on był wieczorem w dniu śmierci Skawińskiej?

To pytanie zmroziło Rapackiego. Zatrzymał się, poprawił okulary, po czym przyjrzał się uważnie dziennikarce czujnym wzrokiem.

– Ostatnio Bernard zachowuje się dziwnie – mruknął na odchodnym. – Ale oszalała pani, myśląc, że jest mordercą.

Jego głos zdradzał, że wcale nie jest tego taki pewny.

### 3.

Jak każda kapitalistka, najlepsze przemyślenia Elert miała wśród witryn sklepowych. Mijając wycieczki, które nie dotarły do Pałacu Kultury, snuła się alejkami Złotych Tarasów. Wiedziała, że nic nie kupi, bo nie nosiła ze sobą karty. W portfelu miała co najwyżej kilkanaście złotych, a i to po podliczeniu wszystkich drobnych.

Mogła sobie pozwolić na małe lody, ewentualnie cheeseburgera. Po godzinie gapienia się na szyldy restauracji zdecydowała się na snickersa i gumę truskawkową. Ten zestaw potrafił zaspokoić jej apetyt na cały dzień.

Nie spieszyło jej się. Podziemny parking, na którym zostawiła auto, kosztował tyle samo za godzinę, co za cały dzień. Nie miała pojęcia, jakim cudem to się kalkuluje, ale funkcjonowało w ten sposób od kilku lat.

Żując gumę, patrzyła na swoje odbicie w szklanych witrynach. Miała wątpliwości, czy nie powinna zająć się sprawą przetargów. Wcale nie musiała poświęcać Darskiego. Ba, nie musiała nawet kłamać. Teraz, kiedy media znowu się wszystkim zainteresowały, wystarczyła dobra

autopromocja. Wiele drzwi stanęłoby przed nią otworem. Z tym, że publikacja jakichkolwiek domysłów nieopartych dowodami skończyłaby się zarzutami prokuratorskimi.

Za dużo o nim myślała. Postrzegала swój materiał przez pryzmat jego problemów.

Badanie związku Szajera z morderstwem oznaczało walenie łbem w ścianę. I to żelbetonową. Nie miała żadnych śladów, żadnych nawet najdrobniejszych przesłanek, niczego – poza własnym instynktem. Połączyła kilka faktów i wątpliwości. Rozmowa z Rapackim tylko je wzmogła. Nie odwołuje się szefa kampanii na kilka tygodni przed wyborami. Do tego, zupełnym przypadkiem, parę dni po zabójstwie jednej z kandydatek. Poza tym Rapacki był wyraźnie zdenerwowany.

Poprawiła się.

On był dezorientowany. Starał się wyciągnąć od niej informacje, jakby sam nie wiedział, co się dzieje.

Gdyby Darski zorientował się, jakie dowody mają śledczy...

I znowu on.

Jak każdy dziennikarz zajmujący się aferami, w policji była spalona. Kiedy pojawiała się na horyzoncie, wszyscy się rozplýwali albo mieli nagły napad kaszlu. Otaczała ją mafijna zmowa milczenia, mimo tego że w świecie reporterów kryminalnych (choć nigdy nie czuła się jego częścią) była praktycznie nikim. Jej jedynym sukcesem był pierwszy materiał o przetargach. I tyle. Na widok czołowych, opiniotwórczych dziennikarzy policjanci zapewne odgryzali sobie języki.

Nawet nie spostrzegła, kiedy znalazła się przy samochodzie. Nogi same ją tu przywiodły, jakby zdecydowały, że czas wracać. Tylko dokąd?

Postanowiła pojechać do mieszkania i jeszcze raz przewertować materiały. W internecie przejrzała wszystko na temat Szajera, ale być może powinna szukać zupełnie inaczej. Jeżeli w jego komitecie toczyła się wewnętrzna rozgrywka, dotarcie do prawdy było jeszcze trudniejsze. A przecież polityka nie istniała bez rozłamów, powrotów i nieoczekiwanych transferów. Poza tym założenie, że za śmiercią Skawińskiej stoi ktoś z tego światka, było ciągle domysłem. Jedynie nieco bardziej prawdopodobnym od tego, że zbrodnię popełnił ktokolwiek inny.

Kiedy wjechała w osiedlową uliczkę, trafiła akurat na śmieciarkę. Zaparkowane samochody ograniczały możliwość jakiegokolwiek manewru, więc zatrzymała się, czekając, aż mrugający żółtymi światłami pojazd odjedzie.

Zerknęła we wsteczne lusterko. W oddali pojawiło się stare audi z przyciemnionymi szybami. W takim stanie od dawna nie powinno być dopuszczone do ruchu. Obserwowała, jak się zbliża, podskakując na odległym garbie, i nagle...

Nie, musiało jej się tylko zdawać!

Audi wystrzeliło jak z procy. Jego kilkulitrowy silnik zaryczał.

Pędziło prosto na nią, jakby kierowca chciał staranować kruchego new beetle'a. Wbić go pomiędzy siebie i wielką śmieciarkę. Zrobić z Diany krwawą miazgę.

Odruchowo dodała gazu. Nie było czasu na zastanawianie się, czy ten człowiek zasłabł, czy w aucie coś się zepsuło. Musiała się przepchnąć pomiędzy pojazdami, bez względu na koszt w postaci kilku lusterek i zadrapań lakieru.

Ze zdenerwowania pomyliła pedały. Silnik szarpnął i zgasł. Nie było już ratunku. Napięła mięśnie i wbiła się w fotel, oczekując uderzenia. Ułamki sekundy później rozległ się świdrujący pisk opon.

Wiedziała, że audi zahamowało tuż za nią. Poczowała smród spalonej gumy i zerknęła w lusterko. Kierowca wycofał auto, chcąc ją objechać.

Mężczyźni wyciągający kosz ze śmietnika odwrócili się, ale po chwili na powrót zajęli się swoją pracą. Diana działała instynktownie. Ponownie uruchomiła silnik i maksymalnie skręciła kierownicę. Wtedy audi zrównało się z jej samochodem. Oddychała głęboko, nie mogąc zaczerpnąć wystarczająco dużo powietrza.

Przyciemniona szyba opuściła się na tyle, że zobaczyła profil mężczyzny w baseballówce zasłaniającej większą część twarzy. Chwilę później w uchylonej szparze pojawiło się coś jeszcze.

Lufa pistoletu z dokręconym tłumikiem.

Rzuciła się do drzwi po stronie pasażera. Zahaczyła sukienką o dźwignię zmiany biegów, ale udało się jej szarpnąć za klamkę. Wybiegła na ulicę, w każdej chwili spodziewając się strzału.

Była przekonana, że lada moment kula utkwi w jej plecach.

Zobaczyła grupkę kobiet kierujących się w stronę jednej z klatek schodowych.

– Pomocy! – wrzasnęła z całych sił. – Wezwijcie policję!

Kobiety spojrzały na nią, ale nie zareagowały. Diana zatrzymała się. Plecami przylegała do przodu śmieciarki.

Przesunęła się ostrożnie, oglądając się za siebie. Na chodniku nie było nikogo. Nikt jej nie ścigał.

Nawet za porzuconym samochodem nie zatrzymał się żaden następny. Zupełnie jakby wszystko się jej przewidziało. Audi rozplynęło się w powietrzu.

Nagle usłyszała głos tuż obok siebie. Gardło jej się zacisnęło.

– Przepraszam! – Mężczyzna w stroju roboczym wyrósł jakby spod ziemi. – Czy coś się stało? Mogę jakoś panusi pomóc?

– Nie, nie, nic takiego... – wydukała, starając się uspokoić oddech.

– Na pewno? Ten wariat musiał panią nastraszyć. To pani chłopak?

– Kto?

– No, ten w czarnej bryce.

Czyli nie zwariowała. Nie przewidziało się jej. Szybko odzyskała jasność myślenia.

– Zapamiętał pan numery rejestracyjne?

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Nie. Chce to pani zgłosić na policję? W sumie nic takiego nie zrobił, gówniarskie popisy z awaryjnym hamowaniem.

– Tak. – Diana energicznie skinęła głową. – To tylko wygłupy.

Zobaczyła, że w ich stronę zmierza kolejny pracownik MPO. Bez słowa ruszyła do swojego samochodu.

Czuła się zażenowana. Mogła opowiedzieć im bajeczkę o tym, że robi eksperyment społeczny. Że wszystko jest w porządku, a oni są w ukrytej kamerze. Tyle że nie było nikogo, kto wyskoczyłby z gratulacjami. Usiadła za kierownicą. Zamknęła drzwi od strony pasażera i uruchomiła

silnik. Złożony dach dawał minimalne poczucie bezpieczeństwa. Najchętniej odgrodziłaby się teraz od świata grubym murem.

Śmieciarka powoli ruszyła. Diana skoncentrowała się na prowadzeniu samochodu. We wstecznym lusterku dostrzegła zbliżające się auto. Tym razem był to biały van, z przednią maską obklejoną logo firmy i jej hasłem reklamowym. Kojarzyła ten samochód z osiedla.

Kilka minut później wtoczyła się na parking pod blokiem. Adrenalina stopniowo opadała, a na jej miejsce wślaczały się wściekłość i upór. Było jej wstyd, że darła się opętańczo, wzywając policję.

Teraz nie mogła odpuścić. Jeżeli ktoś mierzył do niej z broni, domagał się uwagi. Nawet jeśli ten cholerny pistolet był jedynie plastikową zabawką. Nie dała się zastraszyć mailem, nie da i bronią. Musiała tylko bardziej się pilnować.

Z takim postanowieniem weszła do mieszkania. Zamknęła drzwi, zdjęła sukienkę i w samej bieliźnie rzuciła się na łóżko. Miała ochotę na kąpiel, ale odłożyła ją na później i wybrała numer Ilony. Nie spodziewała się, że odbierze, lecz musiała spróbować. Jeżeli kiedykolwiek były przyjaciółkami, to właśnie miała najpoważniejszy pretekst do szukania u niej pomocy

– Przepraszam. – Ilona odebrała po drugim sygnale. – Naprawdę mi głupio...

Były na dobrej drodze.

– Po prostu powiedz mi prawdę. – Diana zamknęła oczy. – Muszę wiedzieć, co się wokół mnie dzieje...

– Nic, co podejrzewasz.

– Ilona, niech cię szlag! – wybuchła. – Dostaję pogróżki, moje zdjęcie trafia na pieprzone serwisy plotkarskie, przed chwilą ktoś chciał mnie zabić, a ty kręcisz?!

– Co ty wygadujesz? – Pycka jęknęła. – Jak to: zabić?

– Zabić albo porządnie nastraszyć, machając pistoletem. Nazwij to, jak chcesz.

– Jezu... Kto to był?

– Myślałam, że może ty mi powiesz.

Elert była przekonana, że kierowca audi i autor maila chcieli ją zniechęcić do drażenia sprawy Skawińskiej. Afera z przetargami

wypłynęła pewnie przypadkiem. Ale tylko w ten sposób mogła zmusić Ilonę do mówienia. I to wcale nie kłamiąc.

Pycka wyrzuciła z siebie kilka nieskładnych sylab, po czym przeszła do rzeczy.

– Naprawdę nie chciałam cię w nic wplątać! To miało być...

– Co?

– Nie miałam pojęcia o zdjęciach...

– Ale o spotkaniu już tak? I o tym, czym zajmował się Darski?

Iłona na chwilę zamilkła.

– Błagam cię – odezwała się, opanowując głos. – Niech to zostanie tylko między nami.

– Tak jak moje spotkanie z prokuratorem?

– Proszę, nie...

– No to wyduś to z siebie wreszcie!

– Mój szef kazał cię z nim spiknąć. – Iłona wyrzuciła to z siebie głosem automatycznej sekretarki. – Zagroził mi wylaniem, wydaniem negatywnej opinii, rzucił całe mnóstwo pieprzonych straszaków. To wszystko było powiedziane niby w żartach, ale... Po prostu wiedziałam, że mówi poważnie. Nie mam zielonego pojęcia, kto za tym stał, ale cholernie mu na tym zależało.

Diana starała się połączyć wszystkie fakty, lecz coś jej nie pasowało.

– Kiedy to było? – zapytała. – Kiedy kazał ci nas umówić?

– Nie wiem. Dwa tygodnie temu? Jakoś tak. Od pewnego czasu czekałam na dobry moment, żebyś niczego nie podejrzewała. Kiedy zapytałaś o kontakty w prokuraturze, od razu pojawiła się okazja... Diana, tak mi przykro. Naprawdę, uwierz mi...

Elert była pewna jednego. Jeżeli jej spotkanie z prokuratorem było aranżowane od dwóch tygodni, to nie mogło się wiązać ze śmiercią Skawińskiej. Te sprawy z pewnością nie miały związku.

Chyba że zabójstwo kandydatki również stanowiło część skrzętnie przygotowanego planu.



# DZIEŃ PIĄTY

## 1.

Msza żałobna powinna się skończyć lada moment. Diana bezmyślnie kręciła się pod kościołem seminaryjnym, zerkając, czy ze środka nie wylewa się tłum żałobników. Tym razem nie miała ochoty na rundkę Snake'a. W pełnym słońcu i tak nie dostrzegłaby niczego na ekranie telefonu. Rzucające cień drzewa znajdowały się po drugiej stronie ulicy, a nie chciała się oddalać od kościoła.

Gdyby poprzedniego dnia nie celowano w nią z pistoletu, pewnie by jej tutaj nie było. Próbowałaby dodzwonić się do Darskiego, ewentualnie wysiadywałaby pod siedzibą partii Szajera. Nie miała innego pomysłu.

Jednak przez to, co się stało, wyzbyła się jakichkolwiek skrupułów i wątpliwości. Za wszelką cenę musiała poznać prawdę. Nawet kosztem kilku dodatkowych łez czy awantur. Moralny aspekt jej postępowania nie miał znaczenia.

Poza tym Szajer i jego współpracownicy na pewno pojawili się na nabożeństwie. Absencja byłaby wizerunkową katastrofą, na którą tylko czekali kontrkandydaci i dziennikarze. Najgłupszym podłożeniem się im. Nawet najzagorzalszy antyklerykał i satanista musiał pojawić się na mszy, jeżeli chciał cokolwiek ugrać w wyborach.

Z zamyślenia wyrwał ją odgłos otwieranych wrót kościoła. Kilka osób wyszło już na zewnątrz, rozmawiając przyciszonymi głosami. Elert czym prędzej skierowała się w ich stronę. Minęła kamerzystę jednej ze stacji i weszła do kruchty akurat w chwili, kiedy dochodziła do niej rodzina Skawińskiej. Od razu dostrzegła jej siostrę. Nie wyglądały jak

bliźniaczki, ale podobieństwo było uderzające. Nawet zrozpaczona twarz Ewy przypominała zazwyczaj uśmiechniętą twarz Patrycji. Prosty nos, wydatne usta, mocno zaznaczone kości policzkowe.

Diana z zadowoleniem dostrzegła, że kobieta nie wspiera się na ramieniu żadnego mężczyzny, a wręcz idzie nieco z boku. Przez chwilę chciała rzucić naprędce sklecone wyrazy współczucia, ale kobieta na pewno nie wzięłaby ich za szczere. Konwenanse były zbędne.

– Powiedziała pani, że przez takich jak ja zginęła pani siostra – odezwała się, kiedy Ewa Skawińska przechodziła tuż obok. – Wtedy policja jeszcze nie ujawniła, że to zabójstwo.

Siostra zmarłej obrzuciła ją pustym spojrzeniem. Miała zaczerwienione oczy i rozmazany makijaż. Zrobiła jeszcze kilka kroków, zanim na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia.

– Ty dziennikarska szmato! – wrzasnęła, zatrzymując się. Kilka osób odwróciło się w ich stronę. – Ty suko! Nawet dzisiaj? Przed kościołem?!

Diana przełknęła te inwektywy. Była na nie przygotowana. Przybrała minę pełną współczucia i zrozumienia.

– Rzeczywiście nie chce pani poznać prawdy? – zapytała.

– Policja znajdzie sprawcę.

– Wierzy w to pani? Minęło kilka dni, a śledztwo nawet się nie rozkręciło.

– A pani myśli, że będzie lepsza? Proszę mnie, do cholery, przepuścić.

– Zrobię wszystko...

Jakiś mężczyzna złapał Elert za ramię, ale wywinęła mu się. Siostra Skawińskiej skierowała się w stronę schodów.

– Gdyby tak było, nikt nie zwracałby się po pomoc do Rutkowskiego, Jackowskiego czy innych... – szepnęła Diana, krocząc tuż za nią. – Ja wiem znacznie więcej niż policja.

Siostra Skawińskiej obejrzała się, zaciskając usta. Wyszły przed kościół.

– Niby co?

– Wiem, że rozmawialiście przed jej śmiercią. – Zdawała sobie sprawę, że służby od dawna dysponowały odpowiednimi billingami. – Wiem, że pani siostra miała tego dnia umówione spotkanie. Ustaliłam do tego

wiele innych faktów, z którymi policji będzie nie po drodze. Co pani szkodzi porozmawiać?

Ktoś znowu złapał ją za ramię. Tym razem dużo mocniej i bardziej zdecydowanie. Siostra Skawińskiej zatrzymała się, machając od niechcienia ręką. Uścisk zelżał. Wysoki mężczyzna obszedł Dianę, kręcąc z niesmakiem głową.

– O czym rozmawialiście? – zapytała Elert. – Tylko tyle chcę wiedzieć.

Ewa Skawińska zbliżyła się do niej. Diana poczuła zmieszane wonie perfum i kadzideł.

– Patrycja była podekscytowana – odezwała się pustym głosem. – Mówiła, że wkrótce zyska znaczne poparcie. Chciała, żebym trzymała za nią kciuki.

– Nie powiedziała, w jaki sposób ma zdobyć to poparcie?

– Proszę dać mi już spokój.

Ostrożnie, aby nie rozmazać makijażu, otarła łzę. Ominęła Dianę, kierując się w stronę zgromadzonej nieopodal rodziny. Elert powstrzymała się przed dalszymi pytaniami. Miała wystarczająco dużo rzeczy do przemyślenia. Strzępki informacji uzupełniały się, tworząc coraz spójniejszy obraz.

Rozejrzała się wokół. Wśród wychodzących dostrzegła Bernarda Szajera. Wymieniał uściski dłoni z mężczyzną odwróconym do niej plecami. Ktoś lekko ją szturchnął. Musiała się cofnąć, robiąc miejsce dla pracowników zakładu pogrzebowego, którzy przenieśli trumnę do karawanu i wsiedli do środka. Żałobnicy skierowali się do zaparkowanych aut.

Kiedy się odwróciła, Szajera już nie było.

Zniknął.

## 2.

Skawińska mogła zyskać kilka procent tylko w jeden sposób. Pozbawiając ich innego kandydata. Wynik wyborów był grą, w której jedni zyskiwali kosztem drugich. Do podziału był tort składający się ze stu procent głosów. W połączeniu z notatką w kalendarzu kandydatki

nie trzeba było Sherlocka Holmesa, żeby pojąć, co miała na myśli, rozmawiając z siostrą. Wieczorem, w dniu zabójstwa, miała spotkać się z kimś, kto miał dowód obciążający któregoś z kontrkandydatów. Albo z kimś, kto tak twierdził. Obietnica takiego prezentu stanowiła doskonałą przynętę nawet dla najbardziej etycznych. Mógł on zagwarantować wygraną w wyborach. Albo rozbić układ sił, zmuszając strony do zawierania koalicji lub dokonania rozszad.

Elert z wielką uwagą obserwowała wyścig do Białego Domu sprzed paru lat. Wyciągnięte przez hakerów i opublikowane przez media maile Hillary Clinton były jej gwoździem do trumny. Kolejnym stało się śledztwo wszczęte przez FBI. Nie chodziło o mocne dowody. Wszystko polegało na wzbudzeniu wątpliwości wobec kandydatki.

Pół roku później podobna sztuczka nie wypaliła we Francji. Marie Le Pen przegrała z kretelem w drugiej turze pomimo tysięcy sfabrykowanych maili obciążających jej przeciwnika. Również na polskim podwórku zdarzały się podobne zagrywki. Afery taśmowe, madryckie, zegarkowe w większości miały takie znaczenie, co wyciągnięty z kapelusza dziadek z Wehrmachtu. Jednakże, odpowiednio nagłośnione, doprowadziły do politycznych wstrząsów.

Diana wróciła do mieszkania i zaszyła się w salono-gabineto-sypialni. Kipiała od determinacji. Była gotowa wypuścić korzenie i przyrosnąć do łóżka, byle coś znaleźć.

Przez całe popołudnie przeczesywała internet w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów afer związanych z tegorocznymi wyborami samorządowymi. Sądziła, że jest to jedno z tych działań, których na pewno nie podjęła policja. Tymczasem tego typu dowody znajdowały się zazwyczaj na wyciągnięcie ręki.

Znużona, zaczęła się zastanawiać, czy nie podeszła do sprawy zbyt optymistycznie. Dowód mógł oznaczać również coś dokładnie przeciwnego, niż sądziła. Być może Skawińska nie była tak krystalicznie czysta. Ktoś mógł ją szantażować, grożąc ujawnieniem skandalu. Wówczas perspektywa obracała się o sto osiemdziesiąt stopni. Zamiast podejrzeń kierowanych wobec innych komitetów wyborczych należałoby się skupić na jej własnej partii. I jej własnej przeszłości.

W tym względzie ufała jednak Wilczkowi. Gdyby cokolwiek było do znalezienia, na pewno znalazłby wszystkie szczegóły. Był człowiekiem, przy którym klasyczni paparazzi sprawiali wrażenie szanujących prywatność dżentelmenów. Bardziej prawdopodobne, że dowód spreparowano. Poza tym Skawińska twierdziła, że zyska poparcie, a nie, że je tylko utrzyma...

Zniechęcona natłokiem nowych teorii przewijała wyniki wyszukiwania. Była głodna i ciągle marzyła o kąpieli. Poprzedniego wieczoru marzenia skończyły się na szybkim prysznicu. Przetarła oczy, gdy wtem jej uwagę przykuł jeden z nagłówków.

*Sprawa śmierci kandydatki na prezydenta Pruszkowa ostatecznie umorzona.*

Bardziej przez graniczącą z nerwicą skrupulatność niż z ciekawości otworzyła stronę. Wpis na portalu „Gońca Pruszkowskiego” był krótki i nie został opatrzony żadnym zdjęciem.

*Prokuratura zdecydowała się umorzyć wznowione śledztwo w sprawie śmierci Joanny Werskiej, kandydatki na prezydenta Pruszkowa. Przeprowadzone przed sześciu laty postępowanie budziło liczne wątpliwości. Podnoszono zastrzeżenia co do jakości zebranego materiału dowodowego, udziału policjantów, którzy zostali w późniejszych latach wydaleny ze służby, a także staranności działań prokuratury.*

*Ówczesna kampania odbywała się w nerwowej atmosferze. Po raz pierwszy w historii prezydenta miasta wybierano w wyborach bezpośrednich (do 2002 był wybierany przez lokalny samorząd terytorialny – przyp. red.). Pruszkowska mafia, już osłabiona, bezwzględnie walczyła o utrzymanie wpływów. Wszyscy kandydaci zostali wystawieni przez nieznane wcześniej komitety. Zdaniem rzecznika policji to właśnie te okoliczności doprowadziły do medialnego szumu wokół sprawy.*

*Doniesienia o przelomowych zeznaniach nieznanego wcześniej świadka okazały się nieprawdziwe. Pomimo zastosowania najnowocześniejszych technik śledczych nie znaleziono żadnych dowodów, które świadczyłyby o udziale osób trzecich. Również ponowna analiza akt sprawy, w tym dokumentacji patomorfologicznej, doprowadziła do jednoznacznych ustaleń. Joanna Werska popełniła samobójstwo.*

*Wydaje się, że temat, który podważał wiarygodność organów państwa, został ostatecznie zamknięty. Oby wątpliwości już nigdy nie powróciły.*

Diana przeczytała całość dwa razy. Tekst został dodany na stronę w maju 2008 roku. Zapewne dlatego sprawa była jej zupełnie nieznana. Przez kolejną godzinę starała się wyszukać więcej informacji na ten temat. Jednakże poza kilkoma powieleniami przeczytanej już przez nią notki i wzmianką o rzekomym „nowym świadku” nie znalazła niczego więcej. Afera miała miejsce, zanim na dobre rozpoczęła się era internetowych wydań dzienników. Jedyne, co mogła zrobić, to poprosić o dane z archiwum. Jednak o tej porze redakcja z całą pewnością była już zamknięta. Nie miała też co liczyć na dział internetowy.

Musiała poczekać do jutra.

### 3.

Kiedy tylko weszła do wanny, zadzwonił telefon. Rozlewając wodę, sięgnęła w stronę pralki. Dzwonił jej ojciec. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów poddał się i wybrał numer komórki. Przez chwilę patrzyła w ekran, wreszcie nacisnęła zieloną słuchawkę.

– Cześć, tato... – Nie wiedziała, czego się spodziewać. – Co tam?

– Nie mogę się do ciebie dodzwonić, zostawiałem wiadomości... – zaczął oskarżycielskim tonem. – Zapomniałaś o mnie?

Dyskusja na temat tego, że można też dzwonić na komórkę, nie miała sensu.

– Nie zapomniałam. Byłam bardzo zajęta.

– Tak. Wiem. Jak zawsze.

Spodziewała się wywodu na temat wad seryjnych new beetle'a, ale ojciec poszedł w innym kierunku

– Widziałem zdjęcia, które pojawiły się w internecie.

– W internecie pojawia się mnóstwo zdjęć.

Jej ojciec westchnął.

– Na niewielu brylujesz w towarzystwie prokuratorów – odparł. – Bardzo dobrze robisz.

– Zrobiło się wokół tego zamieszanie. A tak naprawdę nie ma się czym podniecać.

– Tylko zamieszanie?

Tak. To było tylko zamieszanie. Gdyby powiedziała mu o tym, że dostała pogróżki, już by do niej jechał z asortymentem gazów pieprzowych. Na wiadomość o wycelowanym w nią pistolecie zabrałby ją stąd i zamknął w klatce w piwnicy. Albo w schronie.

Był chorobliwie nadopiekuńczy. Sądziła, że to jeden z powodów, dla których tak rzadko dzwonił. Po prostu nie chciał się martwić, słysząc jakikolwiek smutny ton w jej głosie.

– Masz właśnie swój najlepszy czas. – Dobiegło do niej tłumaczenie ojca. – Spróbuj to wykorzystać.

– Robię, co mogę.

– Pisziesz teraz jakiś artykuł? Pewnie wydawcy się o niego biją.

– Właśnie jeden mi odrzucono – odparła zgodnie z prawdą, nie wspominając, że złożyła go przed paroma dniami. – Ale na pewno nie przestanę.

– I tak trzymać.

– Niby jak?

Zapewne miał tysiąc pomysłów. Aż chciała usłyszeć te wspaniałe sentencje..

– Pozwól, żeby niosła cię fala. Wskoczyłaś na nią, a teraz płyn na niej najdłużej, jak się da.

Ojcowska klasyka.

– Jeszcze jakieś złote rady?

– Zawsze chciałaś być znaną dziennikarką. – Wyobrażała sobie, jak trudno mu pohamować kpiący ton. – Masz swoje marzenia, dążysz do ich zrealizowania, jeżeli możesz być kimś w tym świecie...

– Czyli jestem nikim? – Przerwała ten wywód. – Do tej pory byłam nikim, tak?

– Nie o to chodzi.

– Oczywiście, że właśnie o to. Nie poszłam na prawo, nie zostałam lekarzem ani bankierem, więc dobrze, jeżeli będę chociaż znana. Gównie warta, ale znana.

– Diana! Proszę cię.

– W ogóle dlaczego się nagle zainteresowałeś moim życiem? Dlatego, że zobaczyłeś moją fotkę w „Kurierze”?

Wiedziała, że ojciec systematycznie przegląda warszawskie gazety i kanały w poszukiwaniu jej tekstów.

– To było na Onecie. Razem z przypomnieniem całej afery, o której pisałaś. Tej o przetargach. O moście Siekierkowskim i...

– Wiem, o czym pisałam.

Ojciec na chwilę zamilkł.

– Cieszę się. – Brzmiało to szczerze. – Naprawdę się cieszę, że...

W słuchawce Diany rozległ się dźwięk nadchodzącego połączenia. Pośpiesznie zerknęła na wyświetlacz. Nie wierzyła swym oczom. Dzwonił Darski.

– Tato, muszę kończyć – rzuciła podekscytowana. – Mam drugi telefon. Pa!

Otarła dłoń o ręcznik i wcisnęła zieloną słuchawkę. Prokurator odezwał się pierwszy.

– Chciałem ci tylko powiedzieć...

– Że?

– Że nie mam do ciebie żadnych pretensji.

Poczuła napływającą ulgę. To były słowa, na które w napięciu czekała, odkąd zostawił ją w restauracji. Nie żadne tanie „przepraszam”. Za przeprosinami zazwyczaj nie kryło się zrozumienie, a jedynie chęć zamiecenia tematu pod dywan.

Odchyliła głowę do tyłu, moczając włosy w wodzie. Uważała, aby nie ochlapać słuchawki.

– To wspaniale! – Udała obrażoną. – Bo rozważałam już skok z wysokości.

– Zawodna metoda.

– Słucham?

– Wielu skoczków zostaje warzywkami – westchnął. – Wysoka cena za parę zdjęć. Do tego nie w negliżu.

– Wolałabym się na nich nie znaleźć.

– Wiem.

Jeżeli rozmowa będzie tak im szła, w ciągu godziny dojdą może do pytania o pogodę. Ciągłe tkwiło w nich niepotrzebne napięcie. Czekali



na reakcje tego drugiego, ale pozostawali ostrożni z własnymi.

Woda robiła się chłodna. Diana odkręciła kurek i doląła gorącej.

– Co to za szum? – zapytał Darski.

– Jestem w wannie.

– O, to jest idealna sceneria do robienia zdjęć. Piana, świeczki, kieliszek wina...

– Nie rozmarzaj się – przerwała mu. – Nie mam tu niczego takiego.

Prokurator przez chwilę milczał.

– Co do tej sprawy – nieoczekiwanie zmienił temat – sędzę, że nie ma związku z twoimi artykułami. Przypuszczam też, że to nie była przemyślana robota. Nikt nie chce szumu wokół swoich problemów.

Diana zakręciła wodę.

– Tak, to raczej...

Urwała w pół zdania. Nie miała najmniejszej ochoty po raz kolejny wracać do tej historii. Z łatwością mogła oskarżyć przełożonego Ilony, ale poza jej słowami nie miała żadnych dowodów. Przypuszczała, że wszystko się wkrótce wyjaśni. Darski utwierdził ją w tym przekonaniu.

– Jutro powinienem wiedzieć, kto wysyłał te tweety – oznajmił. – O ile nie zrobił tego mistrz hakowania.

#### 4.

Diana od początku rozmowy zastanawiała się, czy powinna podzielić się z Darskim swoimi spostrzeżeniami. Byłaby to przynajmniej okazja do zmiany tematu. Miała dość słuchania o zdjęciach. Jeżeli prokurator ustali ich autora, chwalała mu za to. Jeśli nie, szkoda było się zamartwiać.

– Zastanawiałaś się, komu śmierć Skawińskiej byłaby na rękę? – zapytała jednym tchem.

Darski był wyraźnie zaskoczony.

– Nie – odparł po chwili. – To nie moja działka. Nie mieszam się w to.

– Pomyślałam sobie... – Urwała w pół zdania.

– Tak? – dopytał prokurator. – Co sobie pomyślałaś?

– Że może chodzi tylko o wybory?

– Masz na myśli przejęcie jej poparcia?

– Albo niestracenie swojego. – Wolą nie podawać szczegółów rozmowy z siostrą kandydatki. – Na jedno wychodzi.

Prokurator zaczął się niecierpliwić.

– Jeżeli coś masz, lepiej podziel się tym z policją – rzucił poważnym tonem. – Będą wiedzieli, co z tym zrobić.

– To tylko przypuszczenia...

– To też nie zaszkodzi.

Diana odsunęła telefon od ucha i obmyła twarz wodą.

– Muszę jeszcze coś sprawdzić... – odezwała się po chwili. – Jeżeli miałabym rację, zostanę polskim Woodwardem. Albo jeszcze lepiej.

– A kto zostałby polskim Nixonem?

– Nie wiem. Być może Bernard Szajer.

– Darski roześmiał się serdecznie. Bez cienia ironii.

– Dajana, Dajana... – powtórzył, chichocząc. – Mówiłem ci, że ponosi cię dziennikarska fantazja.

Nie lubiła, kiedy ktoś postrzegał jej słowa przez pryzmat zawodu. Ile razy to już słyszała? Wystarczyło, że skomentowała najnowszy sondaż. Ustawiony. Zaraz oskarżano ją o szerzenie teorii spiskowych. Albo kiedy mówiła o kończącym się wyroku kogoś z dawnego Pruszkowa. I co, myślisz, że znowu będzie bossem?

Powstrzymała złość. Nie chciała się kłócić. W ogóle niepotrzebnie zaczynała ten temat. Wystarczyły dwa spotkania i kilka rozmów, żeby naprawdę polubiła Darskiego. Jeżeli chciała podtrzymać tę relację, dalsze poruszanie wątku kandydatki było wykluczone. Tyle że przecież dlatego się z nim skontaktowała. Nie liczyła na zawieranie przyjaźni ani perspektywicznych znajomości czy romansowanie. Chodziło o tę konkretną sprawę. O dojście do źródła, dzięki któremu napisze porządny tekst. Decyzję o tym, jaki obrót przybierze ich relacja, postanowiła oddać losowi.

Zakończyła rozmowę, obiecując odezwać się w najbliższym czasie. To też o czymś świadczyło. Na razie spotkanie się na żywo nie wchodziło w grę. Ale gdy tylko prokurator ustali tożsamość autora tweetów... Przynajmniej będą wiedzieli, kogo unikać. Poznają wspólnego wroga.

Dolała ciepłej wody i się odprężyła. Zamknęła oczy. Powoli ogarniało ją przyjemne rozleniwienie. Zastanawiała się, czy wyprawa do archiwum

„Gońca Pruszkowskiego” ma sens. Mogła stracić czas na przeglądanie materiałów, które okażą się bez znaczenia. Chociaż... i tak nie miała żadnego innego planu.

*Jeśli chcesz natrafić na ropę, musisz robić próbne odwierty.*

Tak mawiał Manowski. Dorzucał do tego jeszcze kilka epitetów, ale sens był ten sam. Sprawa przetargów dotyczyła tylko Warszawy, a ona zjeździła pół Polski w poszukiwaniu biznesmenów, siedzib spółek i byłych urzędników.

Poczuła, że woda marszczy skórę jej stóp i dłoni. Szybko umyła włosy i wyszła z wanny. W pluszowym szlafroku, z ręcznikiem na głowie przeszła do pokoju. Uruchomiła laptopa.

Podczas rozmowy z Darskim coś przyszło jej do głowy. Może to nie w życiorysie Skawińskiej znajdował się klucz do jej śmierci. Może stanowiła ona jedynie element wspólny. Jej koniec i epizod w życiu kogoś innego? Na przykład Bernarda Szajera? To było pokrętne rozumowanie, wymagające uporządkowania, lecz stanowiło dobry punkt wyjścia dla poszukiwań.

Podłączyła ładowarkę i zaczęła wyszukiwać kolejne hasła. Zaczęła od podstaw: notki na Wikipedii czy strony kampanii wyborczej, później zanurzyła się w gąszczu artykułów prasowych i wpisów. Przez cały czas robiła notatki. Po kilku godzinach miała zapisanych kilkanaście stron i mętlik w głowie. Biografia kandydata miała wiele pustych miejsc. Luk, które uzupełniały albo domysły, albo sprzeczności.

Człowiek znikąd został nagle istotnym działaczem partyjnym, a chwilę później trafił na intratne stanowisko w ministerstwie. W wywiadach dla serwisów plotkarskich podkreślał, że dopiero wtedy poznał swoją przyszłą żonę – córkę znanego polityka. To wykluczało teorię trafienia na salony przez łóżko. Mógł, oczywiście, kłamać, lecz wyglądało na to, że z teściem nie łączą go najlepsze stosunki.

Diana nie znalazła żadnego wyjaśnienia. Szajer nie działał w żadnej młodzieżówce partyjnej, nie był celebrytą, nie wydawało się, żeby miał większe znajomości. Ot, brzydkie kaczątko, które zmieniło się w łabędzia.

Więc dlaczego dostał tę fuchę? Trudno było się wdrapać na najniższe ministerialne schodki, a co dopiero na ich szczyty.

Na to pytanie Darski na pewno nie znalazłby odpowiedzi.

## DZIEŃ SZÓSTY

### 1.

Przed wyjściem z domu Diana wrzuciła do torebki gaz pieprzowy. Ojciec kupił go jej, gdy była jeszcze na studiach. Przez kilka lat przeleżał zapomniany na dnie szuflady z bielizną. Po tym czasie mógł być bezużyteczny, ale sprawił, że poczuła się pewniej. Gadżet, równie dobry co zajęcza łapka albo czterolistna koniczyna. Specjalnie włożyła dzinsy, ale nie dała rady go upchnąć w kieszeni. Nie chciało się jej z powrotem przebierać.

Starannie zamknęła drzwi. Sprawdziła oba zamki i szarpnęła za klamkę. Zbiegła po schodach, przytrzymując ramieniem torebkę. Poprzedniego dnia zaparkowała new beetle'a w tej części parkingu, którą obejmował osiedlowy monitoring. Na wszelki wypadek.

Pogoda była piękna. Liście drzew zaczynały się złocić i opadać na osiedlowe trawniki. Szeleściły pod stopami.

Uwielbiała przełom lata i jesieni. Kolejny dzień jeżdżenia bez dachu. A może jednak nie? Ciągnęło porannym chłodem. Zresztą nie tylko o to chodziło. Otworzyła drzwi i poczuła przyjemną woń nagrzanego tapicerki. Zganiła się w myślach za przejawy paranoi.

Złożyła dach, ale podniosła wszystkie szyby. W końcu nie chciała się przeziębici – to była wystarczająca wymówka.

Miała do przejechania kilkanaście kilometrów, lecz o tej porze szykowała się na godzinny mordęgę. Gdyby wyjechała za dwie godziny, czas dojazdu skróciłby się o połowę. Czekanie doprowadzało ją jednak do szaleństwa. Przy porannej kawie powyrywała sobie wszystkie skórki

przy paznokciach i poobgryzała je same. Wybrała stanie w korku niż kontynuowanie tej sesji manicure. Zresztą jedno nie wykluczało drugiego.

Zgodnie z przewidywaniami pod redakcją „Gońca Pruszkowskiego” zaparkowała po ponad pięćdziesięciminutowej batalii drogowej. Skórzana kierownica volkswagena była obklejona resztkami lakieru do paznokci. Ściągając go, zaoszczędziła na wizycie u kosmetyczki. Przynajmniej w ten sposób łatwiej było jej przeboleć kilka litrów paliwa. Ojciec powtarzał, żeby nie ryzykowała jazdą na oparach. Nie sprecyzował tylko, czy chodzi mu o paliwo, czy o stan jej portfela.

W przeciwieństwie do większości stołecznych redakcji siedziba „Gońca Pruszkowskiego” mieściła się w niepozornej, pooblupowanej z tynku kamienicy. O tym, że trafiła pod właściwy adres, świadczył jedynie kolorowy szyld. Tandetny logotyp, niezmienny pewnie od lat dziewięćdziesiątych.

Weszła do środka i pokazała sekretarce legitymację prasową. Straciła ważność kilka miesięcy temu, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Także tym razem obyło się bez problemów.

Po kilku minutach stanęła naprzeciw krępego mężczyzny o twarzy hipopotama. Miał obwisłe policzki, podwójny podbródek i wielkie uszy. Piastował stanowisko redakcyjnego archiwisty i korektora. Najwyraźniej złąkniony rozmowy, z zainteresowaniem wysłuchał, w czym mógłby jej pomóc.

– Stare wydania przechowujemy w wewnętrznym systemie – wyjaśnił, kiedy Diana zamilkła. – Do końca roku chcemy udostępnić numery z przełomu wieków.

Elert zrobiła minę zasmuconego dziecka.

– Potrzebuję ich na wczoraj.

– Materiał? Jakiś reportaż? To chyba pani jest bohaterką tego ostatniego zamieszania z prokuraturą?

Mężczyzna wyszczerzył zęby. To „ostatnie zamieszanie” musiało być znacznie większe, niż sądziła. Konsekwentnie unikała czytania artykułów na ten temat. Omijała je, udając, że nie istnieją. Przynajmniej w radiu sprawa nie była tak wałkowana. A może celowo wybierała stacje, w których emitowano tylko muzykę?

Otrząsnęła się z tych myśli i odwzajemniła uśmiech. Znacznie subtelniejszy.

– Może jestem fanką starych wydań waszej gazety?

– Nie wygląda pani na świra.

– Niech pan nie ocenia książki po okładce. – Elert zaczęła się niecierpliwić. – Udostępni mi pan te numery? Bardzo mi na nich zależy...

Archiwista podniósł się z za stolika i dał jej znać, aby poszła za nim. Przekręcił klucz i otworzył stare, solidne drzwi.

– Ma to jakiś związek z tymi przetargami? – zapytał, przepuszczając ją w progu. – Czy to jakaś nowa sprawa?

– Wie pan, że nie mogę powiedzieć.

– A pani, że starzy korektorzy bywają strasznymi wrzodami na tyłku.

Weszła do rozległego pomieszczenia, oświetlanego przez żółte jarzeniówki. Wokół ciągnęły się szeregi metalowych regałów. Większość szerokich półek zionęła upiorną pustką. Kiedyś służyły zapewne za tradycyjne archiwum, teraz pokrywała je gruba warstwa kurzu. Zawartość została przeniesiona na dyski ustawionych pod ścianą komputerów. Mężczyzna poruszył myszką i ekran pierwszego z nich natychmiast się rozjaśnił.

– To prosty program – odezwał się, uruchamiając aplikację. – Nawet w moim wieku udało mi się w tym połapać. Wystarczy wybrać datę i można przeglądać całe wydanie.

Elert popatrzyła mu przez ramię.

– Jest możliwość wyszukiwania po haśle? – zapytała.

– Tak. Ale lepiej przeglądać wszystko ręcznie. Nieraz nie mogę czegoś znaleźć, a później okazuje się, że to błąd systemu. Skaranie boskie z tymi komputerami. Papierowe strony przerzuca się szybciej i przyjemniej.

– Na pewno – wtrąciła Diana, kiedy archiwista westchnął. Zaczynał się rozkręcać, więc musiała szybko go spławić. – Dziękuję za udostępnienie komputera. Nie będę panu zawracała już głowy.

Mężczyzna odsunął fotel, aby usiadła.

– Jeżeli będzie miała pani jakieś pytania, nie ruszam się ze swojej nory.

- Dziękuję.
- Proszę nie usuwać historii wyszukiwania.

Zachichotał i zostawił ją samą.

Diana wyciągnęła z torebki notatnik. Rozgościła się przy komputerze i zawężyła zakres dat. System był rzeczywiście intuicyjny. Na ekranie wyświetlił się wykaz numerów i miniaturki pierwszych stron. Niestety, nie wyszczególniono spisu tekstów. Musiała otwierać kolejne wydania i uważnie przeglądać ich treść.

Tylko dwa razy sprawa samobójstwa kandydatki znalazła się na okładce. Później zeszła na dalsze strony, a odnalezienie właściwych notek zabierało coraz więcej czasu. Wreszcie pojawiły się wydania, w których nie znalazła już żadnych informacji na ten temat. Zniechęcona, mechanicznie przerzucała kolejne numery. Nawet w tekście dotyczącym wyniku wyborów o samobójstwie ledwie wspomniano. Stanowiło smutny, lecz mało ciekawy epizod pierwszej kampanii przed wyborami na prezydenta miasta. Postępowanie zostało umorzone, nie wykryto żadnych znamion przestępstwa. Prokuratura wykluczyła udział osób trzecich, polityk ponoć od lat leczyła się na depresję. W subtelny sposób zasugerowano, że cierpiała także na alkoholizm. Prawdopodobnie wcale nie chciała się zabić, a jedynie niefortunnie pomyliła leki z zakąską do wódki.

Ostatnia wzmianka o sprawie pochodziła z początku roku po wyborach. Diana miała wrażenie, że tekst został przekopiuwany z wcześniejszych wydań. Nie zawierał żadnych nowych informacji i wyglądał na wklejony całkowicie bez sensu. System archiwizujący zawierał wiele błędów i to był pewnie jeden z nich.

Pod artykułem zamieszczono zdjęcie. Nie widziała go wcześniej. Przedstawiało około pięćdziesięcioletniego mężczyznę o ostrych rysach i przenikliwym spojrzeniu. Fotografii nie opatrzone żadnym podpisem ani komentarzem. Czy był to ówczesny podejrzany? Później postępowanie zostało przecież wznowione... W tekście nie wspomniano o tym ani słowem. W końcu nikogo nie poszukiwano, nie wyznaczono żadnej nagrody, nie przesłuchano nawet zbyt wielu świadków. Sprawa nie budziła żadnych emocji. Można było to wyczuć choćby w sposobie prowadzenia dziennikarskich narracji. Nawet redaktorzy operujący



suchym językiem w pewnych sytuacjach dawali się ponieść wyobraźni. W tym przypadku niemal wszystkie wzmianki o śmierci kandydatki przypominały tekst ustawy budżetowej. Z tym, że bez jej optymizmu.

Mimo wszystko Diana miała wrażenie, że gdzieś już widziała mężczyznę ze zdjęcia. Może powracało jakieś odległe wspomnienie? A może było to całkiem niedawno?

Zaledwie kilka dni temu?

## 2.

Archiwista zerknął na ekran. Kilka razy przewinął tekst i sapnął coś niezrozumiale. Był zadowolony, że dowiedział się, w jakiej sprawie grzebie Elert. Starał się nie dać tego po sobie poznać i przybrał strapioną minę.

– Tak się czasem zdarza – fuknął wreszcie. – Zapisane pliki mieszają się i grafika do ciągu artykułów wskakuje w nieodpowiednie miejsce. Powinniśmy po prostu skanować strony. Ale skoro trafiły się fundusze unijne, to wszystko jest przenoszone w jakiś kosmiczny sposób. Taki jest właśnie efekt wyszukiwania po hasłach, o które pani pytała.

Diana nie do końca rozumiała, co mężczyzna ma na myśli. Zresztą on też najwyraźniej improwizował.

– Wie pan, jak mogłabym ustalić, czy to zdjęcie ma związek z tekstem?

– Jasne. Trzeba dostać się do papierowego wydania.

Cudowne rady. Prawie tak dobre, jak jej ojca.

– Możemy to zrobić?

– Teraz?

– Mówiłam już, że zależy mi na czasie.

– Niestety. – Archiwista pokręcił głową. – W związku z przenoszeniem danych dostęp do papieru mają tylko informatycy. No i naczelni. Jak pani pewnie zauważyła, ja zostałem strażnikiem pustego magazynu.

– Naprawdę nic się nie da zrobić?

– Może pani poszukać na Allegro. Tam ludzie sprzedają różną makulaturę.

Elert ciężko westchnęła. Przybrała minę zrozpaczonej dziewczynki i odwróciła się do archiwisty. Skoro raz zadziało, mogło zadziałać po raz kolejny.

– To może być temat na pierwszą stronę – szepnęła konspiracyjnie. – Jeżeli mi pan nie pomoże, mogę się z tym pożegnać. Sprawą zainteresowało się kilku innych dziennikarzy...

Mężczyzna podrapał się po brodzie.

– Czyli to nie było samobójstwo. – Zadowolony wydał wargi. – Od początku wiedziałem, że coś jest nie halo. Ma się ten nos!

– I nie pamięta pan tej fotografii?

– Absolutnie, ani fotografii, ani artykułu. To musiała być jakaś mała istotna wzmianka. Poza tym bez bicia przyznaję, że nie śledzę wszystkich wydań naszej gazety.

Elert westchnęła. Teatrzyk musiał się skończyć.

– I nie pomoże mi pan? – zapytała, mrużąc oczy.

Archiwista mlasnął. Był stary, ale wciąż działały na niego proste kobiece sztuczki.

– Dzisiaj wieczorem lub jutro rano dam pani znać – odezwał się głosem cierpiętника. – Ale niczego nie mogę obiecać.

– I tak bardzo dziękuję.

Elert zostawiła mu numer telefonu i pożegnała się. Z zebranych notatek nie wynikało nic nowego. Zabójstwo Skawińskiej i śmierć kandydatki sprzed lat miały niewiele cech wspólnych. Jednak na bazie teorii spiskowych powstawały najlepsze teksty. Utrzymanie się z relacjonowania prawdy było znacznie trudniejsze. Co jakiś czas należało ją odpowiednio ubarwić, aby utrzymać się na topie albo mieć co wrzucić do garnka. Jeżeli rzeczywiście przez sprawę tweetów była na fali, musiała to wykorzystać.

Kupiła w kiosku butelkę wody i wróciła do auta. Przynajmniej w okolicy nie było strefy płatnego parkowania. Odsunęła maksymalnie fotel, wyciągnęła z torebki tablet i postawiła go sobie na kolanach. O dziwo, miała dość miejsca. Nie była to najwygodniejsza pozycja, lecz nie chciała wracać do mieszkania. Postanowiła sklecić zarys artykułu i podsunąć go Manowskiemu.

Zanim tablet się uruchomił, wyciągnęła telefon. Przed przystąpieniem do pisania zawsze chociaż na chwilę odrywała od niego myśli. Włączyła Snake'a i dwukrotnie otarła się o rekord. Miała powalczyć raz jeszcze, ale zrobiło się późno. Przeszukiwanie komputerowego archiwum zajęło jej więcej czasu, niż się spodziewała. W grę mogłaby klepać bez końca.

Uważnie czytała notatki i zajęła się pisaniem. Z każdym słowem jej palce coraz szybciej uderzały w klawisze. Po raz kolejny mieszała fakty i przywoływała nieistniejących informatorów. Tkąła aferę gotową do przerobienia na scenariusz thrillera politycznego. Tyle że tym razem mogła być naprawdę bliska prawdy.

Czuła to.

Po raz pierwszy w życiu miała tak wyraźne przecucie.

\* \* \*

Kiedy weszła do gabinetu Manowskiego, ten żółtą szmateczką przecierał okulary. Na szerokim biurku jak zawsze panował doskonały porządek. Kubek z długopisami i laptop znajdowały się w regulaminowej odległości. Plik gazet leżących na stoliku został ułożony według ich formatów – od największego do najmniejszego.

Redaktor odłożył szmatkę i się uśmiechnął. Biorąc pod uwagę fakt, że przychodziła do niego bez zapowiedzenia, było to co najmniej dziwne. Spodziewała się, że natychmiast ją wyprosi. Przed niespełną godziną wysłała mu zarys tekstu, nie licząc, że go przeczyta. I w tym się myliła.

– Myślałem, że wróciłaś do przetargów. – Manowski wskazał jej krzesło. – A ty wyskakujesz z czymś takim.

Mówił tubalnym, melodyjnym głosem. Trudno było wyczuć, co sądził o artykule.

– Przyszłam do ciebie jako do pierwszego – powiedziała Elert.

– I dobrze zrobiłaś. Ale porozmawiajmy o wszystkim po kolei. – Redaktor założył okulary i poprawił je na nosie. – Jeszcze raz przemyślałem twój ostatni tekst. Wydrukujemy go.

Rzeczywiście coś było na rzeczy. Przed kilkanaście dniami potraktował jej materiał jak nic niewarty śmieć, a teraz chciał go drukować. Nagle wyparowała z niego obawa o pozwy i odszkodowania.

Z trudem powstrzymała uśmiech. Pozostało jedynie uzyskać jak najlepsze honorarium. Z tym postanowiła zaczekać.

– Kiedy? – zapytała powściągliwie.

– Pojutrze. Mam kilka uwag i chcę, żebyś to przejrzała.

– Doskonale. A drugi tekst?

Manowski chwycił długopis i zastukał nim o biurko.

– Nie wiem, jakim sposobem zbudowałaś sobie kontakty, ale podziwiam. W tym momencie powołanie się na anonimowe źródło brzmi znacznie wiarygodniej. – Odchrząknął znacząco. – Chodzi mi o całą otoczkę.

Diana skinęła głową, ale się nie odezwała. W życiu, tak jak w artykułach, często najlepiej było zostawiać niedopowiedzenia.

– Nad drugim tekstem muszę pomyśleć – ciągnął redaktor. – Jeżeli to, o czym piszesz, jest prawdą, to będzie petarda. Ale mogą rozpieprzyć nas w sądach.

– Jak wolisz myśleć, to myśl. Znajdę chętnych.

Manowski złożył błagalnie dłonie.

– Jak pewne to źródła? – zapytał.

– Tak jak zawsze – odparła.

– Będiesz wiedziała coś więcej?

– Myślę, że tak. Umyślnie pisałam wszystko w formie przypuszczeń, a nie oskarżeń. Wykopałam swoje szyby wiertnicze i stworzyłam pewien możliwy scenariusz zdarzeń. Tak to chyba nazywasz?

Od kilku minut czuła wibrację telefonu. Dwukrotnie był to sygnał połączenia, a raz – przychodzącego SMS-a. Nie kryjąc się, wyciągnęła aparat z kieszeni. Dzinsy miały tę zaletę, że nie musiała upychać wszystkiego do torebki. Gaz pieprzowy się nie zmieścił, ale stary samsung już tak.

Trzy razy Darski. Szybko odczytała krótką wiadomość.

*Wiem, kto wysyłał tweety. Zadzwoń, jak tylko będziesz mogła.*

Zerwała się z fotela i ruszyła w stronę drzwi.

– Masz pięć minut do namysłu – rzuciła za siebie. – Muszę oddzwonić i zaraz wracam.

Wypadła na korytarz i wybrała numer. Odebrał już po pierwszym sygnale. Diana od razu przeszła do rzeczy.

- Przepraszam, nie mogłam rozmawiać. Mów, kto to!
  - Na pewno chcesz wiedzieć?
- Nie wahała się nawet sekundy.
- Oczywiście. Niby czemu?
  - Chyba dobrze go znasz – mruknął cierpko Darski. – Bardzo dobrze.

### 3.

Po rozmowie z Darskim Diana nie wróciła do gabinetu redaktora. Ukrywając łzy, pobiegła prosto do auta. W jego wnętrzu poczuła się lepiej. Z zasłoniętym dachem, zamkniętymi drzwiami i dusznym zapachem tapicerki.

Nie musiała już się powstrzymywać. Oparła się o zagłówek i rozplakała się ze wściekłości. W jednej chwili zrozumiała, co się stało. Wszystkie wydarzenia i słowa zgrały się w logiczną całość. Mogła się domyśleć. Była głupia, mając nadzieję, że udało się jej uwolnić.

Wbiła paznokcie w brzegi fotela i zaczerpnęła kilka głębokich oddechów. Przejrzała się w lusterku.

– Niewiarygodne. Kurewsko niewiarygodne – powiedziała do siebie, upewniając się, że ma opanowany głos.

Wyciągnęła telefon i wybrała numer.

– Diana!

Ojciec nie wydawał się zaskoczony. Wręcz przeciwnie, odebrał tak, jakby czekał, aż zadzwoni.

– Dlaczego to zrobiłeś? – wysyczała. – Dlaczego to zrobiłeś, do diabła?

Romuald Elert westchnął.

– Jesteś zła? – zapytał.

– Zła? Jestem wkurwiona!

– Chciałem ci pomóc. – Ojciec gładko przeszedł do porządku dziennego nad jej przekleństwem. – Ilona tak samo. Nawet jeżeli nie rozmawialiśmy, wiedziałem, co się u ciebie dzieje, i martwiłem się.

Dokładnie tak, jak przypuszczała. We wszystko została zamieszana jej przyjaciółka. Zawsze była nadopiekuńcza i traktowała ją jak osobę

wymagającą specjalnej troski. Ojciec perfidnie nawet nie próbował jej kryć. Chciał rozdzielić złość córki pomiędzy kilka osób.

– Nie chcę twojej pomocy! – krzyknęła, ściskając słuchawkę. – Słyszysz? Nie chcę od ciebie niczego!

– Jesteś moją córką.

– I co z tego? To znaczy, że masz się wpięprzać do mojego życia, kiedy ci się tylko podoba?

– Ilona nie mogła na ciebie wpłynąć.

Diana opanowała przyływ złości. Już od dzieciństwa wiedziała, że krzycząc na ojca, niczego nie wskóra. Tym bardziej potraktuje ją jak słabą, znerwicowaną dziewczynkę, którą trzeba się zajmować.

Popatrzyła na przechodzącego przy samochodzie mężczyznę. Odwzajemnił jej spojrzenie i uśmiechnął się.

– Jak mnie w to wrobiłeś? – zapytała.

To wieczna potrzeba zadawania pytań skierowała ją w stronę dziennikarstwa. Chęć formułowania zgrabnych odpowiedzi kazała dorzucić filologię. Nawet teraz musiała znać powody.

– Od lat znam prokuratora, który przypadkiem jest szefem twojej najlepszej przyjaciółki. – Ojciec był najwyraźniej z siebie zadowolony. – Poza tym znalazło się kilka osób, które zgodziły się wypromować te zdjęcia. Ja miałem jedynie wrzucić je do sieci.

– Nie używasz telefonu komórkowego, a nagle nauczyłeś się obsługi cholernych portali?

– Z drobną pomocą. Osoba, której zapłaciłem za cyknięcie kilku fotek, uznała, że to dobre honorarium, i zrobiła coś więcej. Początkowo myślałem jedynie o zaaranżowaniu spotkania...

– Ale zgodziłeś się na pokazanie go całemu światu!

– Pomyślałem, że niczego nie ryzykujemy, a warto było spróbować.

Diana walnęła pięścią w kierownicę.

– Tym zdjęciem i plotkami mogłeś zniszczyć karierę porządnej osobie.

– Zniszczyć karierę prokuratorowi? Proszę bardzo. Jedną szuję mniej. Nawet ten mój kolega... – przerwał. Po chwili odezwał się znacznie łagodniejszym tonem. – Diana, czy nie rozumiesz, że to dla twojego dobra? Każdy ojciec poruszy niebo i ziemię, byle pomóc dziecku.

– Przez lata o tym nie pamiętałeś.

– A brakowało ci czegoś? Poprosiłaś o coś?

Diana z irytacją wypuściła powietrze. Kontynuowanie tej dyskusji nie miało sensu. Dowiedziała się więcej, niż chciała, a rozmowa coraz bardziej przypominała kopanie się z koniem. Jeżeli teraz nie skończy, za kilka sekund będą obrzucać się błotem.

– Nigdy nie wyniesiesz się z mojego życia? – zapytała, odsuwając od ucha telefon. – Powinniście być z Iloną bardzo z siebie zadowoleni. Gratulacje...

Rozłączyła się i rzuciła telefon na siedzenie pasażera. Z kamienną twarzą uruchomiła auto.

Nagle uszły z niej wszystkie emocje. Zupełnie jakby we wszystkim chodziło jedynie o poznanie odpowiedzi na stawiane przez siebie pytania. Mogła być zła na ojca, ale niby za co? Po prostu taki był. Naiwnie liczyła, że wyjeżdżając do Warszawy, odetnie pępowinę. Że uwolni się od niego, a on przestanie ją kontrolować. Poza nią nie miał na świecie nikogo, i dlatego bzikował. Wpieprzał się z butami w jej życie. Ustawiał je pod siebie, aby czuć, że coś zrobił. Skoro nie był dumny z niej, chciał być dumny z siebie.

Tak. Miała prawo być zła.

Mimo że wciąż było gorąco i duszno, nie złożyła dachu. Nie włączyła też radia. Jechała szybko, całkowicie pogrążona w myślach. Wkrótce zjechała z głównej drogi i nerwowo zerkając w lusterka, przejechała osiedlową uliczkę. Zostawiła samochód w tej samej monitorowanej części parkingu, co wczoraj. Znalazła ostatnie wolne miejsce.

Wróciła do mieszkania, zrzuciła buty i wyciągnęła się na łóżku. Włączyła telewizor. Na pasku informacyjnym przewijała się wiadomość sprzed niecałej godziny.

*Bernard Szajer rezygnuje z udziału w wyborach.*

Przeszły ją ciarki zaskoczenia. Usiadła po turecku i podgłośniła dźwięk.

Emitowano powtórkę konferencji prasowej, która odbyła się we wnętrzach High Heela. Szajer wyglądał, jakby przed chwilą przebiegł maraton. Błady, zmizerniały, ze spłoszonym spojrzeniem. Starał się nadrobić miną i hardym tonem, lecz sprawiał żalodne wrażenie. Do tego popełnił cały szereg gaf wizerunkowych. Poprawiał krawat, ocierał pot,

miął zaciśnięte dłonie. Zupełnie nie przypominał polityka znanego z wyrafinowania i swobodnej elegancji.

Za jego plecami stał krępy, postawny mężczyzna o twarzy przypominającej ociosany kamień. Miał płaski nos, szeroką szczękę i krótko ścięte włosy. W pewnej chwili Szajer, lekceważąc kamery, odwrócił się w jego stronę.

*Szanowni państwo, więcej informacji udzieli wam szef mojej kampanii.*

Dziennikarze nie wiedzieli, czy biec za Szajerm, czy wycelować mikrofony w stronę nieznanego im mężczyzny. Jak dotąd nie wystąpił na żadnej konferencji. Musiał niedawno zająć miejsce Rapackiego.

Diana zwlekła się z łóżka i podeszła do telewizora. Kiedy kamera pokazała w zbliżeniu twarz mężczyzny, nie miała już żadnych wątpliwości. Wiedziała, kim był.

Naprawdę miała materiał na pierwszą stronę.



# **CZEŚĆ CZWARTA**

## 1.

Bernard Szajer nie przespał nawet minuty. Przez całą noc plątał się po domu w oczekiwaniu na telefon od Berniego. Słyszał, że Maria płacze w sypialni, ale nie poszedł do niej. Kilka razy zbliżał się do drzwi, lecz w ostatniej chwili rezygnował.

Co więcej mógł jej powiedzieć?

Jakiegolwiek słowa brzmiały banalnie. Nie wiedział, czy uwierzyła w jego historię, ale nie zaprzętał sobie tym głowy. Wszystko mógł jej udowodnić. Rozumiał, że może mu nie ufać, ale tym razem potrzebowali wzajemnego wsparcia jak nigdy dotąd. A byli osobno, w oddzielnych częściach wielkiego domu.

Kilkukrotnie starał się z nimi skontaktować Rapacki, ale za każdym razem lekceważył jego telefony. Zbył też dwa połączenia od ojca swojej żony. Brakowało jeszcze, żeby on wmieszał się w całą sprawę.

Skoro wytrzymali tak długo, nie chciał dać Berniemu żadnego powodu do złości. Ludzi psychicznie chorych nie powinno się prowokować. Szczególnie kiedy doskonale panują nad sytuacją. Wszystkie dotychczasowe próby zrozumienia jego psychiki kończyły się napadami dzikiej furii. Skoro miał swój plan i zrealizował go, powinien zachować się uczciwie. Szajer nie znał zbyt wielu psycholi, ale wierzył, że są uczciwi. Nie pozostało mu nic innego. Traktował go jak własnego psa, którego dopadła wścieklizna. Warczał i szczyrzył zęby, ale należało mieć nadzieję, że nie ugryzie swego pana.

Nieoczekiwanie na kolana wskoczył mu Fiodor. Przymilając się, otarł łebek o jego szorstki podbródek.

Szajer w zmyśleniu pogłaskał kota.

– Fiodon – powiedział do niego w ten sam sposób, jak robiła to Róża. – Fiodonku...

Uśmiechnął się, a chwilę później jego ciałem wstrząsnął dreszcz rozpaczy. Ramiona mu opadły, głowa osunęła się na klatkę piersiową, a z oczu popłynęły łzy.

Opanował się, słysząc na schodach kroki. Maria zbiegła po ostatnich stopniach i weszła do salonu. Miała na sobie powyciąganą koszulę i krótkie spodenki. Domyślał się, że przez całą noc była w staniku.

– Dzwonię na policję – powiedziała stanowczo. – Nie wierzę w żadne układy.

Szajer zrzucił kota z kolan i wstał z kanapy.

– Ciii... – syknął, podchodząc do żony. – Wystarczy, że zamontował tu pieprzoną pluskwę.

– W takim razie zadzwonię od sąsiadów.

Odgroził ją od telefonu własnym ciałem.

– Nie. Jeszcze nie teraz!

– Bernard, do cholery! – Maria stanęła tuż przy nim. – Zobacz, co on z nami zrobił!

Szajer pokręcił głową.

– Jeżeli nie skontaktuje się do dziewiątej, sam zadzwonię po gliny.

– Do dziewiątej? Liczy się każda cholerna godzina!

– Liczymy je od czterech dni. Mari... Zrobiliśmy zbyt wiele, żeby...

– Zbyt wiele? – powtórzyła po nim. – Zbyt wiele? Może masz na myśli ten pieprzony epizod, o którym nie rozmawiamy? Może wtedy powinienesz być po prostu zachować się jak mężczyzna?

Szajer zacisnął usta. Nawet nie chciał myśleć o tym, co się wtedy wydarzyło. Nie mógł nic zrobić i oboje dobrze o tym wiedzieli. Wybrali życie córki. Bez względu na to, co miało się stać z nimi, to ona była najcenniejsza.

Odsunął się od telefonu i położył dłonie na ramionach żony. Po chwili zaczął gładzić jej włosy. Chciał coś powiedzieć, lecz słowa więzły mu w gardle. Układał w myślach początki zdań, jednak nie znajdował dla nich końców. Wszystkie brzmiały tak samo bezsensownie.

Wtedy rozległ się dzwonek telefonu. Gwałtownie wyciągnął komórkę.

– Halo?

– Wiesz, gdzie jest Chata Pustelnika? – Usłyszał szorstki głos Berniego.

– Tak.

Chata Pustelnika słyęła z obfitych porcji w dobrych cenach. Dla apetycznego, sytego obiadu opłacało się przejechać prawie dwadzieścia kilometrów od granic miasta. Nieważne, w której dzielnicy się mieszkało.

– Będę tam na ciebie czekał za godzinę.

– W środku? – dopytał Szajer.

– O to się nie martw. Znajdę cię.

– W porządku. Już się zbieram.

– Tylko pamiętaj, kolego. – Berni zawiesił głos. – Jakiegolwiek kombinacje i mała jest martwa. Piecyk gazowy może zacząć pracować pełną parą.

## 2.

Odnalezienie miejsca zamieszkania Bernarda Szajera nie było skomplikowane. Było podane nie tylko w rozszerzonym zeznaniu majątkowym, lecz także w wielu artykułach, w których podkreślano gustowność rezydencji, obfotografowując ją łącznie z tabliczką adresową.

Diana zaparkowała samochód na chodniku za furgonetką dostawczą. Miała dobry widok na wjazd do posiadłości polityka, a przy okazji – na całą okolicę. W napięciu obserwowała pojedynczych przechodniów. Nawet nie myślała o biciu rekordu w Snake'a. Ściszyła radio, uchyliła szybę i czekała.

Przygotowała się na każdą możliwość. Po sprawie przetargów pozostał jej cały asortyment gadżetów. Mogłaby założyć biuro detektywistyczne. Wtedy w sprzęt zainwestowała sporą część oszczędności. Kupiła kamerki-długopisy, mikrofony-broszki, aparat nagrywający, lokalizator GPS, a nawet urządzenie podsłuchowe. Z tym, że to ostatnie nigdy jej się nie przydało. Jego instalacja wymagała włamania się na prywatny teren i pogrzebania w skrzynce telefonicznej. Nie miała o tym pojęcia. Zaskakujące, że wszystko było dostępne w internecie, całkowicie legalne, a do tego nie kosztowało fortuny. Niewiele z tych rzeczy wykorzystała, lecz spełniło się marzenie o byciu dziennikarką śledczą pełną gębą.

Nie miała pojęcia, czy Szajer jest w domu ani czy będzie go opuszczał. Musiała być cierpliwa. Wszystko kręciło się wokół niego i potrzebowała klamry spinającej niezrozumiałe fakty. Wiedziała, że znajdzie ją właśnie tutaj. Prędzej lub później.

Po godzinie siedzenia w aucie musiała rozprostować nogi. Zarzuciła na ramię torebkę i zamknęła drzwi. Przeszła chodnikiem, obserwując ogród przed domem Szajera. Część budynku była przysłonięta przez szpaler drzew i krzewów, ale i tak robił wrażenie. Na trawniku obok bramy ustawiono plastikową piaskownicę i huśtawkę dla dzieci. Tuż obok kwitły przepiękne dalie.

Nagle usłyszała odgłos samochodu poruszającego się po zwirowym podjeździe. Po chwili brama rozsunała się i zobaczyła wyjeżdżającego czarnego sedana.

Nie miała czasu do stracenia. Przyspieszyła kroku, przebierając jednocześnie ręką w torebce. Wyszukała płaskie, kwadratowe urządzenie. Przytrzymała przycisk uruchomienia, akurat w chwili, kiedy sedan wytaczał się na ulicę. Ominęła jego maskę i wyciągnęła się jak długa.

Szajer gwałtownie zahamował. Niewiele brakowało, a samochód zmiażdżyłby jej twarz. Mężczyzna otworzył drzwi i wychylił głowę.

– Co pani?! – krzyknął, ale zaraz się opanował. – Wszystko w porządku?

– Tak, tak... Moja wina, zagapiłam się.

Podniosła się, upewniając się, że urządzenie przyczepiło się do zderzaka. Powinno się trzymać. Tak przynajmniej zapewniał producent. O ile nikt nie będzie zaglądał pod auto, sprzęt pozostanie niezauważony.

Otrzeпаła kolana i, nie odwracając się, ruszyła w stronę new beetle'a. Podłożony nadajnik GPS miał mieć zasięg dwóch kilometrów. Był połączony z aplikacją na telefonie komórkowym, którą, o dziwo, poprzedniego wieczoru z łatwością zainstalowała. Działał podobnie do klasycznych map drogowych, ale przesyłał obraz na zewnętrzny wyświetlacz. Zrozumiałe nawet dla technologicznych laików.

Obeszła furgonetkę i wślizgnęła się do samochodu od strony pasażera. Nawet gdyby Szajer ją obserwował, powinien pomyśleć, że skręciła

w boczną uliczkę. Wyjęła telefon i uruchomiła aplikację. Naniesiony na mapę czerwony punkcik rytmicznie pulsował w tym samym miejscu.

Cholera.

Diana ukradkiem wychyliła się nad kierownicą i podniosła głowę. Samochód polityka wciąż znajdował się na wyjeździe z podjazdu.

A więc wszystko działało, jak należy.

Odłożyła komórkę i zaczęła obserwować okolicę. Czy Szajer na kogoś czekał? A może wrócił po coś do domu? Światła auta były zapalone, silnik pracował. W szybach odbijały się promienie słońca, więc nie mogła dostrzec choćby zarysu kierowcy. Do zestawu porządnej dziennikarki śledczej brakowało jej lornetki.

Zmrużyła oczy, ale to nic nie dało. Nie musiała się spieszyć. Teraz przynajmniej wiedziała, gdzie jest, i mogła spokojnie czekać na rozwój wydarzeń. Choćby miał jechać do High Heela będzie krok za nim. Po nitce do kłębka dotrze do szefa jego kampanii. Przerwanej kampanii – poprawiła się w myślach. To na nim powinna skupić uwagę. Na mężczyźnie znikąd, który pojawił się tylko po to, by obwieścić światu, że rezygnują. Na razie nie miała na to żadnego wytłumaczenia. Ale wiedziała, że już go widziała.

Drgnęła, słysząc tuż obok siebie dziwne rżenie. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to stary samsung wibruje w schowku na kubki z napojami. Plastik rezonował, wzmacniając nieprzyjemny odgłos. Wrzuciła go tam, aby mieć lepszy podgląd na wyświetlacz.

Wzięła telefon i nie spuszczać wzroku z samochodu Szajera, odebrała.

Uśmiechy i przymilanie się odniosły planowany skutek. Archiwista odwalił kawał dobrej roboty. Nie tylko ustalił, kim był mężczyzna za zdjęcia, lecz także przeczytał całą jego historię. Makabrycznym wydarzeniom poświęcono bowiem kilka artykułów.

Serce Elert podeszło do gardła.

### 3.

Mimo że był trzeźwy, z tego, co wydarzyło się po wystrzale, Glazur pamiętał niewiele. Wspomnienia były poszatkwane jak rozrzucone klisze filmowe. W jego głowie zapanował chaos. Wybuchła bomba.

Nikt nie mógł usłyszeć strzału. Do pistoletu dokręcił tłumik. Zrobił to po raz pierwszy, choć nabył go na własną rękę wiele lat temu. Może od samego początku planował zabić Tumskiego, a może był to tylko przypadek. Niczego nie był już pewny.

Paranoja wypełniła wszystkie jego myśli.

Inspektor osunął się na fotel. Jego tandetny, srebrny garnitur pokryła krew. Wił się, błagając Glazura o litość.

– I kto tu był nikim? No, powiedz mi, sukinsynu...

Chwilę później komisarz pędził samochodem w stronę domu. Tym razem butelka nie odzywała się z torby. Ona do niego krzyczała. Wrzeszczała, przypominając o swojej obecności. Domagała się jego uwagi. Sięgnął po nią i, podtrzymując kierownicę nogami, wychylił potężny łyk. Zaraz potem drugi i trzeci.

Nie poczuł niczego. Wszystko pozostało niezmiennie poszatkwane. Wypity alkohol rozplątał się w rozprężającym się ciele. Pusta flaszka nie przywierała już do jego dłoni tak jak przed kilkoma godzinami. Bez sentymentu pozwoliła się wyrzucić przez okno. Usłyszał za sobą trąbienie aut, ale po prostu olał je. Nie obchodziło go to.

Nie zastanawiając się, staranował bramę. Rozległ się trzask i zgrzyt gnącej się blachy. Drewniane szczeble rozsypały się na wszystkie strony, nie stanowiły żadnej przeszkody. Samochód zacharczał i po chwili się zatrzymał. Glazur czuł spływającą po twarzy krew. Nie pamiętał, żeby uderzył w kierownicę. Być może ktoś ranił go znacznie wcześniej?

Wbiegł do domu i wewnętrznym przejściem skierował się do garażu. Ze sterty gratów wyszperał starą linę samochodową. Była giętka i wystarczająco długa.

Otarł napływającą do oczu krew.

Mógł to zrobić tylko w jednym miejscu. Przeszedł korytarzem, minął łazienkę i zatrzymał się w progu salonu. Po omacku wyszukał włącznik i zapalił światło. Salon był jego ulubionym pomieszczeniem w całym domu. Tylko tu czuł się naprawdę dobrze. Tak samo jak ojciec. Spędzili w nim razem mnóstwo czasu.

Podszedł do stołu i wyciągnął jedno z krzeseł. Kiedyś siadał tylko na nim. Matka po lewej, ojciec po prawej, a on właśnie tu.

Chwycił je w obie ręce i rąbnął oparciem o parapet. Ułamało się, ale nie odpadło. Trudno. Nie miał siły się z nim szarpać. Zataszczył je na środek pokoju i ustawił, sprawdzając stabilność. Solidne nogi ani drgnęły. Musiał ostatni raz pokazać, że sam o wszystkim zadecyduje. Jak Himmler, Hitler i Göring. Przykładowa trójka. Polskich przykładów chwilowo nie potrafił wymienić.

Przerzucił linę przez żyrandol i upewnił się, że ten utrzyma jego ciężar. Montował go razem z ojcem. Pamiętał każdy z potężnych wkrętów. Dałyby radę robić za szubienicę w celi śmierci. Zawiązał węzeł i jeszcze raz sprawdził. Wszystko było gotowe.

Wszedł na krzesło i chwycił za sznur. Spojrzał na wiszące nad biblioteczką zdjęcie ojca, który pozując do niego, uśmiechnął się chyba jedyny raz w życiu. Gdyby go teraz zobaczył, na pewno byłby wściekły. Pokładał w nim tyle nadziei, a on go tak zawiódł. Nie wyrwał się rodzinnej klątwie.

Włożył głowę w pętlę.

– Przepraszam, tato – wyszeptał.

#### 4.

Szajer zatrzymał się w holu. Poprawił marynarkę i zerknął na skórzane buty. Były zakurzone. Nerwowo sprawdził komórkę, ale nie miał już żadnych połączeń. Upewnił się, że wziął pilot do auta. Obrócił go w dłoni, jakby dotykał relikwii. Maria złapała go za ramię.

– Weź to. – Podała mu niewielki nóż. – Schowaj go do kieszeni.

– Nie chcę niczego zawalić.

– Nie znajdzie go.

– A jeśli? – Szajer chwycił nóż i odłożył go na blat szafki. – Nie możemy ryzykować. Nie wiemy, co mu przyjdzie do głowy. Może ubzdura sobie, żeby mnie przeszukać?

– W przydrożnej knajpie?

– Chyba nie myślisz, że trzyma Różę na zapleczu...



Od razu się zganił, że to powiedział. Nie chciał być złośliwy. Maria na szczęście nie odebrała jego słów jako obrazy. Pocałowała go. Mocno i ze łzami w oczach. Szajer odwzajemnił pocałunek, po czym delikatnie ją odsunął.

– Wrócę z Różą – powiedział, kierując się w stronę garażu. – Wszystko się ułoży. Obiecuję.

Otworzył wewnętrzne drzwi i zanurzył się w chłodzie pomieszczenia. Zerknął na stojące w kącie sanki. Zacisnął zęby i wszedł do samochodu. Wiedział, że Maria weszła za nim do środka, ale nie odwrócił się. Nie chciał rzucać jej pożegnalnego spojrzenia. Nie chciał przez całą drogę myśleć o jej zatroskanej twarzy.

Wyjechał z garażu i ruszył podjazdem. Otworzył bramę pilotem. Kiedy wrzucił go z powrotem do schowka, kątem oka dostrzegł poruszający się cień. Jakaś kobieta pojawiła się tuż przed maską jego wozu. Z całej siły nacisnął pedał hamulca. Opony zatrzeszczały na żwirze.

Zaklął i szarpnął drzwi.

– Co pani?! – Chciał wyskoczyć z samochodu, ale dostrzegł, że kobieta się podnosi. – Wszystko w porządku?

Był pewny, że jej nie potrącił. Pięknisia musiała się potknąć o swoje długie nogi.

– Tak, tak... – jęknęła. – Moja wina, zagapiłam się.

W tej samej chwili Szajer usłyszał w radiu swoje nazwisko. Tym razem nie chodziło tylko o jego wycofanie się z wyborów. Po zapowiedzi newsa rozległa się czołówka programu informacyjnego. Na wstępie redaktor, witając słuchaczy, rzucił suchy żart i sam się z niego zaśmiał. Taki mieli teraz styl. Najpierw żarty, a dopiero potem wiadomości.

Bezmyślnie odprowadził kobietę wzrokiem. Nic jej się nie stało. Otrzepała się i odeszła szybkim krokiem, kołysząc biodrami.

*Na wniosek komisji wyborczej prokuratura wszczęła postępowanie w sprawie kampanii Bernarda Szajera. Niedawny kandydat i jeden z liderów wyścigu po fotel prezydenta Warszawy nieoczekiwanie zrezygnował z ubiegania się o stanowisko. Nieoficjalnie mówi się o możliwości wyłudzenia oraz zdefraudowania znacznych sum, które trafiły na rachunek sztabu wyborczego. Specjaliści twierdzą, że obecnie*

*niemożliwe jest ich prawidłowe rozliczenie. Pytanie, czy start w wyborach okaże się nowym sposobem na oszustwo, pozostaje otwarte.*

*W końcu metoda na wnuczka się już zużyła – dorzucił drugi redaktor.*

*Mimo wszystko Bernard Szajer powinien jeszcze dziś zostać przesłuchany przez prokuratora. Będziemy o tym państwa informować w kolejnych wydaniach.*

*Tymczasem porozmawiajmy o pogodzie...*

Szajer nie wierzył w to, co usłyszał. Z pieniędzy na kampanię nie zobaczył ani złotówki. Wszystko szło na marketing, organizację spotkań, opłacenie sztabu i milion innych potrzeb. Do jego kieszeni nie trafiła nawet jedna zakupiona z tej kasy ulotka. No tak, nikt nie mógł zrozumieć powodów jego rezygnacji. A jak nie wiadomo, o co chodzi, to...

O dziwo, CBA, ABW czy CBŚ nie władowały mu się do domu nad ranem. Nie miał jednak wątpliwości, że goniec ze złą wiadomością był już w drodze.

Z piskiem opon wyjechał z podjazdu. Miał czterdzieści pięć minut, żeby dojechać do Chaty Pustelnika. Nie sądził, aby wydano postanowienie o doprowadzeniu go do prokuratury, ale wolał uniknąć spotkania z policją.

O tej porze większość aut kierowała się do miasta, kłębiąc się w korku bluzgów i klaksonów. Ruch wyjazdowy odbywał się jednak całkiem płynnie. Szybciej niż myślał, znalazł się na krajowej siedemnastce i przyspieszył. Wyremontowana nawierzchnia była gładka jak stół. Po dziurach przypominających pozostałości bombardowania nie było śladu.

Kiedy minął Ładowisko Góraszka, zaczął rozglądać się za zjazdem. Gdyby go przegapił, musiałby zrobić sporo kilometrów, aby zawrócić. Minął szyld reklamowy knajpy i skręcił. Chata Pustelnika przypominała coś pomiędzy domkiem hobbita a starą polską chałupą. Oczywiście, w kilkudziesięciokrotnym powiększeniu. Jej ściany porastały kolorowe winorośle, a wokół rosły przystrzyżone karłowate drzewa i krzewy. Na parkingu wielkości boiska piłkarskiego stało kilkadziesiąt aut. W drodze do pracy ludzie zajeżdżali tu na swoje śniadanie.

Szajer zatrzymał się jak najbliżej wejścia. Nim zdążył się rozejrzeć, Berni zapukał w szybę. Przyłożył do niej twarz i szarpnął za klamkę.

– Co się zamykasz? – rzucił, kiedy Szajer zwolnił blokadę. – Boisz się czegoś?

– To automatyczny system...

– Sranie w banie. Cuda wymyślają.

Wsiadł do samochodu i maksymalnie odsunął fotel. Najwyraźniej nie miał ochoty przeszukiwać polityka.

– Będę cię kierował – mruknął, wyciągając nogi. – To zajmie nam trochę czasu. Poświęciłem się i codziennie robiłem sporo kilometrów. Specjalnie po to, żebyś nie spieprzył mojego planu.

– Gdzie mam jechać?

– Zobaczysz. Mam nadzieję, że nie ciagniesz na oparach.

Szajer wyjechał na główną trasę i czekał na wskazówki Berniego. Ten uparcie milczał. Co jakiś czas zerkał w lusterko, wypatrując ogona. Był zdenerwowany. Wiercił się na siedzeniu z rękoma zaciśniętymi na udach.

– Tu w lewo – odezwał się wreszcie.

– Tu?

– A co, do cholery, powiedziałem!

Szajer zatrzymał auto, przepuścił jadące z naprzeciwka pojazdy i skręcił w nieutwardzoną ścieżkę. Musiały ją wyjeździć lawirujące wśród pól maszyny rolnicze. Dla nisko zawieszzonego sedana stanowiła ekstremalny tor przeszkód. Po kilkuset metrach dróżka rozwidlała się pod ścianą lasu. Gdyby podłoże było choćby nieco wilgotne, już dawno utknęliby w miejscu.

– W prawo, a potem przecinką pożarową w głąb.

Szajer zaczął żałować, że nie wziął noża. Czuł narastający strach. Oddalali się od jakichkolwiek siedzib ludzkich w stronę zupełnej głuszy. Pocieszał się, myśląc o tym, że zaraz zobaczy córkę.

Zatrzymali się przy rozpadającym się drewnianym szlabanie. Berni otworzył drzwi i wysiadł z auta.

– Teraz kawałek musimy przejść na piechotę – powiedział martwym głosem. – Ruszaj się.

Szajer, nie zamykając drzwi, powlókł się za nim. Weszli w głąb lasu. Ziemię pokrywały śliskie, gnijące liście, a drzewa, smagane porywami

wiatru, upiornie skrzypiały. Chmara ptaków zerwała się spłoszona odgłosem ich kroków.

Po kilku minutach marszu znaleźli się przy niewielkiej polanie. Na jej środku stała stara drewniana chata. Powapnione ściany kruszyły się, ukazując elementy konstrukcji. Filary były doszczętnie zbutwiałe, ale okna sprawiały wrażenie całkiem nowych. Również solidne drzwi nie pasowały do reszty budynku.

Berni przyspieszył kroku.

– Mój ojciec kupił tę leśniczówkę za ostatnie grosze – powiedział, uśmiechając się. – Nic specjalnego, ale odkąd teren jest objęty debilnym programem ochrony przyrody, nie ma tu żywej duszy. Poza zwierzętami, rzecz jasna. Podoba ci się? Różyczka powiedziała, że jest jak u Czerwonego Kapturka. A może Kubusia Puchatka? Już nie pamiętam. Zresztą zaraz ci sama opowie.

## 5.

Diana Elert utrzymywała stałą odległość za Szajerem. Kiedy wyjechali na szosę lubelską, zerknęła na wskaźnik benzyny. Nie była przygotowana na wycieczkę za miasto. Wskazówka niebezpiecznie zbliżała się do czerwonego pola rezerwy.

Co chwilę spoglądała na ekran telefonu. Czerwony punkcik przemieszczał się główną trasą. Starła się jechać jak najekonomiczniej. Nie miała pojęcia, dokąd kierował się Szajer. Poruszał się z przepisową prędkością, bo jadąc niecałą setką, niezmiennie pozostawała kilkaset metrów za nim. O tej porze ruch był niewielki, ale i tak dzieliło ich sporo aut. Nie miał szans dostrzec za sobą czerwonego new beetle'a.

Nagle pole aplikacji zminimalizowało się i rozległ się dzwonek połączenia. Na ekranie wyświetlił się nieznany numer.

Diana najpierw chciała się rozłączyć i jak najszybciej przywołać GPS, ale zwyciężyła ciekawość.

– Halo? – odezwała się, przykładając telefon do ucha.

– Mówi Michał Rapacki. Zdobyłem pani numer od redaktora Manowskiego...

Nieświadomie przyspieszyła. Rapacki dopiero co odganiał się od niej jak od natrętnej muchy, a teraz sam dzwonił.

– Chwileczkę.

Przełączyła go na tryb głośnomówiący. Starając się nie odrywać wzroku od drogi, wywołała ekran GPS-a i powiększyła go. Czerwony punkcik zjechał z głównej trasy. Kierował się w stronę pola oznaczonego skrzyżowanym nożem i widelcem.

– Chcę zawrzeć układ. – Telefon zniekształcił głos Rapackiego.

– Proszę jaśniej.

Elert zdała sobie sprawę, że Szajer zatrzymał samochód. Nie mogła wjechać za nim na parking przydrożnej knajpy. Dostrzegła zatoczkę awaryjną i zwolniła.

– Napisze pani dla mnie artykuł.

Propozycja zaskoczyła ją, ale wciąż pilnie obserwowała czerwony punkcik na aplikacji. Każda inna sprawa mogła zaczekać. Tym bardziej artykuł.

– Nie mogę teraz rozmawiać. Proszę zadzwonić dzisiaj wieczorem, wtedy...

Rapacki przerwał jej kilkukrotnym nerwowym cmoknięciem.

– Nie zapyta pani, co dostanie w zamian?

Czerwony punkcik wciąż tkwił w tym samym miejscu.

– No dobrze, więc co to takiego?

– Powiem pani, kim jest człowiek, który załatwił Szajera, mnie i całą kampanię.

## 6.

Berni kazał Szajerowi iść przodem. Sam wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i ruszył za nim. Sapał, jakby wykarczował przed chwilą całą polanę. Mimo porywów wiatru i wilgotnego chłodu lasu był cały spocony. Skórzana kurtka, narzucona na kraciastą koszulę, grzałaby go nawet w zimie. Wygniecione, wełniane spodnie też nie należały do najcieńszych.

Szajer szedł na sztywnych nogach. Wszystkie mięśnie jego ciała były napięte, gotowe odeprzeć niespodziewany atak. Na plecach czuł spojrzenie Berniego. Zbliżał się do chaty, wyczekując jakiegokolwiek ruchu firanek lub odgłosu z wewnątrz. Nic. Słyszał tylko ich własne kroki, szum drzew i śpiewanie ptaków.

Ominął grubą, ułamaną gałąź. Mógłby nią z powodzeniem rozwalić łeb Berniego. Dopóki nie będzie pewny, że w środku jest jego córka, musiał się jednak powstrzymać. Berni rozgrywał w swoim chorym umyśle grę, której zasad nie znał nikt inny. Być może nadal blefował. Grał na jego emocjach i zwodził obietnicą szybkiego zobaczenia Róży.

Szajera wciąż przerażała wizja uruchamiającego się pieca, powoli wypuszczającego śmiertelne wyziewy. Nawet jeżeli było to kolejne oszustwo, kalkulacja była prosta. Ryzyko nie wchodziło w grę. Nie teraz.

Nie, jeśli chodzi o jego córkę.

Przypomniawszy sobie pomieszczenie, które widział podczas wideorozmowy z Różą. Jego wielkość i brak okien wskazywały, że mogło to być podpiwniczenie leśniczówki. O ile leśniczówki w ogóle miały piwnice.

Zatrzymał się przy solidnych drzwiach i przepuścił Berniego. Serce biło mu coraz szybciej. Jeżeli nie został oszukany, Róża była kilka metrów od niego. Chciał wykrzyknąć jej imię i wpaść do środka. Chciał chwycić tego sukinsyna i rozwalić mu łeb o stalową framugę.

Zamiast tego posłusznie czekał.

– Moja córka jest w tej ruderze?

– Hola, hola, kolego. – Berni zastukał palcem w ścianę – Nie oceniaj po pozorach. W środku urządziliśmy cholerny Wersal.

Otworzył zamki. Zasuwy odskoczyły z głuchym szczęknięciem.

– Właż – ponaglił Szajera. – No, dalej. Nie muszę cię chyba zapraszać.

Szajer wszedł do cuchnącego, zakurzonego pomieszczenia. Z całą pewnością nie przypominało Wersalu. Pośrodku ustawiony był ciosany stół i dwie ławy, całkowicie szerniałe od wilgoci. Wyglądały, jakby miały się zaraz rozpaść. Na zapleśniałych ścianach wisiały gnijące kilimy, w których czas i mole zrobiły dziury większe od pięści. Piec kaflowy pokrywały pajęczyny, a deski sufitowe groziły zawaleniem.

Najbardziej luksusowym przedmiotem był telewizor. Czarna skrzynka z lat dziewięćdziesiątych. Nie został podłączony do żadnej anteny, a więc w dzisiejszych czasach był całkowicie bezużyteczny. Zwykły rupieć, pokryty warstwą kurzu.

Nigdzie nie było śladu instalacji, o której mówił Berni. Piec wyglądał na od dawna nieużywany. Klapki od przewodów kominowych zardzewiały, lecz pozostawały otwarte.

– Gdzie ona jest? – Szajer skierował się w stronę jedynych wewnętrznych drzwi. – Nie słyszę jej!

Berni szedł tuż za nim.

– Spokojnie. Pokój, w którym się znajduje, został dobrze wyciszony. Na wszelki wypadek.

Szajer nacisnął klamkę i wszedł do kolejnego pomieszczenia. Było małe i pozbawione okien. Nie dostrzegł ani śladu córki.

– Gdzie ona jest? – zapytał ponownie.

Odwrócił się i zmierzył Berniego wzrokiem. Ten zatrzymał się przed progiem. Swoją kanciastą sylwetką zasłonił niemal całe wejście. W półmroku Szajer nie mógł dostrzec, czy się uśmiecha, ale wyczuł to. Wstrząsnął nim dreszcz przerażenia.

– Kim ty, do diabła, jesteś? Czego ode mnie chcesz?

– Wreszcie jestem po prostu kimś. – Berni wzruszył ramionami. – Mam twoje dziecko, miałem twoją żonę i zostałem członkiem sztabu wyborczego. – Roześmiał się krótko, ale zaraz się opanował. – Szajer, ja stałem się tobą.

– Ty pieprzony czubie! Oddawaj mi córkę!

Nie mógł opanować przyływu rozpacz i wściekłości. Ciężko stąpając, skierował się w stronę drzwi. Kalkulacje nagle stały się nieistotne, a w ich miejscu pojawiła się dzika furia. Musiał wiedzieć, gdzie jest Róża.

Berni cofnął się o krok. W świetle głównego pomieszczenia Szajer zobaczył, że sięga do wewnętrznej kieszeni kurtki. W ułamku sekundy zrozumiał dlaczego.

– Mój ojciec byłby ze mnie dumny.

Berni wyciągnął pistolet.

## 7.

Czerwona dioda alarmowała, że new beetle jedzie już na resztkach benzyny. Wbrew pouczeniom ojca Diana nie mogła zatrzymać się na najbliższej stacji. Z całą pewnością straciłaby wtedy połączenie z nadajnikiem.

Nie pamiętała, na ile kilometrów powinien wystarczyć zbiornik rezerwy.

Czterdzieści?

Pięćdziesiąt?

Chyba nie na mniej. Mogła pomyśleć o zapasowym kanistrze. Albo zatankować za więcej niż trzydzieści złotych. Cholera...

Nagle zorientowała się, że auto Szajera zjechało z głównej trasy, minęło knajpę, po czym skręciło w dróżkę nieoznaczoną na GPS-ie. Jednocześnie znacznie zwolniło. Elert również zmniejszyła prędkość, wypatrując jakiegokolwiek zjazdu. Dopiero po przejechaniu polnej dróżki zdała sobie sprawę, że to właśnie w nią powinna zakręcić. Wciąż unosił się nad nią obłoczek kurzu.

Wykorzystując zwrotność małego volkswagena, zawróciła na jednym pasie. Jakiś ćwok jadący z tyłu oczywiście zatrąbił w odpowiedzi na ten gwałtowny manewr. Nie zwracając na to uwagi, wjechała w pełną kolein ścieżynę. Z minimalną prędkością wymijała kolejne doły. Odrobina nieuwagi skończyłaby się unieruchomieniem auta. Wokół nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc. Okoliczne pola zionęły pustką, znaczoną pojedynczymi belami siana. Jedynie cud sprawił, że Szajer jeszcze nie zgubił na tych wertepach nadajnika.

Kilka razy uderzyła podwoziem o nierówności. Mimo tego silnik pracował dalej, poza diodą informującą o rezerwie paliwa nie zapaliły się żadne kontrolki, a na drodze za sobą nie dostrzegła czarnego wężyka. Pokłady farta miały jednak swoje granice.

Komórka piknęła, informując, że bateria jest na wyczerpaniu.

Niech to szlag!

Jeżeli zaraz się nie zatrzymają, aplikacja całkowicie rozładuje telefon. Rozumiała już wszystko. Informacje o mężczyźnie ze zdjęcia w „Gońcu



Pruszkowskim” doskonale pasowały do rewelacji Rapackiego. Musiała tylko zdążyć. Nie miała chwili do stracenia. I nie mogła zgubić Szajera.

Z podekscytowaniem zabębniła o kierownicę, kiedy punkcik oznaczający jego auto wreszcie zatrzymał się w miejscu. Był dwieście, może trzysta metrów przed nią. Gdzieś za ścianą lasu.

Zatrzymała samochód na rozdrożu i głośno wypuściła powietrze. Znajdowali się prawie czterdzieści kilometrów od Warszawy, na totalnym zadupiu. Domyślała się, że Szajer został zmuszony do przyjazdu w to miejsce, ale nie miała pojęcia, w jaki sposób. To była jedyna luka w całej układance. Przez chwilę chciała zadzwonić na policję.

A gdyby wezwanie okazało się bezpodstawne? Gdyby rzeczywiście jej umysł był spaczony dziennikarskim instynktem wyszukiwania nieistniejących afer?

Paranoja...

Chwyciła torebkę i wyszła z samochodu. Miała nadzieję, że tym razem są już u celu, a Szajer nigdzie nie odjedzie. Zerknęła na wyświetlacz telefonu. Jego samochód ciągle tkwił w tym samym miejscu. Zeszła ze ścieżki i ruszyła między drzewami w jego stronę.

Szła, jak mogła najciszej, uważnie stawiając kroki. Czuła, że serce dudni jej w piersi, a na czole, wzdłuż linii włosów, zbiera się pot. Każda ułamana pod stopami gałązka przyprawiała ją o dreszcze. Wreszcie zza drzew dostrzegła pozostawiony przed butwiejącą zaporą samochód. Miał otwarte drzwi, a w promieniu kilkudziesięciu metrów nie było nikogo. Rozejrzała się, nasłuchując.

Naprawdę nikogo.

Przeszła kilka kroków wzdłuż wąskiej ścieżki i zawróciła. Zgubiła ich.

Tkwiła na zupełnym odludziu, w samym środku niczego. Od najbliższej wioski dzieliło ją kilka kilometrów. Ponownie naszły ją wątpliwości, czy nie powinna wezwać policji. Była niemal pewna, że w przydrożnej knajpie Szajer spotkał się ze swoim nemesis, a teraz byli gdzieś tutaj razem.

Chciała odblokować telefon, ale było już za późno. Aparat wydał z siebie kilkukrotne piknięcie i się rozładował.

W tym samym momencie rozległ się wibrujący wrzask podrywających się do lotu ptaków. Po chwili nad koronami drzew przeleciało stado

spłoszonych gawronów. Diana bez zastanowienia ruszyła w stronę, skąd nadlatywały.

Nie zważała już na trzaskające gałązki i szeleszczące pod butami liście. Biegła, wypatrując jakiegokolwiek śladu obecności Szajera. Po jej prawej drzewa przerzedziły się i dostrzegła polanę. Kiedy minęła szereg rozłożystych leszczyn, jej oczom ukazał się niewielki, bielony dom. Wyglądał na opuszczony, ale nie na zdewastowany. Szyby w oknach nie zostały stłuczone, nie pomazano go graffiti, nie nosił śladów nadpalenia. Najwidoczniej dzieciaki z pobliskich wiosek nie zapuszczały się w te rejony.

Diana obeszła polanę. Chciała podejść do chaty od strony, z której nie było okien, a do ściany przylegała rozpadająca się drewnitnia. Nie zważając na pokrzywy, przedarła się do niej i przykucnęła. Ze środka nie dobiegał żaden dźwięk.

Skulona, niemal na czworaka, zbliżyła się do drzwi. Były uchylone, odstawały od szerokiej framugi. Z wnętrza usłyszała czyjś głos. Niski i chrapliwy. Na pewno nie należał do Szajera.

Zbliżyła się do szczeliny i zajrzała do środka. W zagraconym pomieszczeniu nie było żywej duszy. Powiodła wzrokiem po rozpadających się meblach, piecu kaflowym i zakurzonych porożach. Nie dostrzegła niczego więcej.

Bezszelestnie uchyliła drzwi i wślizgnęła się do środka.

– Ty pieprzony czubie! Oddawaj mi córkę!

Rozpaczliwy, wściekły krzyk rozległ się w dalszej części domu. Dopiero wtedy zauważyła, że w półmroku drugiego pomieszczenia stoi mężczyzna. Był odwrócony do niej plecami.

Diana wstrzymała oddech. Cofnęła się, wywołując tym samym jęśliwe skrzypnięcie podłogi.

Nie zdążyła się schować, nim Berni gwałtownie się odwrócił.

Jego twarz wykrzywił grymas wściekłości. Natychmiast wymierzył do niej z pistoletu.

Po plecach Diany spłynął lodowaty dreszcz. Nie miała gdzie uciec. Próba uskokowania za drzwi mogła jedynie go sprowokować. Mimo że wyglądały na solidne, pocisk z pistoletu bez problemu przebiłby je na wylot.

A przy okazji i ją.

## 8.

Glazur chciał zrobić to dobrze. Wyciągnął pistolet z przerabianej na zamówienie kabury i obrócił go w dłoni. Nigdy nie lubił walthera. Był mało wygodny i dość awaryjny. Na strzelnicach kilkakrotnie dochodziło do różnych incydentów. Statystycznie jednak nie mogło się nic wydarzyć. Matematyka była najważniejsza.

Powinien jedynie odtrącić krzesło i jednocześnie wystrzelić. Nim straci oparcie pod stopami, będzie już martwy, a jeżeli nie, siła ciężenia i tak zrobi swoje.

Odkręcił tłumik i rzucił go na podłogę. Po kilkakrotnym brzęknięciu w pomieszczeniu zapanowała cisza. Nieprzyjemnie otaczała umysł, uwypuklając znaczenie myśli. Glazur wołał je zagłuszyć, nim pojawią się wątpliwości. Mógł to odłożyć jeszcze o chwilę.

Nie było potrzeby się spieszyć. Sam decydował, co i kiedy.

Sam decydował.

Paranoja.

W garażu trzymał zarekwirowane przed paroma miesiącami kasety i płyty. Bazarowy handlarz oddał je bez wahania, a on uznał, że warto poznać współczesną muzykę. Jeden z przyplływów dobroci serca. Układ był prosty, a obie strony – zadowolone. Już nigdy nie będzie mógł ich posłuchać. Dlaczego miałby nie zrobić tego właśnie teraz?

Odciągnął pętlę i zszedł z krzesła. Po chwili wrócił do salonu z kilkoma kasetami. Wybrał pierwszą lepszą, a resztę odłożył na stolik. Tandetna okładka obwieszczała, że trzyma w ręce składankę wakacyjnych hitów. Włożył ją do magnetofonu i uruchomił. Maksymalnie podkreślił głośność.

*Cztery pokoje, cztery pokoje, pokażę wszystko wam, dopóki jeszcze mogę stać.*

Dobrze wybrał. Optymistycznie i zachęcająco. Tylko że słyszał to już w radiu.

Jeszcze raz sprawdził sznur, przeładował pistolet i przeżegnał się. Nie wiedział, dlaczego to zrobił. Tak jakby jakiś wewnętrzny głos domagał

się samorozgrzeszenia.

Wątpił, by w ogóle było ono możliwe...

Przytrzymując się rozchwianego oparcia, wszedł na krzesło.

– Jezus Maria! Feliks!

Kątem oka dostrzegł, że do pomieszczenia weszła jego żona. Piosenka zagłuszyła jakiegokolwiek odgłosy z głębi domu. Zrzucił pętlę i ostrożnie odwrócił się w jej stronę.

A więc wróciła.

– Nie podchodź – ostrzegł.

Posłusznie zatrzymała się kilka kroków od niego. Zaraz za nią pojawił się Karol. Jak zwykle nawet się nie odezwał. Stał za matką i wytrzeszczył oczy. Po kim mógł mieć ten debilny odruch?

– Co ty robisz?! – Żona załkała rozpaczliwie. – Proszę, zejź z tego krzesła. Jesteś pijany...

– Niedawno byłem doskonale trzeźwy. – Uśmiechnął się. – To nic nie zmienia.

– Przestań! Tylko przez chłanie tak myślisz. Wcale nie chcesz tego robić...

– Znowu będziesz mi udzielać pierdolonego wykładu?! Naprawdę?

– Błagam, Feliks...

Glazur spuścił wzrok.

– Wyobrażasz sobie życie bez dziecka? – zapytał, patrząc na zdarte czubki butów. – Jaki ma sens? Można się oszukiwać, że chodzi o dom, o pracę, ale to nic niewarte pieprzenie. Sens ma tylko to, co pozostawisz po sobie żywego. Inaczej już od dawna jesteś martwa.

Wzruszył ramionami. Lina oplatająca jego kark poruszyła się. Czuł jej szorstki dotyk.

Gdyby była za krótka, skazałby się na męki duszenia. Możliwe, że zdołaliby go nawet odratować. Idealna długość gwarantowała rozerwanie rdzenia kręgowego i natychmiastową śmierć. Znaczenie miało też umocowanie węzła. Powinien być podłożony niemalże pod sam podbródek. Wtedy w chwili zawiśnięcia głowa odgina się maksymalnie do tyłu.

Wbrew temu, co pokazuje się na filmach, wisielcy patrzą w gwiazdy, nie w ziemię.

Przesunął stopy po wytartym obiciu. Czubki jego butów przekroczyły krawędź krzesła.

– Nie rób tego! – Jego żona wybuchła szlochem. – Proszę, nie rób!

Była bliska hysterii. Stała ciągle w tym samym miejscu, wiedząc, że nie może przekroczyć niewidzialnej granicy. Jej ruch oznaczał jego ruch. Zaciskała zęby, aby zahamować drżenie ust.

– Żadne z nas nie może cofnąć czasu – szepnął. – Choćbyśmy modlili się o to przez całą wieczność.

Jak na ostatnie słowa brzmiało to całkiem ładnie. Może gdzieś to już słyszał?

Zrobił krok do przodu. W ciszy pomiędzy kolejnymi piosenkami rozległ się krzyk z policyjnego głośnika.

– Komisarzu Glazur, proszę wyjść przed dom!

Rozpoznał głos jednego z sierżantów. Nie pamiętał nawet nazwiska tego sukinsyna. W takiej chwili znów przypomnieli sobie o jego stopniu, chociaż na drzwiach gabinetu nie było już po nim śladu.

Zachwiał się, lecz w porę cofnął stopę. Spojrzał na żonę i syna. Czy przyjechali z policją? Mieli być kartą przetargową? Argumentem, aby się poddał?

To raczej niemożliwe. Nikt by się nie zgodził wpuścić rodziny do szaleńca, który przed chwilą zastrzelił przełożonego. A właśnie tak go postrzegali.

Niech już na zawsze żyją w swoich kłamstwach.

Nagłym ruchem przyłożył pistolet do skroni.

Kiedy kopnął w rant krzesła, żona rzuciła się w jego stronę. Nacisnął spust. W tej samej chwili krzesło osunęło się, a jego ręka bezwładnie opadła. W ostatnim przeblysku świadomości zrozumiał, co się stało. Jego żona upadła na podłogę z roztrzaskaną czaszką. Pocisk zmasakrował jej oczodół i rozbryzgał wokół mózg.

Ostatnie spojrzenie Glazur skierował na syna.

Magnetofon od kilkudziesięciu sekund odtwarzał kolejną piosenkę. Szum w uszach zlał się z wrzaskami młodzieżowego idola, Karammba. Kto o nim będzie pamiętał za dwadzieścia lat?

*Erni i Berni kolorom swoim wierni, księdzem został Erni, policjantem Berni.*

## 9.

Berni zmierzył Dianę wściekłym spojrzeniem.

– O, proszę, proszę. Odwiedziła nas panna Elert! – Wydał usta w uśmiechu, ale reszta jego twarzy pozostała napięta i czujna. – Tak się zastanawiałem, gdzie to panienka przepadła. Zapraszamy do środka!

Uniosła dłonie, jakby chciała pokazać, że nie ma złych zamiarów.

– Uspokój się – wyszeptała łamiącym się głosem. – Nie rób nic głupiego...

– Dlaczego miałbym zrobić coś głupiego?

– Nie jesteś tym, kim ci się teraz wydaje, że jesteś. Popelniasz błąd...

Berni uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Co ty wygadujesz? – Pokręcił głową i odwrócił się do Szajera. – Słyszysz, kolego, panience coś się kompletnie pomieszało.

Diana nie mogła dostrzec polityka, ale zdawało jej się, że słyszy jego ciężki oddech. Zrobiła krok wzdłuż ściany.

– Stój! – wrzasnął Berni. – Nie ruszaj się z tego miejsca.

– Ja tylko...

– Stój, kurwa! I ty też, Szajer!

Diana posłusznie zatrzymała się obok okna. Powoli opuściła dłonie i spojrzała Berniemu w oczy. Była przygotowana na to spotkanie.

– Mogę ci coś pokazać? – zapytała, siląc się na łagodny ton. – Wyciągnę coś z torebki i ci pokażę. Dobrze?

– Ani mi się waż! – Mężczyzna groźnie potrząsnął pistoletem. Po chwili jednak zaczerpnął tchu i zaciskając usta, skinął głową. – Okej, ale powoli. Jeden gwałtowny ruch i wpakuję ci kulkę w łeb.

Otworzyła zamek i włożyła dłoń do torebki. Starła się panować nad swoimi ruchami. Przesunęła palcami po tubie gazu pieprzowego, ale nie chwyciła jej. Powoli, centymetr po centymetrze, wyciągnęła coś ze środka. Ruszyła się w stronę Berniego.

– Ani kroku!

Mężczyzna był wyraźnie zainteresowany tym, co chciała mu pokazać, lecz wolał ją trzymać na odległość. W ten sposób odgradzał ją również od

Szajera. Nie chciał, aby się zobaczyli.

– Pokaż mi to z miejsca, gdzie stoisz. Nie jestem ślepy.

Diana przejechała dłonią po wydrukowanej na kartce fotografii. Przeczucie jej nie zawiodło, gdy postanowiła zrzucić ją w archiwum na pendrive'a. Na drugiej stronie znajdował się tekst zdublowanego artykułu. Wolałaby mieć materiał, który streścił jej hipopotamowaty korektor „Gońca Pruszkowskiego”, ale musiała improwizować.

– Wiesz, kto to jest? – zapytała, robiąc kolejne pół kroku w stronę Berniego. – To twój ojciec. Zdjęcie pochodzi z gazety sprzed czternastu lat. Trafił do zakładu psychiatrycznego z objawami ciężkiej schizofrenii. – Mężczyzna drgnął, ale Diana nie pozwoliła sobie przerwać. – Jego drugie ja wciąż prowadziło śledztwo w sprawie śmierci kandydatki w wyborach z 2002 roku. Odpłynął w swój pokręcony świat spisków. Dyrektor placówki został dla niego inspektorem, personel – ekipą policyjną i tak dalej...

Berni przystąpił z nogi na nogę, jednak nie ruszył się z miejsca.

– Bzdura – fuknął. – Po co ktoś miałby pisać taki artykuł?

– To jedynie tło – ciągnęła drżącym głosem Elert. – Istota sprawy dotyczy tego, że wykorzystując nieuwagę lekarzy, udało mu się uciec. Tylko po to, by wrócić do domu i popełnić samobójstwo. – Przełknęła ślinę, by po chwili dodać: – Na twoich oczach. Nie pamiętasz tego?

Berni patrzył to na zdjęcie, to na nią, to na Szajera. Ciężko dysząc, bez słowa wymachiwał bronią. W kącikach jego ust zebrała się ślina. Pot gwałtownie oblał mu twarz i skapywał na kurtkę, pozostawiając na skórze lśniące ścieżki.

Jak przez mgłę przed oczami przewinęły mu się urywki wspomnień. Pokazywały poszarpane klisze, przeskakujące niczym w uszkodzonym kalejdoskopie. Nie wiedział, czy to rzeczywiste wydarzenia, czy tylko majaki. Wyraźnie widział jedynie opuchniętą, siną twarz ojca.

Twarcz ze zdjęcia ledwie ją przypominała.

Diana wciąż trzymała przed sobą fotografię. Z trudem nabierała powietrza. Strach zaciskał jej gardło i paraliżował ciało. Zmusiła mięśnie, aby postąpić krok do przodu. Nogi się pod nią uginały.

– Przy okazji zastrzelił twoją matkę – powiedziała na wydechu. – Nigdy nie udało się wyjaśnić dlaczego.

Berni spurpurowiał.

– Ty szmato! – wrzasnął. – Jak śmiesz obrażać mojego ojca!

Splunął na podłogę i złapał się za głowę. Chwycił krótkie włosy, jakby chciał się sam za nie podnieść. Wciąż jednak trzymał pistolet.

Diana poczuła, że zyskuje nad nim przewagę. Przyszła pora wykorzystać informacje podane przez Rapackiego. Nie miała pojęcia, skąd je zdobył, lecz była pewna, że są prawdziwe. Należało ubrać je w delikatne słowa, aby nie obrócić furii Berniego w niewłaściwą stronę. Najlepiej, kiedy kierował ją tylko przeciwko sobie.

– Ty też byłeś policjantem – powiedziała dużo spokojniej, niż się spodziewała. – Nie wiem, jakim cudem przeszedłeś testy, ale działałeś w ukrytej komórce. Może jacyś kumple twojego ojca mieli wyrzuty sumienia albo po prostu dług wdzięczności wobec niego. Ponoć dopóki całkowicie nie ześwirował, był bardzo lubiany.

Berni opuścił głowę jak byk gotujący się do ataku. Lufą pistoletu omiatał na przemian oba pomieszczenia leśniczówki. Ciężko dyszał.

– Kilka miesięcy temu skierowano cię na obserwację psychiatryczną, ale się nie zgłosiłeś. – Diana opuściła rękę ze zdjęciem i ukradkiem poprawiła torebkę. – Nie objęto cię przymusowym leczeniem. Zostałeś zawieszony, a później wydalony ze służby.

Szajer słuchał tego z niedowierzaniem. Kulił się przy chropawej ścianie, pragnąc odzyskać resztki godności. Odkąd Berni wyciągnął broń, nawet się nie poruszył. Myślał o córce i o tym, że martwy nie będzie mógł jej obronić.

Teraz zrozumiał, skąd Berni wiedział o jego udziale w sprawie Zadarczenki. Być może nawet kiedyś się osobiście zetknęli. Zajęty odgrywaniem swojej roli, nie zapamiętałby jego kwadratowej twarzy.

Kiedy Berni wycelował broń wprost w dziennikarkę, ruszył w jego stronę.

– Nie rób tego – odezwał się, po raz pierwszy od kilku minut. – Też nie rozumiem, o co tu chodzi, ale nie rób tego. Oddaj mi córkę i zapomnijmy o tym.

– Zamknij się! Stój!

Berniemu coraz trudniej było skupić się na nich obojgu. Z wyciągniętym przed siebie pistoletem cofnął się, opierając plecami



o futrynę. Nie zwrócił uwagi, że Diana zanurzyła dłoń w torebce.

– Jesteś tu, bo uciekłeś od prawdziwego świata – powiedziała. – Musisz to zrozumieć. Pomyśl o swojej przeszłości i...

– Pierdolisz głupoty! – przerwał jej Berni. – Jestem tu, bo wiem, kto zabił tę kandydatkę. Jestem tu, bo dzięki temu stałem się kimś innym. To ty musisz coś zrozumieć!

Tym razem Diana opierała się tylko na swoich domysłach. Nie miała żadnych dowodów na potwierdzenie swojej tezy, a Rapacki nic takiego nie sugerował. Ostrożnie postąpiła kolejny krok naprzód. Była już co najwyżej trzy metry od Berniego. Gaz powinien zadziałać. Musiała być gotowa wstrzymać oddech, zacisnąć oczy i go użyć, gdy on tylko opuści broń.

– Kto niby ją zabił? – zapytała.

– Jak to kto? – Berni skinął głową na Szajera. – On!

Diana nawet nie zerknęła w stronę drugiego pomieszczenia. Nie spuszczała wzroku z Berniego. Pokręciła głową.

– To ty ją zabiłeś – powiedziała, stawiając wszystko na jednej szali. – Nazywasz się Karol Glazur i to ty zabiłeś Patrycję Skawińską. Tak jak twój ojciec, uwierzyłeś w jakiś popieprzony spisek. Tyle że twój umysł, oprócz drugiego, wymyślił jeszcze trzecie ja. To, które zabiło kandydatkę, abyś mógł tropić swoją aferę. Podsunałeś jej pewnie jakiś fałszywy hak na Szajera i skusiłeś spotkaniem. Nie wymażesz przeszłości i nie staniesz się kimś innym!

Nagle wyciągnęła przed siebie gaz pieprzowy i nacisnęła przycisk. Zamknęła oczy, ale nie usłyszała psiknięcia.

Nic się nie stało.

Oczekując najgorszego, podniosła powieki. Berni jednak nawet się nie poruszył. Zmierzył ją pustym spojrzeniem. Przygarbił się i w jednej chwili stracił całą pewność siebie. Jakieś wspomnienie przebiło się do jego świadomości, przywracając do głosu Karola Glazura, a odsuwając od mikrofonu Berniego. Razem z nim powróciły też wszystkie frustracje i problemy.

Powoli opuścił broń. Wyglądał na zrezygnowanego i zagubionego.

Szajer i Diana nie odważyli się do niego zbliżyć. Zastygli w swoich pozach, czekając, co będzie dalej. Stres odebrał im mowę.

Nagle Berni się wyprostował.

– Po prostu chciałem być kimś – wyszeptał. – Kimś innym niż sobą.

Nim Diana zdążyła krzyknąć, uniósł pistolet i wymierzył.

Huk wystrzału poniósł się echem po lesie.

## EPILOG

Karol Glazur *vel* Berni zmarł kilka minut po wystrzale. Wcześniej przez chwilę miotał się w konwulsjach na podłodze, znacząc wokół siebie krwawy ślad. Jeden z techników kryminalnych stwierdził, że kawałki jego czaszki powbijały się w deski sufitu i sterczały z nich jak drzazgi. Badania daktyloskopijne potwierdziły zgodność odcisków palców z odciskami znalezionymi w mieszkaniu Patrycji Skawińskiej. Nie dowiedziono, aby przy uprowadzeniu Róży Szajer miał jakichkolwiek współników.

Róża została odnaleziona cała i zdrowa w specjalnie przerobionym podpiwniczeniu leśniczówki. Było to miejsce, w którym przed dwudziestu kilku laty przetrzymywano Tamarę Zarzycką. Sprawcę jej porwania zlinczowano na oczach ojca Karola Glazura.

W budynku nie znaleziono żadnych śladów instalacji regulującej obsługę pieca ani wywietrzników. Najprawdopodobniej Berni zaszantażował małżeństwo Szajerów dostępną w internecie aplikacją na telefony komórkowe.

Bernard Szajer został przesłuchany w sprawie wyłudzenia pieniędzy z funduszu wyborczego. Nie postawiono mu zarzutów. Nie chciał upubliczniać sprawy uprowadzenia swojej córki. Zrobił to za niego Michał Rapacki. Mówi się, że był to zaplanowany zabieg, mający na celu zjednanie Szajerowi wyborców. Mężczyźni utworzyli partię polityczną o zasięgu krajowym. Ma ona poparcie powyżej progu wyborczego, które w dodatku ciągle rośnie.

Diana Elert za zaangażowanie w dziennikarskie śledztwo zdobyła liczne nagrody. Jej reportaże ukazały się w najbardziej poczytnych gazetach. Skrzętnie strzeże prywatności swoich stosunków z ojcem i z prokuratorem Darskim. Wciąż poszukuje spraw do kolejnych reportaży kryminalnych.

Utwór zespołu Karammba *Berni i Erni* po kilkunastu latach od premiery został niemal całkowicie zapomniany.

--=FADE TO BLACK=--

## POSŁOWIE

*Wielbiciel* powstawał w innej rzeczywistości. Bez maseczek na twarzy, pandemii i związanych z nią zawirowań. Rzeczywistość tamta skupiała się na przygotowaniach do kampanii wyborczej, a największą zagadką był jej wynik. Główny temat stanowiły pierwsze sondaże.

Człowiek przystosowuje się do zmian szybciej, niż mogłoby się wydawać. Nieważne, czy je akceptuje, czy kontestuje – staje się ich mimowolnym uczestnikiem. Czas płynie w swoim tempie, a po nocy znów wstaje dzień. Nic nie zmieniło się od tysięcy lat.

W moim ulubionym fragmencie księgi Koheleta czytamy: „Cóż przyjdzie człowiekowi z całego trudu, jaki zadaje sobie pod słońcem? Pokolenie przychodzi i pokolenie odchodzi, a ziemia trwa po wszystkie czasy. Słońce wschodzi i zachodzi, i na miejsce swoje spieszy z powrotem, i znowu tam wschodzi”.

Cóż przyjdzie z tego trudu? Mam nadzieję, że pozytywny wyrzut adrenaliny, uśmiech zaskoczenia i satysfakcja z dobrej lektury.

Wierzę, że choć wiele się zmieniło, wszyscy pozostaliśmy tacy sami. Jesteśmy silnym pokoleniem. Potrzebujemy rozrywki i smakowania życia. Oderwania zarówno od pogodnej, jak i od ponurej rzeczywistości. Potrzebujemy medium, które pozwala łączyć nasze wyobraźnie.

Książka jest panaceum na każde czasy. Przenosząc się do jej świata, możemy cieszyć się całkowicie innymi emocjami oraz zaskoczeniami niż na co dzień – w procesie zarówno pisarskim, jak i czytelniczym. A tego nie odbiorą nam żaden wirus i żadne nieszczęście. Jutro znów będzie świt.

Życzę Państwu zdrowia

Max Czornyj

# SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Cytaty

Dedykacja

## **PROLOG**

### **BERNARD SZAJER I BERNI**

#### **DZIEŃ PIERWSZY**

- 1.
- 2.
- 3.

#### **DZIEŃ DRUGI**

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.

#### **DZIEŃ TRZECI**

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.

#### **DZIEŃ CZWARTY**

- 1.

- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.

## **DZIEŃ PIĄTY**

- 1.
- 2.
- 3.

## **CZĘŚĆ DRUGA. KOMISARZ FELIKS GLAZUR**

### **DZIEŃ PIERWSZY**

- 1.
- 2.
- 3.

### **DZIEŃ DRUGI**

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.

### **DZIEŃ TRZECI**

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.

### **DZIEŃ CZWARTY**

- 1.
- 2.
- 3.

4.

**DZIEŃ PIĄTY**  
**DZIEŃ SZÓSTY**

1.

2.

3.

**CZĘŚĆ TRZECIA. DIANA ELERT**

**DZIEŃ PIERWSZY**

1.

2.

**DZIEŃ DRUGI**

1.

2.

3.

4.

**DZIEŃ TRZECI**

1.

2.

3.

4.

**DZIEŃ CZWARTY**

1.

2.

3.

4.

**DZIEŃ PIĄTY**

1.

2.

3.

4.



## **DZIEŃ SZÓSTY**

- 1.
- 2.
- 3.

## **CZEŚĆ CZWARTA**

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.

## **EPILOG**

## **POSŁOWIE**

Karta redakcyjna

Copyright © by Max Czornyj, 2020  
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2020

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz  
Zdjęcie na okładce: © Stefano Pollio/Unsplash

Redakcja: Agnieszka Zygmunt/Słowne Babki  
Korekta: Zofia Żółtek, Lena Marciniak-Cąkała/Słowne Babki  
Skład i łamanie: TYPO Marek Ugorowski

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-208-8

# FILIA

Wydawnictwo Filia  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona  
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.